

HISZPAŃSKA NAGRODA DLA SZEFA „GW”



Adamie, wielka szkoda!
– Hermann Tertsch pisze
do Adama Michnika



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 44/500 31 PAŹDZIERNIKA–6 LISTOPADA 2022
CENA 9,90 Zł (W TYM 8% VAT)

„Zabić” śmiechem
– ukraińska satyra
na wojnie z Rosją

CEJROWSKI
U DENTYSTY,
CZYLI OPOWIEŚĆ
O NIEWOLNIKACH
PROCEDUR



Lewacka nowomowa
kaleczy polski język

Analiza Piotra Semki

SAM WŚRÓD SWOICH

Jak Tomasz Lis sprawił,
że stał się kulą u nogi
dla własnego środowiska



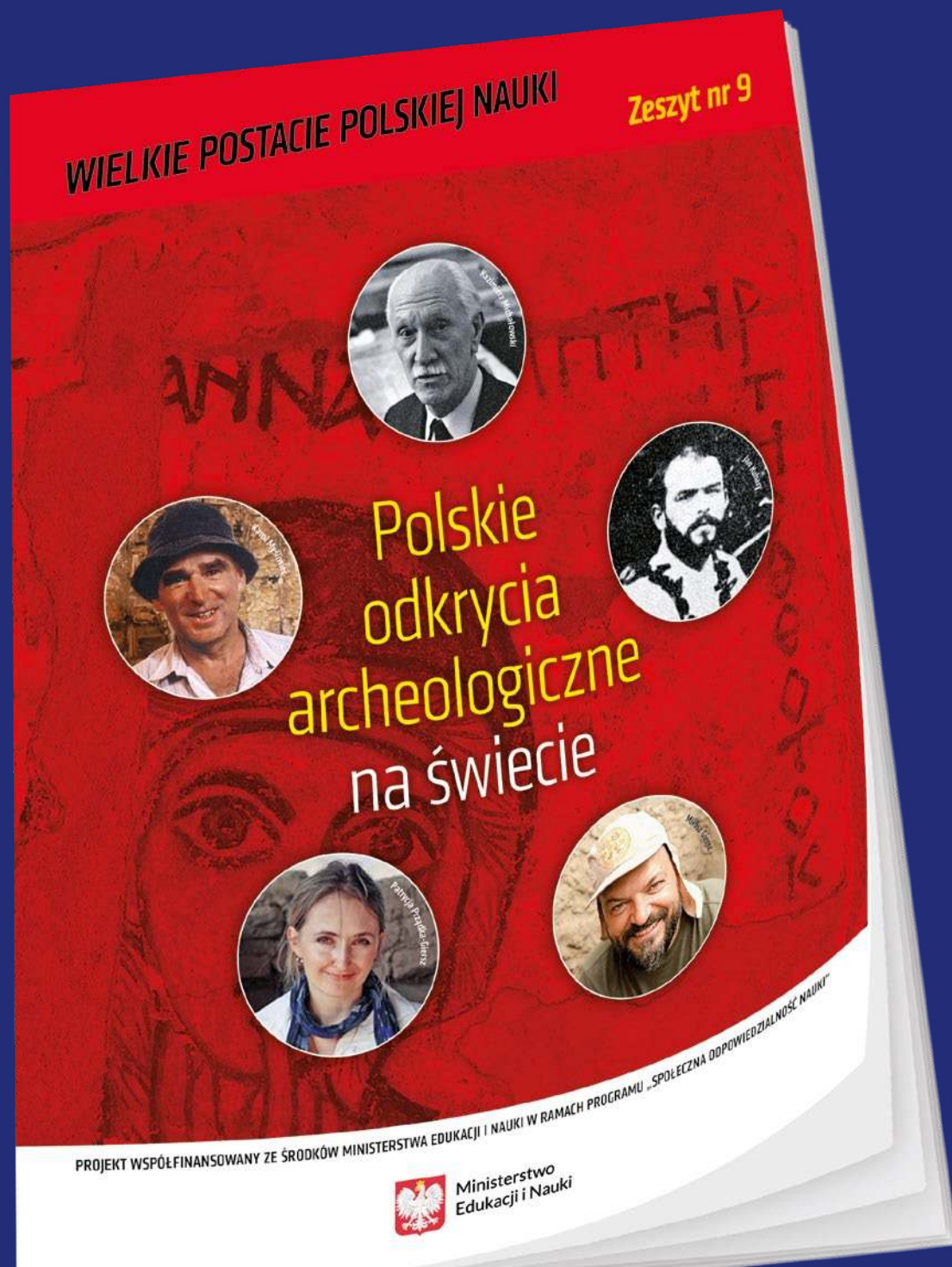
ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 54 000 egzemplarzy

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl d472366061

Czy Polska może być potęgą



PAWEŁ LISICKI

W jednej z rozmów dotyczących skutków wojny na Ukrainie usłyszałem niedawno od jednego z moich oponentów, że wskazując na ryzyko, które niesie ona dla Polski, się mylę. Otóż, według niego, konflikt ten stanowi wielką szansę i może odwrócić niekorzystny układ geopolityczny, z którym nasze państwo musi się mierzyć od wieków, konkretnie od wieku XVII. Przytaczam te słowa, bo nie jest to opinia odosobniona. Według jej zwolenników Warszawa po prostu musi coraz bardziej angażować się po stronie Ukrainy, być może także zbrojnie, bo robi to w dobrze pojętym interesie własnym. Kto chce Polski silnej, potężnej, mocarstwowej wręcz, ten powinien wspierać obecną politykę władz i liczyć, że będzie nam sprzyjać korzystna koniunktura międzynarodowa, to jest, jak rozumiem, przede wszystkim wsparcie Stanów Zjednoczonych. Zgodnie z tą analizą Amerykanie postanowili ostatecznie rozprawić się z Rosją, chcą zatem budować potężną Polskę.

Kilka razy pisałem już, że zwolennicy tej wizji pomijają realny stan nastrojów w USA i rosnącą niechęć do wojny. Jednak to niejedyna słabość, sądząc, tego rozumowania. Znacznie ważniejsze jest co innego, a mianowicie brak poważnej refleksji nad pytaniem, na czym zasadzają się siła i potęga państwa. Bardzo dobrze wyjaśniał to John Mearsheimer w „Tragizmie polityki mocarstw”, dziele, które powinno być wręcz książką obowiązkową dla polskich elit politycznych. Stwierdza on w niej, że „mocarstwa nieustannie szukają okazji do wzmocnienia siebie kosztem rywali, a ostatecznym celem każdego z nich jest hegemonia”. Wynika z tego, że opieranie się na

tym, że w interesie Waszyngtonu miałyby być wzmocnianie Polski, jest co najmniej ryzykowne. Nikt nikomu mocarstwowości nie ofiaruje.

Waszyngton może dążyć do „wzmocnienia siebie kosztem rywali” i przy okazji posługiwać się Polską, ale jedynie w taki sposób, by zachować nad nią swoją hegemonię. To zaś nie musi być dla Polski korzystne. Jeśli prawdą jest twierdzenie, że „USA prowadzą z Rosją wojnę do ostatniego Ukraińca”, to być może w pewnym momencie będą potrzebowały nowych sił, na przykład, nie można wykluczyć, Polaków. Ilekroć władze mocarstwa mają do wyboru interes własny i zachowanie lub poszerzenie własnej potęgi oraz troskę o sojusznika, to wybiorą to pierwsze. Po prostu tak jest i tak był zawsze urządzony świat. Dlatego rozsądek nakazuje, żeby w sytuacji, gdy dochodzi do starcia supermocarstw, mniejsze państwa, a wśród nich jest Polska, postępowały ostrożnie i unikały sytuacji, w której staną się instrumentem w rękach silniejszych. Takim rozsądkiem władze w Warszawie wykazały się raz na początku wojny, odmawiając, mimo namów Waszyngtonu, przekazania Ukrainie swoich myśliwców. Siła państwa polega na tym, że może ono oddziaływać na inne tak, żeby służyły jego interesom, a nie na tym, by być narzędziem w grze silniejszych. Doskonale rozumieją to elity takich regionalnych potęg jak Izrael czy Turcja, które – mimo że należą nominalnie do obozu amerykańskiego (Turcja jest nawet członkiem NATO) – jednak unikają bezpośredniego zaangażowania w wojnie po stronie Ukrainy.

Nie mniej istotne jest też pytanie, na czym miałyby polegać

owa wymarzona polska potęga. Znowu odwołam się do Mearsheimera, który badając rozwój kilku największych mocarstw europejskich w ostatnich 200 latach, doszedł do wniosku, że „potęga militarna opiera się na bogactwie, które z kolei stanowi dobry wskaźnik potęgi potencjalnej”. Drugą najważniejszą podstawą potęgi danego państwa jest, wskazywał, silna liczebnie armia lądowa. Te elementy – potężna gospodarka i zdolność stworzenia wielkiej armii lądowej (zarówno wielkiej liczebnie, jak i świetnie wyposażonej) – pozwalają mówić o mocarstwowości.

Czy wojna na Ukrainie może oznaczać z tego punktu widzenia wzrost polskiej potęgi? Jeśli chodzi o gospodarkę, to łatwo zauważyć, że dzieje się wręcz odwrotnie. Pokazują to różne obiektywne wskaźniki: skokowe wzrosty inflacji, rosnąca liczba upadłości firm, słabnąca pozycja polskiej waluty, wreszcie coraz większe kłopoty ze sprzedażą polskich obligacji. Oczywiście nie jest to tylko efekt wojny, ale to ona w największym stopniu, choćby przez drastyczny wzrost kosztów surowców, do tego się przyczynia. Również drugi czynnik, powiedzmy – demograficzny, nie uległ poprawie. Owszem, na terenie Polski pojawiła się znacząca liczba uchodźców, nie oznacza to jednak wcale rozwiązania kryzysu demograficznego. Wielu z nich jest tu tymczasowo, trudno też na razie powiedzieć, na ile tak duża liczba przybyszów jest zagrożeniem, a na ile szansą.

Krótko: mimo najlepszych woli nie widzę podstaw dla tak powszechnego w Polsce entuzjazmu. Zimna, racjonalna analiza wskazuje, że jest on wyrazem emocji i nie jest oparty na rachunku zysków i strat. ©

WYDANIE TYGODNIKA „DO RZECZY”, KTÓRE TRZYMają PAŃSTWO W DŁONIACH, NOSI NUMER 500.

WSZYSTKIM NASZYM WIERNYM CZYTELNIKOM SERDECZNIE DZIĘKUJĘ ZA TYCH PIERWSZYCH PÓŁ TYSIĄCĄ TYGODNI (NIEMAL 10 LAT!) SPĘDZONYCH WSPÓLNIE Z NAMI, GORĄCO ZACHĘCAJĄC DO POZOSTANIA Z „DO RZECZY” PRZEZ KOLEJNE LATA.

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA

SAMOTNY WŚRÓD SWOICH

Jak Tomasz Lis stał się kulą u nogi dla własnego środowiska



KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

OŚMIORNICZKI KONTRATAKUJĄ

Donald Tusk, podchwytując sensacje „Newsweeka” z odgrzewanej „afery podsłuchowej”, strzelił sobie w kolano

24 ŁUKASZ WARZECHA

NOWY TRUP W SZAFIE Z FUNDUSZAMI UE

26 ROZMOWA Z JANEM K. ARDANOWSKIM
RATUJMY SVOJE

28 JAN FIEDORCZUK

IDEOWA PRAWICA NA ZAKRĘCIE

30 TOMASZ ROWIŃSKI

ZAIMKOWE SZALEŃSTWO

32 ŁUKASZ ZBORALSKI

BITWA O SZKOŁY

KULTURA

34 KRZYSZTOF MASŁOŃ

UŚMIECH MARKA TWAINA

Dlaczego powinniśmy cenić ojca amerykańskiej literatury

38 PIOTR GOCIEK

DROGA OJCA

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 HERMANN TERTSCH

ADAMIE, WIELKA SZKODA!

Hiszpański dziennikarz o Nagrodzie Księżnej Asturii dla Adama Michnika

50 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

2022 ≠ 1939

52 ROZMOWA Z KOSMĄ ŻŁOTOWSKIM

TO NIE WOJNA, TO ROSYJSKI TERRORYZM

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI

WATYKAN PROPAGUJE... KAPŁAŃSTWO KOBIET

HISTORIA

56 RADOŚŁAW WOJTAS

HISTORIA W DYMKACH

Komiksy IPN, które uczą

ŚWIAT

60 TERESA STYLIŃSKA

TRZECI PREMIER NA DOWNING STREET

Jak długo porządzi Rishi Sunak?

62 OLIVIER BAULT

IZRAELSKI TRIK

64 MACIEJ PIECZYŃSKI

„ZABIĆ” ŚMIECHEM

EKONOMIA

68 JAN BOGATKO

PORT W HAMBURGU BĘDZIE CHIŃSKI?

Niemcy stracili swego „sąsiada” w relacjach gospodarczych – Rosję, więc lewicowy rząd w Berlinie stawia na towarzyszy w Pekinie

70 PIOTR WŁOCZYK

CIOŚ W SERCE CHIŃSKIEJ GOSPODARKI

Rozmowa z dr. Jakubem Jakóbowskim, analitykiem OSW



STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK

UBRANIE NA SMUTNY CZAS

Modowa etykieta żałobna

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (59), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jackie Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiermilk, Krzysztof Czabański, Wojciech Colonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jackie Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toralski, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski,
Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadlo.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jackie Nadarowski (obrobka zdjęć)

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSOVNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Radosław Nawrocki/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy



Druk: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Szaleńcza szarża Donalda Tuska”, Paweł Lisicki, „DRz” 43/2022

Dzień dobry,
wythumaczenie takiego postępowania
znajdźcie Pan, moim zdaniem, w książce
Wojciecha Sumlińskiego „To tylko mafia.
Historia nieprawdopodobnie prawdziwa
i gorsza niż samo piekło”.

Moim zdaniem stosują oni metodę
złodzieja krzyżującego: „Łap złodzieja!”
Najlepszą metodą obrony jest atak.

Cieszę się, że jest takie pismo jak Wa-
sze, profesjonalne, prawnicze. Czytam
od lat.

Życzę powodzenia i sukcesów w dąże-
niu do prawdy.

Pozdrawiam serdecznie

Arkadiusz Masny

STOP

Ja do Pana Sławomira Jastrzębowskiego.
STOP. Ale w zasadzie też do naczelnych i do
czytelników. STOP. Spieszę w telegraficz-
nym skrócie zaznaczyć dwie rzeczy. STOP.

Po pierwsze to, że bardzo lubię czytać
„Ćwierkot”. STOP. Podobna mi się poczucie
humoru Pana Sławomira. STOP. I mam
nadzieję, że rubryka będzie obecna
w „Do Rzeczy” jak najdłużej. STOP.

Po drugie tak sobie myślę. STOP. Że
bardzo w naszej polityce i życiu publicz-
nym. STOP. A może i w życiu w ogóle.
STOP. Brakuje poczucia humoru i luzu.
STOP. Cieszę się, że w poważnym tygo-
dniku. STOP. Jest miejsce na specyficzny.
STOP. Ale inteligentny humor. STOP.

PS STOP. Myślę sobie, że przy poziomie
dzisiejszej klasy politycznej. STOP. To
nie poważne debaty, ale taki komentarz
właśnie. STOP. Byłby adekwatny
i najbardziej skuteczny w wytykaniu
głupoty. STOP. O ile poziom klasy
politycznej (opozycji zwłaszcza) byłby
niższy od średniej. STOP. I choć wydaje się
czasem (często!), że inaczej być nie może.
STOP. To niestety, nie jestem tego taki
pewien. STOP.

Maurycy L.

Sprostowanie

**Sprostowanie Polskiego Instytutu
Sztuki Filmowej do artykułu pt. „Kryp-
tonim Polska”, autorstwa Dariusza
Wieroniecznika, opublikowanego
3 października 2022 r. w tygodniku
„Do Rzeczy”:**

„Nieprawdą jest, że Polski Instytut
Sztuki Filmowej („PISF”) dofinansował
film „Kryptonim Polska” kwotą 1,2 mln
złotych. Film nie otrzymał dotacji z PISF
w rozumieniu ustawy o kinematografii.
Film został wsparty finansowo w ramach
systemu tzw. zachęt dla branży audiowi-
zualnej, którego mechanizm opiera się
głównie o kryteria ekonomiczne, a nie
kryteria artystyczne”.

Wypłaca fundusze europejskie... nie wypłaca...
wypłaca... nie wypłaca...



ce 2024 454325012



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tym, którzy nie doczekali

W czterech miastach Instytut Pamięci Narodowej przeprowadził demontaż pomników „wdzięczności Armii Czerwonej”. Dekonstrukcja monumentów miała miejsce w Głubczycach i Byczynie na ziemi opolskiej oraz w Bobolicach na zachodnim Pomorzu i w okolicach Staszowa (Świętokrzyskie).

Oglądając telewizyjne migawki z tych wydarzeń, zauważyłem, że przyciągnęły one niewiele osób. Moją uwagę zwrócił demontaż pomnika w Głubczycach. Przemawiający przy tej okazji prezes IPN Karol Nawrocki przypomniał postać kpt. Mariana Markiewicza, urodzonego na Kresach żołnierza Armii Krajowej, który był przetrzymywany w niemieckim więzieniu, a po wkroczeniu armii sowieckiej w czasie operacji „Burza” na wschodnie tereny Rzeczypospolitej przystąpił do konspiracji antysowieckiej i skazany został na 15 lat więzienia.

Marian Markiewicz już w czasach Solidarności przypominał, że pomniki wdzięczności armii sowieckiej obrażają takich ludzi jak on,

którzy po wejściu Rosjan stali się obiektem polowania NKWD. Pan Marian przez cały okres po 1989 r. wielokrotnie starał się doprowadzić do usunięcia pomnika sowieckich okupantów. Jednak za każdym razem, gdy wydawało się, że może dojść do przegłosowania decyzji o likwidacji pomnika, albo zwyciężała troska miejscowych postkomunistów o pamięć o „niezwyciężonej Armii Czerwonej”, albo tłumaczono się zbyt dużymi kosztami takiej operacji.

Pan Marian nie dożył chwili, w której Głubczyce pozbyły się niechcianego pomnika. W jego imieniu w uroczystości uczestniczył jego wnuk. Mógł usłyszeć, jak Karol Nawrocki z ramienia IPN dziękuje jego dziadkowi za to, że nigdy nie godził się na to, by Głubczyce były miejscem zakłamywania prawdy o tym, co się działo w 1945 r. na polskich ziemiach, które zajmowali Rosjanie.

Cała sprawa przypomina, że bywają wydarzenia, które gdy już następują, nie mogą satysfakcjonować tych, którzy

przez wiele lat do nich dążyli i apelowali o nie. Tysiące żołnierzy AK, czyli polskich niepodległościowców, nie dożyło usuwania pamiątek z peerelowskiej przeszłości. To ich pouczali publicyści w lokalnych dodatkach „Gazety Wyborczej”, że są śmieszni, walcząc z pomnikami.

Potem, gdy ekipa Tuska rozpoczęła swój flirt z Putinem, do grona przeciwników usuwania postsowieckich pamiątek dołączyli lokalni działacze Platformy Obywatelskiej. Dopiero teraz, kiedy stosunek do wojny na Ukrainie połączył opozycję i partię rządzącą, pożegnanie z postsowieckimi monumentami przebiega w miarę bez kontrowersji. To pośmiertny triumf wielu z tych Polaków, którzy zdzierali gardło na sesjach rad miejskich, wzywając władze gospodarzy miast do pożegnania się z tym niechlubnym dziedzictwem. Poświęćmy tym ludziom parę ciepłych myśli teraz, kiedy ich starania wreszcie przyczyniły się do demontażu pomników hołdu dla żołnierzy spod znaku sierpa i młota. ©

NOWE BOMBY DLA EUROPY

Kolejne atomowe groźby wygłaszane przez przywódcę Rosji Władimira Putina i jego najbliższych współpracowników skłoniły władze USA do przyspieszenia harmonogramu rozmieszczenia precyzyjniejszej wersji głównej bomby atomowej w bazach NATO w Europie – poinformował portal Politico. Według dziennikarzy, którzy powołali się m.in. na treść amerykańskiej depeszy dyplomatycznej, zrzucone z powietrza ulepszone bomby jądrowe B61-12 zamiast na wiosnę trafią do Europy już w grudniu. (jap) ©



ODSZKODOWANIA ZA STRATY WOJENNE. MSZ UJAWNIA SZCZEGÓŁY

6 bln 220 mld 609 mln zł odszkodowania za straty materialne i niematerialne oraz zrekompensowania ofiarom agresji i okupacji niemieckiej oraz członkom ich rodzin wyrządzonych im szkód i krzywd domaga się MSZ w nocie dyplomatycznej wystosowanej do rządu Niemiec.

W nocie nie pada słowo „reparacje”. Zamiast niego mowa jest o „odszkodowaniach” – termin ten ma bowiem szerszy charakter. Polski resort

dyplomacji wezwał też Niemcy m.in. do podjęcia „systemowych działań prowadzących do zwrotu dóbr kultury zagrabionych z Polski, które znajdują się na terytorium Niemiec”. A także do zwrócenia zrabowanych przez Niemcy w latach 1939–1945 aktywów i pasywów polskich banków państwowych i instytucji kredytowych. Polska żąda też m.in. rehabilitacji zamordowanych działaczy przedwojennej mniejszości polskiej. (jap) ©



FOT. JAC

NEKROLOG

Z głębokim żalem żegnamy



Andrzeja Dziekana

w latach 2015–2020
sekretarza redakcji
tygodnika „Do Rzeczy”

Składamy wyrazy wielkiego współczucia
wszystkim Jego bliskim

przyjaciele z „Do Rzeczy”

Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci



Anny z Czartoryskich Radziwiłłowej

Mamy Konstantego Radziwiłła
Wojewody Mazowieckiego

Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

NEKROLOG



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Serce Jurka

Ten news to grom z jasnego nieba! Mam ogień w sercu. I coraz trudniej go podtrzymać. Moje serce powoli umiera. Kolejny kawałek odpada i już nic go nie podniesie. Nie trzeba bić, masakrować, przypalać żywym ogniem, aby zabić. Nie trzeba noża, kuli czy pętli na szyi. Są słowa, które – jak kula – rozrywają serce w drobny mak!”

To nie jest, proszę państwa, wyimek z pamiętników pensjonarki z czasów młodego Żeromskiego, która usłyszała od tego jednego, upatrzonego, że nie. To komentarz Jerzego Owsiaka na oficjalnym profilu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy do przegranego przed warszawskim sądem procesu. Serce Owsiaka płonie, powoli umiera i odpada kawałek po kawałku, ponieważ

kazano mu przeprosić autorkę popularnych „plastusiów”, panią Barbarę Pielę.

Wszyscy wiedzą, ale przypomnę: pani Pielę lepi z plasteliny kukiełki, karykatury osób z życia publicznego, i ustawia z tych kukiełek różne śmieszne scenki, które można zobaczyć w necie albo telewizji. Trudno o coś bardziej powszechnego w mediach niż rozmaite formy tego rodzaju satyry. Karykaturuje się sławnych na przeróżne sposoby, niemal każda telewizja miała program tego rodzaju co „Polskie zoo” albo „Gumitycy” – nikomu by do głowy nie przyszło, że to „faszyzm”. Ale pan Owsiak, zobaczywszy siebie w telewizji jako nakręcaną kukiełkę, która podnosi łapki i mechanicznie powtarza „siema, siema”, dostał

furii. Porównał lepienie kukiełek-karykatur do Auschwitz (!), panią Pielę oskarżył o podżeganie do mordu na Pawle Adamowiczu, a przy okazji – jakżeby nie – o antysemityzm, nie stroniąc przy tym od mocnych i jeszcze mocniejszych słów. A teraz, przywołany przez sąd do porządku, szaleje, kreując się na ofiarę nienawiści. Jeśli rodzina nie poda mu w porę jakichś leków, to zaraz znowu ogłosi, że jeśli tak, to on, nie mogąc znieść plastelinowego ostrza w swym płonącym miłością sercu, zamyka swą orkiestrę i sobie idzie – i znowu będą go musiały lemingi przez tydzień błagać.

Moim skromnym zdaniem to nie z sercem ma Owsiak problem, ale z głową. Za dużo było tych zachwyków nad jego charytatywnym biznesem i dekier odskoczył. Bywa. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Za życiem, a nawet przeciw

Profesor Mariana Mazzucato została powołana do Papieskiej Akademii Życia. Najprościej tę nominację można streścić jako kolejne harmonijne połączenie dwóch opcji preferencyjnych: na rzecz ubogich i na rzecz globalnego establishmentu. Jednak ta doradczyni wielu lewicowych instytucji na świecie to nie tylko jedna z ulubionych ekonomistek Ojca Świętego. W ostatnim czasie Mariana Mazzucato zasłynęła z emocjonalnych reakcji przeciw orzeczeniu Dobbs vs. JWHO, w którym Sąd Najwyższy USA przywrócił amerykańskiemu stanowi prawo do ochrony nienarodzonych. Demonstracyjnie solidaryzowała się z radykalnie aborcyjnymi deklaracjami Roberta Reicha, byłego ministra prezydenta

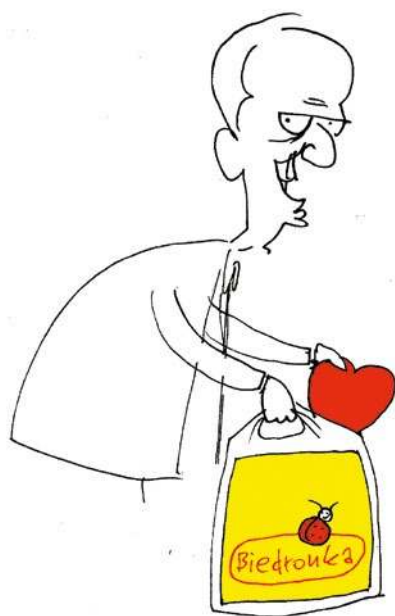
Clinton, szkockiej premier Nicolii Sturgeon, antyreligijnej publicystki Any Kasparian, senator Elizabeth Warren.

Nominacja wywołała falę oburzenia w środowiskach katolickich na całym świecie, jednak prezes Akademii, abp Vincenzo Paglia, zaapelował, żeby się nie przejmować, że prof. Mazzucato „ma na sercu wartość ludzkiego życia”. Nie wiadomo, czego w tym zapewnieniu więcej – cynizmu czy obłudy. Kolejny raz okazało się, że można przepraszać za potępienie Lutry, obronę chrześcijaństwa przed Turkami i katolicką dezaprobatę homoseksualizmu, można przepraszać za wszystko, ale nie można wycofać się z jednej

niedorzecznej decyzji. Trzeba, „broniąc autorytetu”, brnąć w coraz bardziej skandaliczne uzasadnienia, w najlepszym stylu tyleż razy przez Franciszka potępianej kultury klerykalnej.

Uważajmy oczywiście, byśmy nie popadli w jednostronność. Gdy zastanawiamy się nad pozytywnymi obecnego pontyfikatu, nie można przeoczyć oczywistych. Takich jak np. kanonizacja kard. Newmana, a przede wszystkim – uświadomienie milionom wiernych w całym chrześcijaństwie faktu i rozmiarów kryzysu Kościoła. Ale to akurat strasznie kosztowny pożytek. Gaszenie ducha to zbyt wielka cena za otwieranie oczu tym, którzy do tej pory widzieć nie chcieli. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Donald Tusk przekłada miłość
na życie publiczne...

cezary krysztopa

PIECZEŃ RZYMSKA

O szowinizmie damskim i męskim

PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

W bastionie kultury macho kobieta została premierem! Feministki i feminiści Italii, postępowcy i postępowki, zamiast tańczyć ze szczęścia na ulicach, bo kobiecie udało się wreszcie przebić szklany sufit, sposepnili i powiadają, że to się nie liczy, bo Giorgia Meloni posiada niewłaściwe poglądy. Mało tego! Ubiera się, zachowuje i działa jak mężczyzna. Zideologizowaną głupotę komentować trudno. Zamiast tego służę opowieścią z lat pradawnych i komunistycznych.

Tłumaczyłem w Warszawie spotkanie Andrzeja Wajdy z grupą amerykańskich aktorek i aktorów. Amerykanka zapytała, dlaczego wśród wybitnych polskich reżyserów nie ma kobiet. Mistrz

postawił diagnozę, za którą dziś szwadron feministek rozniósłby go na szablach razem z „Ziemią obiecaną” i „Człowiekiem z marmuru”. Powiedział, że to wynika z kobiecej natury, bo kobiety lubią plotkować, intrygować i roztrząsać szczegóły. Dlatego odnoszą sukcesy w teatrze, bo tam jest na to czas. A w filmie nie ma.

Amerykańskie towarzystwo oślupiało, a kiedy jako tako doszło do siebie, inna niewiasta spytała: „No a Agnieszka Holland?”. Mistrz uśmiechnął się z politowaniem i wypalił: „No przecież to jest prawie mężczyzna!”. Proszę nie powtarzać, bo licho nie śpi. Jeszcze mu szaleńcy Oscara odbiorą.

Minęło z 10 lat. Redagowałem w Berlinie Zachodnim prosolidar-

nościowy miesięcznik „Pogląd”. Dominik Wiczorkowski, reżyser, pisarz, a przede wszystkim serdeczny druh z ławy szkolnej, kopnął się do Paryża, skąd przywiózł świetny wywiad z Agnieszką Holland, która wówczas kręciła tam „Zabić księdza”. Przywiózł też fajne zdjęcia z planu, ale nie przywiózł zdjęcia pani Agnieszki. Spieszył się, ale zostawił mi jej paryski numer telefonu. Dzwonię wieczorem (młodym wyjaśniam, że wtedy komórek nie było) i słyszę „Halo” wypowiedziane głosem najbardziej tubalnym z tubalnych. Więc rozpocząłem: „Proszę Pana, nazywam się Kowalczyk. Czy mógłbym rozmawiać z panią Holland?”. A Tubalny Głos mi na to: „To ja”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

KAMILA
BARANOWSKA

NA PRÓŻNO

SZACUNEK
DO PRACY

Małgorzata Rozenek-Majdan postanowiła podzielić się swoimi radami odnośnie do trudnych czasów i tego, jak sobie radzi z wydatkami, ze wzrostem cen i z szalejącą inflacją. – Wzrost inflacji, cen i wszystkiego. Ten wzrost jest zauważalny dla wszystkich. Myślę, że trudna zima przed nami. Mam sporo dzieci i – co za tym idzie – też ich potrzeby dotyczące nieruchomości są duże, więc akurat my od dłuższego czasu inwestujemy w nieruchomości i to jest zawsze dobra lokata kapitału – zdradza celebrytka. Poza tym Małgorzata zagoni-



FOT. WHITOT/IST NEWS

ła swoich synów do pracy. Wystąpią z nią w kampanii reklamowej biżuterii. To ma ich nauczyć szacunku do pracy. – Chłopcy normalnie traktują to jako możliwość praktyk zawodowych. Wiedzą, że w ten sposób mogą zarobić pieniądze. [...] Mają możliwość, po pierwsze, zobaczyć, jak ja pracuję. Po drugie, zobaczyć, że to wcale nie jest takie lekkie, a przy okazji mają możliwość zarobienia pieniędzy. [...] Bardzo bym chciała, żeby moi synowie byli nauczani szacunku do pracy – stwierdziła Rozenek-Majdan. Musimy koniecznie zapamiętać, że szacunku do pracy najlepiej uczy się za pomocą sesji zdjęciowych!

WSZYSTKO
DO POPRAWY

Skoro jesteśmy już w temacie pracy i Małgorzaty Rozenek. Przypomnijmy, że od niedawna celebrytka jest prowadzącą telewizję śniadaniową. Widzowie jednak

niezbyt dobrze ją oceniają w tej roli, co widać zwłaszcza w komentarzach na facebookowym profilu „Dzień dobry TVN”. Celebrytka o tym wie i zamierza ulepszać swój sposób prowadzenia programu. Serwis Pudelek zapytał ją, co zatem zamierza zmienić. – Wszystko! Naprawdę! – odparła Rozenek, nie zdając chyba sobie do końca sprawy z autokrytyki, której właśnie dokonała. – Zamierzam poprawić i już mi się bardzo wiele rzeczy udało. Osoby, które mnie obserwują na ekranie, często są bardziej krytyczne niż obiektywne. OK, to jest ich rola. Moi najbliżsi są bardziej przychylni – wyznała. – Pracuję nad swoim głosem z logopedą i foniatrą. [...] Z logopedą mamy bardzo dużo do zrobienia, ale już widzę progres – pochwaliła się. Myśleliśmy, że takie rzeczy ogarnia się przed wpuszczeniem kogokolwiek na antenę, a nie po tym, ale widocznie znamy się na telewizjach śniadaniowych tak samo jak Małgorzata Rozenek.

DEMOKRACJA
DIETETYCZNA

Ewa Chodakowska, trenerka wszystkich Polek i celebrytka, która zbiła na tym niemałą fortunę, obruszyła się okropnie na sugestię jednej z fanek, że w swoich działaniach kieruje się jedynie chęcią zarobku. Wyjaśniła jej więc, że gdyby chciała, to „siedziałaby pod palmą”, a nie siedzi, więc jak na dłoni widać przecieć jej altruizm. „Nie kręć mnie ani kasa, ani sława, ani czerwone dywany, ani telewizyjne show, ani promocja osoby własnej, ani nagłówki w prasie... Co mnie kręci? Kręcisz mnie ty. Twoje życie, twoja droga, twoje »dlaczego«, twoje wybory” – przekonywała na Instagramie, podkreślając, że jej misją to chęć pomocy kobietom, a realizuje ją m.in. przez biznes z cateringiem dietetycznym. Nie wszystkich przekonała, więc zarzuty pojawiały się nadal, a celebrytka była coraz bardziej poirytowana. „Nie kręć pani pieniędzy? To dlatego ceny pani produktów są takie wysokie, a pani chwali się kolejnymi apartamentami, domami i hotelami? Śmiesz mnie wmawianie ludziom, że to jakaś misja i robi to pani dla nich, a nie dla pieniędzy... Świetny chwyt marketingowy” – napisała jej

jedna z internautek, co odnotował serwis Pudelek. „Gdyby pieniądze były celem, siedziałabym już dawno pod palmą. Proszę mi wierzyć, gdyby sława była celem, byłabym na każdym show-biznesowym evencie...” – odparła celebrytka. Moje produkty są tak tanie, że aż podejrzewane czasem o kiepski jakościowo catering w średniej półce cenowej [...]. Nie przewiduję kosztów na klientki, wolę zarobić mniej niż przestać być demokratyczną – oznajmiła na koniec. No tak, kiedy żyje się w dyktaturze, demokratyczny musi być chociaż catering dietetyczny.

LUMPEKS
LUKSUSOWY

Tymczasem Kasia Tusk, córka byłego premiera i blogerka modowa, rozkręca kolejny biznes. Właśnie otworzyła internetowy sklep z używaną odzieżą. Nie jakimiś tam szmatkami, ale z odzieżą luksusowych marek, tyle że z drugiego obiegu. – Chciałabym, abyśmy kupowali rzeczy używane nie dlatego, że musimy, ani dlatego, że nasze sumienie nie pozwala nam zrobić inaczej. Moim celem jest, aby kobiety zaczęły kupować odzież z drugiego obiegu, bo chcą i lubią. Aby stała się ona ich pierwszym wyborem – zachwala swój projekt Kasia Tusk. „Misją La Rondé jest wyręczenie konsumenta z tego, co w zakupach ubrań używanych najbardziej uciążliwe. Dzięki temu projektowi nie musisz szukać, aby znaleźć” – czytamy na blogu Kasi. Jeśli jednak ktokolwiek myślał, że to oznacza, że ciuchy w lumpeksie Kasi Tuska będą tanie, to się musiał mocno rozczarować. Jak donosi Pudelek, w sklepie Kasi możemy upolować wełniany płaszcz za 1059 zł, dzinsy za 359 zł, kardigan za prawie 450 zł czy skórzaną spódnicę za 489 zł. „Jestem w stanie wydać dużo na polskie ubrania, ale nawet najlepszy PR-owiec czy inny social media ninja nie przekona mnie, żeby wydać 1000 zł na płaszcz z lumpa” – napisała jedna z fanek Kasi. Tego typu głosów pojawiło się dużo. – Moda z drugiej ręki może być piękna i użyteczna – zachwala tymczasem Kasia. I droga, czego już zapomniiała dodać. A kto myślał, że lumpeksy są od tego, by było tanio i dużo, ten jest modowym ignorantem! O! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak pewnie zauważyliście, wśród celebrytów trwają swego rodzaju mistrzostwa Polski (czy też jakieś inne zawody, iż Polski się przecież trzeba wstydzić i co to za honor być jej mistrzem) w prowadzeniu samochodów po pijaku.

Już nie będziemy wskazywać, kto, kiedy prowadził i ile miał, iż to trzeba by założyć Excela z takimi danymi. Nas bardziej interesuje to, dlaczego tak się dzieje i jakich konsekwencji chciałby dla niego rozwrzeszczany tłum pełen zawistnych Polaków.

W sumie to aż dziwne, iż żaden postępowy publicysta jeszcze nie ogłosił, iż tłum, który chce kar dla celebrytów, to ten sam tłum, który jest odpowiedzialny... już wy sami bardzo dobrze wiecie za co xD

W każdym razie: celebryci, a więc piosenkarze, aktorzy czy inni artyści, to są osoby, które czują więcej, widzą więcej i przeżywają więcej niż zwykły zjadacz pasztetowej i widz TVP. Jeżeli wy czasami oglądacie wiadomości, to sami widzicie, iż nie da się w tym kraju na trzeźwo. A celebryta, wrażliwszym będąc, to już w ogóle. No i potem włącza się odwaga i decyzja: wyjeżdżam z tego kraju, ale często się kończy na najbliższym patrolu drogówki, o ile uda się nie walnąć w inny pojazd albo nie potrącić innego uczestnika ruchu.

No a kara? Kochani, dobrze wiecie, iż jesteśmy zwolennikami wychowywania bez kar i nagród. Dlatego też, skoro celebryci nie otrzymują nagród za każdym

razem, kiedy jeżdżą trzeźwi, uważamy, iż nie powinni otrzymywać kar, kiedy jeżdżą pod wpływem, po spożyciu czy w innym stanie wynikającym z konsumpcji alkoholu.

Wiemy jednak, iż po drugiej stronie mamy do czynienia z ludźmi o mentalności prymitywnej, ciesząc się



z wpadek innych, którzy w dodatku mają znaczący wpływ na sądy i prokuratury. Dlatego pewnie bez kary się nie obejdzie, ale zaproponowalibyśmy coś względnie łagodnego, typu napisanie własnoręcznie posta na fejsie bez błędów ortograficznych czy interpunkcyjnych, srogiem zmarszczenie brwi ze strony sędziego lub nawet – daleko idziemy, wiemy! – naganę słowną, ale bez wpisu do akt, no bo też nie przesadzajmy.

A tak w ogóle to o więcej wyrozumiałości apelujemy i przypominamy, iż Kaczafi nawet nie ma prawa jazdy xD

Wogóle to nikt chyba na poważnie nie podszedł wcześniej do tego tematu, a szkoda, bo temat na to zasługuje. Chodzi o narodowe danie Polaków w ostatnich latach, a więc o hot doga ze stacji benzynowej.

Ej, no serio, to jakiś fenomen, iż w tym kraju najpopularniejszą przekąską jest wetknięta do bułki parówka zalana jakimiś podejrzanymi sosami. Chociaż... nie, w sumie nie. Idealnie pasuje to do disco polo, wakacji w Zakopanem, meczów piłki nożnej i rodzinnego obiadu po odpustowej sumie na Podkarpaciu (o ile w najbliższej okolicy istnieje stacja paliw i nie trzeba szmuglować ich w kanistrach).

Mamy nadzieję, iż temat zostanie podjęty przez autorytety moralne, kulinarne, a także etyczne i estetyczne, które nam wszystkim dokładnie wyjaśnią, dlaczego te

hot dogi to siara w chooy i czym powinniśmy je zastąpić, iżby nie było jeszcze większego wstydu.

A już w ogóle to czekamy na zaoranie tego, iż te hot dogi to najczęściej się kupuje na pewnej stacji na O, a wy już dobrze wiecie, do czyjej kieszeni wpadają wtedy pieniądze, no nie? ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Jacek ciągle tylko się czepia

Mati, wytłumacz mi, co się dzieje z tymi naszymi obligacjami? Bo zaczyna mnie to niepokoić.

E, Jarku, nic ciekawego. Jakies tam zmiany, jak to w finansach, nieistotne.

Ale jak nieistotne, skoro Jacek mi pokazuje, że wszystkie ważne media ekonomiczne trąbią, że coś złego jest.

Oj tam, Jacek, Jacek... Znasz Jacka, ciągle tylko się czepia i kopie dołki pode mną, a wyborów zorganizować nie umiał. Niewiarygodny jest kompletnie.

Ty nie uciekaj od tematu, tylko powiedz, co z obligacjami.
No... W górę idą.

Ale co: w górę? Czyli co konkretnie?
Jak to? Przecież to jasne: jeśli coś idzie w górę, to chyba lepiej zawsze, prawda?

A inflacja na przykład?

Przepraszam cię bardzo, mam teraz superważne spotkanie w sprawie wizyty w Pokręćmiu Dolnym, muszę lecieć. Pa! ☹☹ **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Bydło wszelakie, naziolo, fanole, łgarze, zboki, świry, trolle, mitomani, agenci, zwykli idioci i płatni potwarcy triumfują”.

JAN HARTMAN, publicysta, na Twitterze o tym, że ten serwis społecznościowy kupił Elon Musk

dwaj panowie g

Poszukiwania sprawców trwają, ale nikt nie chce się przyznać. Wychodzi na to, że ustawa „Koryto+” nie miała ani ojców, ani matek, tylko się jakoś tak samoistnie pojawiła. Ostatni taki przypadek odnotowaliśmy, kiedy nikt nie chciał na siebie wziąć odpowiedzialności za zorganizowanie w Warszawie konferencji antyirańskiej.

Partyjne doły fatalnie przyjęły program „Koryto+”, to znaczy plan ustawowego przytrzymania spółek Skarbu Państwa także po ewentualnej przegranej w wyborach. Niby powinno być odwrotnie, entuzjazm, bo to zawsze nadzieja na robotę, ale doły odebrały niezrealizowany plan inaczej i zaczęły wydzwaniać do Warszawy. Żeby dopytać, czy góra uważa, iż klęska jest nieuchronna i szykuje sobie spadochrony, a zwykłym działaczom biada.

Ciekawa opinia na temat zmian w kancelarii premiera. Jak nam opowiedziała pewna wiewiórka, wszystko jest winą Suskiego. Otóż pamiętacie, jak kiedyś popularny Susłow oddelegowany został do rządu, żeby w imieniu Naczelnika kontrolować i nadzorować? Tyle że robił to z nadmierną demonstracyjnie, pokazując premierowi Mateuszowi, jak bardzo w nosie ma jego urok i osiągnięcia. Nowogrodzka uznała więc, że nowy nadzorca powinien być człowiekiem uprzejmym, stonowanym i koncyliacyjnym.

Apropos osiągnięć: jednym z głównych argumentów przeciwko wymianie premiera Mateusza na premier Elżbietę był ten, że marszałek Sejmu nie ma doświadczenia międzynarodowego. I nagle tadaaam! Stał się cud! Marszałek Witek gdy nie jest jednego dnia w Chorwacji, to drugiego w Luksemburgu. Czekamy na kolejny cud, to znaczy na poprawę w znajomości lengłydzów.

Zycia elit. Kamierki samochodowe to przekleństwo. I nie piszemy tym razem o państwie Gersdorf, ale o nie mniej znanym panu Jerzym Stuhrze. Tym, który cieszy się nową ksywą 0,7 Zgłoś Sie, gdyż tyle promili miał, kiedy potrafił motocyklistę. I który podobno grzecznie się zatrzymał i nigdzie nie uciekał. Cóż, prokuratura ma nagranie wypadku z udziałem Jurka. Nasze wiewiórki są podzielone na temacie, czy

nagranie pochodzi z bryki pana Jerzego czy z kasku potrąconego motocyklisty, czy może od przypadkowego świadka. Obiecujemy, że na wyjaśnienie długo czekać nie będziecie.

Wogóle tzw. nośniki danych, a już zwłaszcza gadżety z funkcją nagrywania dźwięku i obrazu, to jakaś dzuma zmieszana z cholerą. Jak się okazuje, do najważniejszych polskich gabinetów wchodzi się teraz nie tylko bez telefonu czy tabletu. Zabierają również zegarki. Nie tylko smartwatche, lecz także zwykłe. Otóż na rynku pojawiły się urządzenia wyglądające jak zwykłe zegarki, lecz z funkcją nagrywania zarówno obrazu, jak i dźwięku. O czym się przekona niebawem pewien polski celebryta. Chwilowo strącony z sań. Mamy jednak wrażenie, że ta chwila może potrwać dłużej.

Apropos gadżetów. Będzie jeszcze zabawniej, ponieważ przedmiotem troski zaczynają być również dobre, stare okulary. A precyzując, właśnie nie te dobre i stare, lecz te nowe i niedobre, którymi też można co nieco zarejestrować. Do niedawna można było je rozpoznać po grubych oprawkach. Ale postęp technologiczny jest tak szybki.

Powiedzmy jednak szczerze: są wśród polityków także ludzie staromodni, którym marzą się gadżety zupełnie nienowoczesne. Jak pręgierz. Tak, pijemy do publicznych marzeń Radka Sknerusa Sikorskiego, żeby kogoś wychłostać – jak nie Naczelnika, to chociaż Pereirę. Knajackie wzmoczenie na Twitterze Radka już się wyjaśniło. Pod koniec listopada wydaje chłop książkę, więc trzeba rozgrzać opozycyjną gawiedź. Książki streszczać nie będziemy. Wystarczy osiem gwiazdek.

Pamiętacie Pawła Solocho? Były szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego idzie w ambasadory. I to nie byle gdzie, bo do Bukaresztu. Nie jest to, podpowiadamy niezorientowanym, miejsce, w którym przetrzymywano Bukę z lasów Muminków, tylko stolica Rumunii.

Apropos następcy Solocho w BBN. Jacek Siewiera choć jest lekarzem, to bezpieczeństwem interesuje się od dawna. Swego czasu chciał nawet wstąpić w szeregi Urzędu Ochrony Państwa, przemianowanego potem na ABW. Ale dwa razy odrzucano jego aplikację. Nie żeby facet był niedojdą. Bo wiemy, że nie był. Niestety, w czasach, w których aplikował, trzeba było prócz kwalifikacji mieć rodowód. Idealny był tatuś z SB lub przynajmniej dziadzius z KBW. Akurat tym obecnym szef BBN pochwalić się nie może. I dobrze.

WBrukseli ciąg dalszy walki z kryzysem energetycznym. Po przymusowym obniżeniu temperatury do 17 st. C w europarlamencie (co zaowocowało falą zakupów farelek) rozpoczęło się całkowite wyłączanie ogrzewania na weekendy. Ma to swoje dobre i złe strony. Zła: ci, którzy muszą pracować w weekend, mają przechłapanie. Dobra: w poniedziałek rano można sobie obejrzeć w europarlamencie na grzbiecach rozpoczynających tydzień wewnątrz wyzębionego gmachu prawdziwą rewiewę mody polarów, sweterków, kurtek, a nawet – o zgrozo – kożuszków.

Wzwiązku z powyższym mamy propozycję konstruktywną. Zarówno dla europarlamentu, jak i Komisji Europejskiej. Skoro wszystkim tak w Brukseli zależy na oszczędzaniu energii, to czy nie można by zacząć od oszczędzania energii zużywanej na walkę z Polską? ©©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



W ubiegłym roku nagrodę w kategorii Twórca otrzymał ks. prof. Waldemar Chrostowski
FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Doceniając pamięć

Już po raz 10. tygodnik „Do Rzeczy” uhonoruje tych, którzy dbają o polską tożsamość i historię. Wśród tegorocznych nominowanych są m.in. prof. Ryszard Legutko i wydawnictwo Biały Kruk, które wydało podręcznik „Historia i terażniejszość” prof. Wojciecha Roszkowskiego

Redakcja tygodnika „Do Rzeczy” od 2013 r. wyróżnia osoby i instytucje pielęgnujące polską tożsamość. Plebiscyt ten od samego początku cieszy się ogromnym zainteresowaniem – co pokazuje, jak bardzo Polacy dumni są ze swojej historii i jak bardzo chcą się o nią troszczyć.

„Dziękuję Państwu za pasję, wytrwałość oraz poczucie współodpowiedzialności za stan świadomości historycznej rodaków. Dziękuję za Państwa osiągnięcia budujące naszą obywatelską wspólnotę, utwierdzające szacunek dla wartości i treści stanowiących o naszej odrębności. Jestem przekonany, że dokonania te czynią nasz naród bardziej spoistym, głębiej przekonanym o własnej godności i wartości, a przez to



lepiej przygotowanym do podjęcia wyzwań obecnego czasu” – pisał w ubiegłym roku do organizatorów i laureatów Strażnika Pamięci prezydent RP Andrzej Duda.

I choć już od dekady można zgłaszać nominacje w naszym plebiscycie, to lista tych, których należy uhonorować, wcale się nie wyczerpuje.

Podczas ostatniej edycji w kategorii Twórca nagrodzono ks. prof. Waldemara Chrostowskiego – autora licznych publikacji pokazujących silny związek polskiej tożsamości narodowej z chrześcijaństwem i jej zakorzenienie w tradycji biblijnej. Pomysłodawcą Prymasowskiej Serii Biblijnej

wydawanej od 1994 r. oraz redaktora naukowego wielu jej tomów. W kategorii Instytucja ubiegłoroczną nagrodę

zdołało Stowarzyszenie Rodzina Piaśnicka – organizacja zrzeszająca rodziny ofiar niemieckiej zbrodni w Piaśnicy, która często nazywana jest pomorskim Katyniem. Natomiast w kategorii Mecenasa uhonorowano Poczta Polską, która podtrzymuje pamięć o najważniejszych wydarzeniach w historii Polski, m.in. wprowadzając do obiegu kartki i znaczki pocztowe upamiętniające wybitne postaci z przeszłości.

KANDYDACI DO NAGRODY 2022

W tym roku nominacje do nagrody również obejmują trzy kategorie.

W kategorii Twórca nominowany został prof. Ryszard Legutko – za niestrudzoną pracę na rzecz umacniania polskiej tożsamości narodowej i wprowadzanie do debaty elementów klasycznej kultury greckiej. W tej samej kategorii nominowany jest także dziennikarz Krzysztof Skowroński, którego doceniono za konsekwentne wspieranie walki o obecność najważniejszych wartości w przestrzeni publicznej. Z kolei za cykl książek o polskości na Kresach w tej samej kategorii nominowani są publicyści naszego tygodnika – Tomasz Stańczyk i Sławomir Koper.

W kategorii Instytucja w tym roku do nagrody nominowani zostali: wydawnictwo Biały Kruk – za wszystkie publikacje z zakresu historii Polski, w tym szczególnie za podręcznik „Historia i terażniejszość” autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego; Centrum Pieniądza NBP im. Sławomira S. Skrzypka – za nowoczesny sposób promowania polskiego patriotyzmu gospodarczego; Fundacja Nasze Dzieci Kornice – za obronę podstawowych wartości w przestrzeni publicznej.

Nominowanymi w kategorii Mecenasa są: Lasy Państwowe – za upowszechnianie wartości polskiej kultury materialnej – oraz Tomasz Kaźmierowski – za działanie na rzecz upowszechniania najlepszej polskiej literatury, m.in. za pośrednictwem Fundacji Identitas.

Uroczysta gala wręczenia tegorocznych nagród Strażnik Pamięci odbędzie się 7 listopada w Zamku Królewskim w Warszawie. ©©

Łukasz Zboralski

Partnerzy główni:



Partnerzy:



Współorganizator:



Patronat medialny:





Jak to jest z tym drewnem?

Z jednej strony moda na ekologię, z drugiej rosnące ceny energii skierowały uwagę Polaków na drewno. Wielu na nowo odkryło ten znakomity odnawialny surowiec. Ale przy okazji narosło też wiele mitów

Pierwszy, powtarzany od dłuższego czasu mit to masowy eksport polskiego drewna do Chin, za który wini się Lasy Państwowe.

W LASACH PAŃSTWOWYCH NIE KUPUJĄ CHIŃCZYCY

Tymczasem Lasy Państwowe nie są eksporterem drewna. W ofercie Lasów Państwowych nie wyodrębnia się „drewna na eksport”. Instytucja nie zabiega o zagranicznych klientów. Drewno sprzedawane jest wszystkim legalnie działającym podmiotom gospodarczym, które zarejestrują się w bezstronnym elektronicznym systemie sprzedaży.

Fakty są takie, że ok. 97 proc. drewna Lasy Państwowe sprzedają polskim nabywcom, tj. osobom indywidualnym i ok.

6,2 tys. firm zarejestrowanych w Polsce. W tym roku firm zarejestrowanych za granicą było tylko... 29, a udział zakupów przez klientów zagranicznych spadł do poziomu ledwie 3,4 proc.

– Bezpośrednio z Lasów Państwowych nie kupiła drewna żadna firma zarejestrowana w Chinach. Co więcej – wśród 29 zagranicznych firm nie było też żadnej spoza Unii Europejskiej – wyjaśnia Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

KTO CHCE KUPOWAĆ DROGO?

Owszem, polskie drewno jest eksportowane do Chin, ale nie przez Lasy Państwowe, tylko przez prywatnych, polskich przedsiębiorców. Firmy po prostu kalkulują: jeśli kurs dolara i euro jest

wysoki, to zamiast przerabiać surowiec na miejscu, wolą go odsprzedać.

– Skoro prywatni polscy przedsiębiorcy są w stanie sprzedawać drewno zagranicznym nabywcom, to znaczy, że jest to korzystne dla obu stron tych transakcji. Czy klienci spoza Polski kupowaliby nasze drewno, gdyby było drogie? – pyta retorycznie dyrektor Kubica. I dodaje: – A gdyby było najdroższe w Europie? Tym bardziej nie!

A właśnie taką opinię, jakoby polskie drewno było najdroższe, rozpowszechniają niektóre organizacje branży drzewnej. To o tyle zaskakujące, że te same głosy mówią o bardzo wysokim poziomie eksportu drewna z Polski. Tworząc w ten sposób narrację, która jest absolutnie pozbawiona logiki.

STABILNE ZASADY SPRZEDAŻY

Zasady sprzedaży drewna w Lasach Państwowych funkcjonują od 2009 r. zasadniczo w stałej i niezmienionej formie.



towane ostatnio dosyć aktywnie przez szereg lobbystów – komentuje dyrektor generalny Lasów Państwowych.

CENY WINDUJĄ NABYWCY

Do listy zarzutów wobec Lasów Państwowych dochodzi i ten, że... windują ceny na aukcjach!

– Ostateczne ceny drewna to kwoty, jakie chcą za nie zapłacić przedsiębiorcy. Ceny drewna zostały więc wykreowane przez samych przedstawicieli przemysłu drzewnego, którzy biorą udział w procedurach aukcyjnych, a następnie narzekają na ich wysoki poziom – argumentuje Kubica.

Lasy Państwowe nie odpowiadają za wysokość cen aukcyjnych. Pomimo wzrostu cen drewna na rynkach światowych ceny ofertowe nadleśnictw pozostają niskie. Od wielu lat utrzymują się praktycznie na stałym poziomie.

Leśnicy uważają, że wskazywanie na nich jako winnych wzrostu cen to odwracanie uwagi od podwyżek cen wyrobów z drewna i próba uwiarygodnienia w oczach opinii publicznej wzrostu cen towarów. Tak było np. z płytami OSB. W sklepach podróżowały o kilkadziesiąt procent, mimo że cena drewna do ich produkcji wzrosła rapem o kilka punktów procentowych.

– Od lat wmawia się Polakom, że „przemysł drzewny stoi na krawędzi upadku”. I tak samo od lat polskie firmy meblują całą Europę, bo jako kraj jesteśmy liderem produkcji i eksportu mebli, okien drewnianych, domów z drewna – obnaża nieszczerą narrację Józef Kubica.

CZYM FAKTYCZNIE JEST CHRUST

Taka nazwa nieoczekiwanie przyłgnęła parę miesięcy temu do drewna opałowego, które Lasy Państwowe sprzedają nieprzerwanie od lat.

– Nie sprzedajemy chrustu, a tzw. drobnicę gałęziową. To gałęzie, wierzchołki drzew, cienkie pnie o grubości do 7 cm – wyjaśnia Józef Kubica.

Metr sześcienny takiego drewna kosztuje w nadleśnictwach ok. 30 zł w sytuacji, gdy sam nabywca gotowy jest przygotować takie drewno (ułożyć je w stos do pomiaru). Metr sześcienny to sporej wielkości stos, którego objętość razem z pustymi przestrzeniami jest cztery razy większa (cztery metry przestrzenne).

– Oprócz drobnicy opałowej w Lasach Państwowych indywidualne osoby mogą też kupić grubsze drewno na opał, przygotowane staraniem nadleśnictw. Cena jest wyższa, ale wciąż bardzo konkurencyjna

w stosunku do innych nośników energii – dodaje szef Lasów Państwowych.

Drewno opałowe w stosach, o którym mówi rzecznik, kosztuje sto kilkadziesiąt zł za metr sześcienny i co ważne – od zeszłego roku podrożało ledwie o kilka procent.

KTO WIDZIAŁ TE KOLEJKI?

Podobnie jak niektóre media wykreowały „chrust”, tak też wytworem fantazji są „kolejki po chrust”.

– Odnosimy wrażenie, że część dziennikarzy i mieszkańców miast dokonała odkrycia, że drewno służy też do ogrzewania mieszkań. Stąd niezrozumienie pewnych kwestii związanych ze sprzedażą drewna, jego zastosowaniem – mówi Gzowski.

Rzekome kolejki sugerujące niedostępność drewna opałowego to rzecz całkowicie normalna.

Michał Gzowski tłumaczy to tak: – Przywykliśmy już do sprzedaży w supermarketach i e-commerce, gdzie zmagazynowany towar jest dostępny natychmiast. My nie prowadzimy magazynów drewna, z których możemy od ręki sprzedawać je zainteresowanym. Drewno opałowe w nadleśnictwach pojawia się sukcesywnie wraz z postępującymi pracami leśnymi. Stąd chętni na zakup zawsze oczekiwali na moment, kiedy w danej lokalizacji zakończy się pozyskanie drewna użytkowego.

Tak jak nie ma kolejek po opał, tak też nie ma limitu zakupów drewna.

NIKT NIE WYKUPI DREWNA POLAKOM

I wreszcie ostatnio gruchnęła kolejna wyssana z palca sensacja: niemieckie firmy wykupują drewno opałowe, którego zabraknie Polakom.

– To jeden z większych absurdów. Drewno opałowe sprzedajemy na rynku detalicznym bezpośrednio w nadleśnictwach. Czerwcową decyzją dyrektora generalnego Lasów Państwowych zdecydowanie ustawiła priorytety: pierwszeństwo w zakupach ma zawsze klient indywidualny – przypomina Gzowski.

Jak widać, nie ma absolutnie możliwości, by drewno opałowe „podbierały” Polakom jakiegokolwiek firmy, nie tylko niemieckie.

Zasada, o której mówi rzecznik LP, została wprowadzona, ponieważ leśnicy zaobserwowali, że zainteresowanie drewnem opałowym wśród Polaków wzrosło o ok. 30 proc. w stosunku do zeszłego roku.

W ubiegłym roku zmieniły się nieznacznie proporcje, w jakich drewno jest kierowane do sprzedaży w portalu leśno-drzewnym (70 proc.) i aukcjach systemowych (30 proc.). To dwa kanały dystrybucji dla firm. Portal leśno-drzewny promuje stałych nabywców i jest dostępny tylko dla nich. Na aukcjach systemowych kupuje każdy – i stali nabywcy, i ci, którzy dopiero zaczynają drzewny biznes.

Zwiększenie puli na aukcje systemowe wpływa na poprawę konkurencyjności na rynku. To konieczny warunek, aby umożliwić wejście na rynek nowym krajowym nabywcom i tym, którzy chcą rozwijać swoją działalność. Działanie to jest zgodne z wytycznymi UOKiK, w oparciu o wyrok sądu.

Więcej drewna na portalu to mniej drewna dla nowych nabywców, a przez to mniejsza konkurencyjność takich podmiotów.

– Jako Lasy Państwowe troszczymy się o wszystkie gałęzie przemysłu drzewnego, a nie o wybrane zakłady reprezen-

Samotny wśród swoich



Piotr Semka

Przez wiele lat mnóstwo osób klepało po plecach Tomasza Lisa i gratulowało mu jego pryncypialności. Dziś wielu z nich odwraca się plecami do coraz bardziej podupadającego na zdrowiu opozycyjnego radykała. Cała sprawa Tomasza Lisa pokazuje, że nawet najbardziej przemyślana kariera medialna nie ma szans na długi dystans, gdy nie towarzyszy jej przywiązanie do elementarnych zasad etycznych

Póździernika 2022 r. Tomasz Lis raczej nie będzie wspominał zbyt dobrze. Najpierw portal Wirtualne Media ogłosił, że Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła śledztwo, mające wyjaśnić, co się działo w redakcji „Newsweeka” za czasów jego rządów. Według portalu to efekt zawiadomień, które latem miały wpłynąć

do prokuratury. Mają dotyczyć one m.in. molestowania seksualnego i naruszania praw pracowniczych. Potem 12 października szefostwo TOK FM zaproponowało Lisowi przybycie do radia 21 października i męską rozmowę na antenie na temat zarzutów. Dzień po opublikowaniu tego apelu w warszawskiej radiostacji Tomasz Lis ogłosił, że przeszedł czwarty już

udar i jest w szpitalu. I wreszcie 19 października tygodnik „Polityka” uczynił z tekstu „Sprawa Lisa” pióra Rafała Kalukina okładowy temat numeru. W swoim tekście Kalukin zaznaczył, że to, co się działo w redakcji „Newsweeka” za rządów Lisa, wciąż wymaga pełnego wyjaśnienia. Kalukin bardzo ostro skrytykował też akcję Jacka Żakowskiego



Lis dokonał ucieczki do przodu i udzielił wywiadu na łamach Krytyki Politycznej. Nie przeprosił osób, które poczuły się poniżone stylem jego kolegów

przyczyn tej nagłej decyzji. Bardzo szybko posypały się relacje o skandalicznym sposobie traktowania ludzi przez Lisa. Tezę, że chodzi o coś znacznie poważniejszego niż mobbing, postawił Rafał Kalukin z „Polityki”. Opinię, że „powody (zwolnienia) są znacznie gorsze”, podawałą przez wypowiedziających się anonimowo dziennikarzy „Newsweeka”, postawił też publicznie Szymon Jadczyk z Wirtualnej Polski. Lis najpierw pogroził Jadczykowi sądem, ale potem „wybaczył mu po chrześcijańsku”. Sytuacji Lisa nie poprawiła też publiczna deklaracja dziennikarki Renaty Kim, że mobbing istniał i że to ona zaalarmowała zwierzchników Lisa w tej kwestii.

Faza druga sprawy zaczęła się, gdy zakończyły się działania Państwowej Inspekcji Pracy w „Newsweeku”. PIP sprawdziła procedury antymobbingowe, ogłaszając, że procedury działały w firmie sprawnie.

Tomasz Lis zaczął wówczas bardzo szybko triumfować. Jak pisał: „Na wiele tygodni zamieniono moje życie i życie moich najbliższych w koszmar. Nie oszczędzono mi żadnego epitetu, niczego. Nie oczekuję przeprosin ani nawet refleksji. Jako chrześcijanin mam tylko jedno wyjście – wybaczam. Ale nie wiem, czy kiedykolwiek będę umiał zapomnieć”. Bardzo szybko pozbył się gwiazdora TVN skontrolowano. Wskazywano, że wynik kontroli PIP w „Newsweeku” nie przesądza, czy sprzeczne z prawem praktyki zaistniały w tygodniku czy też nie.

Faza trzecia rozpoczęła się, gdy przyjaciel Lisa Jacek Żakowski ogłosił, że były naczelny „Newsweeka” padł ofiarą niedowiedzionych insynuacji. Sam Lis dokonał ucieczki do przodu i udzielił wywiadu na łamach Krytyki Politycznej szefowej tego portalu Agnieszce Wiśniewskiej. To ona zastąpiła go w piątkowych porankach komentatorskich w TOK FM. Lis przyznał w wywiadzie, że może i jego metody były „retro”, ale nadal uważa je za właściwe. Nie przeprosił osób, które poczuły się poniżone stylem jego kolegów, i dodat-

na rzecz powrotu Lisa na antenę TOK FM w roli komentatora stacji. Żakowski jest od wielu lat stałym autorem „Polityki” i trudno przypuszczać, by tak ostra reprimenda wobec szefa tzw. trzódki nie nastąpiła wskutek decyzji szefostwa „Polityki”.

Bardzo pouczające jest prześledzenie, jakie koleje przechodziła sprawa Lisa i co

ona mówi nam o obyczajach panujących w obozie liberalno-lewicowym.

NIEUDANE PRÓBY WYBIELENIA

Pierwsza faza sprawy Tomasza Lisa zaczęła się 24 czerwca, kiedy to wydawnictwo Ringier Axel Springer Polska poinformowało o zwolnieniu naczelnego „Newsweeka”. Zwracał uwagę brak podania

FOT. GABRYNA WYŚNIEWSKA / FORBIM

■ kowo zaatakował Szymona Jadcza, że mści się za odrzucenie jego rzekomych prób podjęcia pracy w „Newsweeku”.

Żakowski postanowił wykorzystać ten wywiad i ogłosił, że sprawa Lisa w zasadzie została już wyjaśniona. Przedstawił coś w rodzaju ultimatum: ewentualne ofiary mają dwa tygodnie na ujawnienie się, a jeśli tego nie uczynią, to Lisowi należy się certyfikat niewinności i powrót do łóży komentatorskiej.

Arogancka szarża Żakowskiego w obronie swego przyjaciela nie zrobiła jednak wrażenia na kierownictwie TOK FM. Lisowi zaproponowano, aby w rozmowie na żywo na antenie stacji zgodził się odpowiadać na pytania bez tematów tabu. Lis w zasadzie przyjął ofertę, chociaż od razu zaznaczył, że proponowany termin 21 października nie wchodzi w grę, powołując się na zły stan zdrowia. Zaraz potem ogłosił, że po udziale w biegu maratońskim w USA przeżył czwarty udar.

Faza piąta to swoisty bunt na pokładzie Krytyki Politycznej, gdzie tacy publicyści tego lewicowego portalu jak Paulina Januszewska czy stały felietonista „Głupujący Major” bardzo krytycznie odnieśli się do wybielania się Lisa w wywiadzie z Agnieszką Wiśniewską. Dodatkowo przeciwko zbyt szybkiemu rozgrzeszaniu Lisa wypowiedziała się grupa działaczek feministycznych, np. Agnieszka Holland. Lis próbował zbagatelizować prowadzone w prokuraturze śledztwo, deklarując, że nie wie o całej sprawie i że nie był przesłuchiwany. Dziennikarze znający procedury prokuratorskie szybko zwrócili uwagę, że jest to typowy unik. Przy postępowaniach karnych prokuratura najpierw ustala fakty i dopiero na końcu przesłuchuje osobę, wobec której mogą być postawione zarzuty. Paulina Januszewska już pisze o tym, że „prokuratura wisi mu nad głową”.

ŚLADEM KAMILA DURCZOKA

Wydaje się, że kłopoty Tomasza Lisa przypominają perypetie, które były udziałem Kamila Durczoka. Tego celebrytę zwolniono ze stacji TVN w marcu 2015 r. Komisja powołana przez tę stację badająca oskarżenia Durczoka o molestowanie i mobbing ogłosiła, że przypadki takie były, i trzem ofiarom TVN wypłaci zadośćuczynienie. Jednocześnie jednak spółka poinformowała, że zakończy współpracę z dziennikarzem ze skutkiem natychmiastowym, ale w wyniku specjalnego porozumienia. Szczegóły porozumienia okryte były tajemnicą. Liczni obserwa-

Tomasz Lis zaczął być już wcześniej coraz większym kłopotem dla środowiska medialnego wspierającego opozycję. W jego publicystyce coraz częściej pojawiała się coraz bardziej agresywna tendencja do uznawania tzw. symetrystów za faktycznych współników PiS

rzy tego wydarzenia wskazywali, że TVN mógł zapłacić w ten sposób Durczokowi za milczenie w tej sprawie i tym samym znacząco ograniczył negatywne dla wizerunku stacji efekty całego skandalu.

Praktyczne konsekwencje dla Durczoka były dość bolesne. Z jednej strony demonstrował na różne sposoby, że został skrzywdzony oskarżeniami, z drugiej strony nie zdecydował się na pełne wyjaśnienie sprawy. Być może był ograniczany przez klauzulę ugody z TVN. Ten stan rozdarcia między subiektywnym poczuciem krzywdy a trzymaniem się zasady milczenia wokół tego, co się działo w TVN, nie wpłynął dobrze na stan psychiczny katowickiego dziennikarza. Jego kolejne inicjatywy medialne nie odniosły sukcesu, a sam Durczok brnął w nowe problemy, doprowadzając do wypadku w stanie nadużycia alkoholu. Potem postawiono mu zarzuty podrobienia podpisu byłej żony na wekslu oraz wyłudzenia kredytu. Życiowy korkociąg, w który wpadł Durczok, zakończyła jego śmierć 16 listopada 2021 r.

Pewne podobieństwa do sytuacji Durczoka, który w zamian za ugodę z TVN mógł zostać zobowiązany do milczenia na temat okoliczności swego odejścia ze stacji, rzucają się też w oczy w sprawie Tomasza Lisa. Od czterech miesięcy Lis nie potrafi jasno wyjaśnić, co się działo w jego redakcji. Wywiad dla Krytyki Politycznej, nie był dla niego zbyt wymagający i służył raczej kontrolowanemu rozładowywaniu jego kryzysu wizerunkowego. Magdalen Nowicka-Franczak na łamach „Tygodnika Powszechnego” pisała: „Wywiad jest głęboko rozczarowujący, rozmówcy krążą wokół problemu, nie chcąc go ugryźć. [...] Autorom o mniej więcej zbliżonym światopoglądzie nie chce się ze sobą szczerze pogadać”.

Tymczasem „Polityka” piórem Rafała Kalukina nieco uściśliła pogłoski o prawdziwych przyczynach zwolnienia Lisa. Jak pisze Kalukin: „Wynikało z nich, że dziennikarz został oskarżony nie tylko o mobbing, lecz także o napaść seksualną. Nieoficjalnie wiadomo, że chodzi o młodą kobietę zatrudnioną w koncercie RASP, ale nie bezpośrednio podwładną Lisa”. Jeśli istotnie Lis miał coś poważniejszego na sumieniu, to na pewno nie przyjął spokojnie informacji, że niemiecko-szwajcarski konserwatywny zadeklarował wolę pełnej współpracy z prokuraturą w wyjaśnianiu wszelkich znaków zapytania wokół tej sprawy.

KŁOPOTLIWY SOJUSZNIK

Uważny obserwator może jednak dojść do wniosku, że Tomasz Lis zaczął być już wcześniej coraz większym kłopotem dla środowiska medialnego wspierającego opozycję. W jego publicystyce coraz częściej pojawiała się coraz bardziej agresywna tendencja do uznawania tzw. symetrystów za faktycznych współników PiS współodpowiedzialnych moralnie za drugą kadencję rządzącej partii. Przykładowo 23 stycznia 2019 r. Lis pisał, że po zabójstwie Pawła Adamowicza w Gdańsku „symetryzm całkowicie zbankrutował moralnie, stając się religią ślepców albo cwaniaków”. W tekście, który okazał się jego ostatnim edytorialem w „Newsweeku”, Lis ogłosił, że „nie ma już wolnych mediów w Polsce”. Coraz bardziej obsesyjnie atakował tych dziennikarzy, którzy starali się w równym stopniu ważyć błędy PiS i opozycji.

Ale problematyczna była też inna tendencja wyraźnie widoczna w tweetach Lisa. Był to wręcz bezgraniczny kult powracającego do polskiej polityki Donalda Tuska jako lidera opozycji. Wynikało z niego, że wszyscy inni politycy mają w absolutny sposób podporządkować się liderowi PO. Ulubionym chłopcem do bicia stał się dla Lisa Szymon Hołownia. Ale dostawało się też Lewicy z Włodzimierzem Czarzastym na czele.

Lis dodatkowo coraz częściej tracił ostrość widzenia. Gdy uzyskał informacje o publikacji przez „Gazetę Wyborczą” materiałów na temat tzw. sprawy Twin Tower, z emfazą ogłosił, że będzie to „jeden z najważniejszych dni 18-letniej historii PiS”. Tymczasem dęta afeta okazała się zamkniętym kapiszonem.

W powolnym odsuwaniu się od Lisa wielu jego byłych sojuszników być może pojawił się inny, zupełnie ludzki odruch. Zaniepokojenie swoją gorączką politycz-



Tomasz Lis od lat się radykalizował. Tu na jednym z protestów KOD i Nowoczesnej przed Sejmem w 2016 r. FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

na, która zdaje się wypalać psychicznie i fizycznie niegdysiejszego laureata nagród Grand Press.

Obserwację taką zawiera tekst Kalukina: „Chociaż wielu cierpiało z powodu wysokiego ciśnienia pracy w »Newsweeku«, to koniec końców najbardziej ono zmiażdżyło samego redaktora naczelnego. Współpracownicy Lisa z ostatnich lat dosyć zgodnie potwierdzają, że z przebytego kilka lat temu udaru wyszedł już mocno zmieniony. Tak jakby wszystkie tkwiące w jego charakterze toksyny zaczęły się odtąd kumulować w górnych rejestrach. Dawne namiętności stały się teraz obsesjami. Najwyraźniej doświadczenie własnej słabości nie zachęcało do umiaru, tylko – przeciwnie – do jeszcze głębszego wciśnięcia pedału gazu, aby wydusić z nierówno pracującego silnika ostatnie rezerwy mocy”.

W tym sensie formułowane np. przez Jana Śpiewaka życzenia dla Lisa, aby powrócił do zdrowia po czwartym udarze, ale aby nie wracał już do życia publicznego, są najuczciwsiymi życzeniami ratowania się przed spiralą samozagłady.

PODWÓJNE STANDARDY

W staraniach o choć częściowe wybiele nie Tomasz Lisa i jego powrót do praktyki komentatorskiej wyrazistą rolę odegrało dwoje publicystów: Jacek Żakowski i Agnieszka Wiśniewska. Tak się składa, że są to dwa nazwiska, które wielokrotnie demonstrowały bardzo daleko posunięty pryncypializm w kwestii walki przeciw seksizmowi i przyzwoleniu na instrumentalne traktowanie kobiet. A jednak w stosunku do Lisa ważniejsza była swoista taryfa ulgowa dla byłego szefa „Newsweeka”.

Zarówno Wiśniewska, jak i Żakowski potrafili używać bardzo mocnego języka, odmawiając wszelkiej sankcji moralnej Kościołowi katolickiemu na podstawie zachowania niektórych biskupów usprawiedliwiających księży obwinianych o molestowanie seksualne. Tymczasem zarówno apele Żakowskiego o powrót Lisa na antenę TOK FM, jak i „aksamitne” pytania Wiśniewskiej wobec Lisa pokazują, że mechanizm obrony „swoich” potrafi dokładnie kopiować postawy, za które biskupi katolicy bywali smagani najostrzejszymi określeniami. Nieprzypadkowo publicystka Krytyki Politycznej Paulina Januszewska, mimo bronięcia pro forma Wiśniewskiej, pisze: „Dyskusowanie w lewicowym piśmie z osobą oskarżaną o mobbing jest co najmniej problematyczne, bo sama besztam dziennikarzy Onetu i Polsatu, kiedy zapraszają do swoich programów faszystów i homofobów. Jak sobie z tym radzicie? Bo ja nie najlepiej”. Bojowa feministyczna publicystka dostrzegła w dość ulgowym traktowaniu Lisa analogię do uhonorowania Donalda Tuska na ostatnim Kongresie Kobiet. Januszewska dostrzegła w obu tych przypadkach oburzający przykład faworyzowania „dziadersów”, podejrzewanych o ukryty mizoginizm.

Na niekorzyść Lisa wpływa też to, że jest postrzegany przez młodą lewicę jako dinozaur z epoki balcerowiczowskiej z jego kultem „zapierdolu”. Ale w ogólnej zmianie nastawienia wobec Lisa może mieć też udział bardzo trywialny czynnik. Szefów jednego z portali informacyjnych wskazuje: „Do coraz wyższych pozycji w mediach dochodzą dziś ludzie, którzy zetknęli się z Lisem 20, 15 czy 10 lat temu. Wtedy oglądali jego arogancję, a niekie-

dy chamstwo z pozycji młodych ludzi, którzy dopiero zaczynali swoją karierę w mediach. I dobrze je sobie zapamiętali. A pamiętajmy, że Lis już przeszedł przez sporo redakcji – TVP, TVN, Polsat, redakcje „Wprost” czy „Newsweeka”. Dziś wcale nie mają ochoty, by podawać mu rękę, gdy znalazł się w dołku”.

WSZYSTKO PRZEMIJA

Cała sprawa Tomasza Lisa pokazuje, że nawet najbardziej przemyślana kariera medialna nie ma szans na długi dystans, gdy nie towarzyszy jej przywiązanie do elementarnych zasad etycznych. Lis miał wiele cech dobrego dziennikarza, ale uwierzył, że jest nadczłowiekiem. To, że wchodził w kolejne konflikty z kierownictwem najpierw TVN, potem Polsatu, potem „Wprost”, a na końcu z zespołem „Newsweeka”, pokazuje, że wszelkie próby łagodzenia negatywnych cech jego charakteru kończyły się tylko w jeden sposób – zerwaniem i trzaskaniem drzwiami. Walutą, która umożliwiała mu przedłużanie swojej dobrej passy na stanowiskach kierowniczych w mediach, był pryncypialny antykacyzm. Ale nawet na tym polu Lis zaczął gustować w ekstremizmie. Atakowanie dziennikarzy symetrystów, z których wielu oskarżanych było przez Lisa o jakieś tajne konszachty z PiS, zaczęło zahaczać o swoistą manię prześladowczą. A kult Tuska na białym koniu spowodował, że wszelkie wymagania wobec lidera PO urastały do rangi sabotażu i zdrady.

A jednak przez wiele lat mnóstwo osób klepało po plecach Tomasza Lisa i gratulowało mu jego pryncypialności. Dziś wielu z nich odwraca się plecami do coraz bardziej podupadającego na zdrowiu opozycyjnego radykała. Coraz bardziej wątpię, czy Lis w swojej obecnej kondycji psychofizycznej jest jeszcze atutem czy już obciążeniem w staraniach o zapobieżenie trzeciej kadencji PiS.

Problem w tym, że dla Lisa polityka jest wszystkim. Próba odwyku od ideologicznego rauszu może być dla miłośnika maratonów bardzo trudnym zadaniem. Pytanie – czy możliwym do urzeczywistnienia. Lis 27 października znów wygłosił „krótkie orędzie o stanie zdrowia”. Wynika z niego, że szok wywołany czwartym udarem nie wróży szybkiego powrotu do pełnej sprawności. Naturalne w tym przypadku życzenia powrotu do zdrowia zepchnęły na dalszy plan pytania o to, co takiego działo się w „Newsweeku”.



Rafał A. Ziemkiewicz

Donald Tusk, podchwytyjąc sensację „Newsweeka” z odgrzewanej „afery podsłuchowej”, strzelił sobie w kolano

Nagłe pojawienie się w politycznej grze pomysłu powołania sejmowej komisji śledczej ds. wyjaśnienia kelnerskich podsłuchów sprzed ośmiu lat jest dobitnym dowodem, że prowadzona od lat tożsamościowa wojna partyjnych plemion doprowadziła do całkowitej degeneracji polskiego życia politycznego i zamieniła je w groteskę. Co więcej, nagły powrót tematu sprzed lat, mimo braku jakichkolwiek nowych faktów czy nieznanych wcześniej okoliczności, pokazuje tę degenerację na wielu poziomach.

ŁAKNIENIE „NEWSA”

Przede wszystkim trudno o bardziej jaskrawy przykład zjawiska, o którym wielokrotnie tu już pisaliśmy – narastającego uzależnienia lewicowo-liberalnej opozycji od agregujących antypisowskie emocje mediów, czyli, mówiąc obrazowo, merdania przez ogon psem. Tygodnik „Newsweek”, zmagający się po spektakularnym upadku Tomasza Lisa z kryzysem, potrzebował wygenerowania jakiegoś „przełomowego niusa”, wyciągnął więc z zapomnienia zeznanie byłego współnika Marka Falenty, zleceniodawcy kelnerskich podsłuchów, którego nazwiska zgodnie z prawem nie wolno ujawniać, występuje więc jako Marcin W. Wspólnik ów zeznał w pewnym momencie śledztwa, jakoby Falenta miał mu powiedzieć, czy tylko zasugerować, że nagrane przez kelnerów taśmy sprzedał jakimś bliżej nieokreślonym Rosjanom. „Newsweek” podkreślił sprawę, sugerując, że w śledztwie tych oskarżeń w żaden sposób nie weryfikowano, co okazało się kłamstwem – użytym zresztą świadomie, na co wskazuje ostrożny procesowo sposób, w jaki to oskarżenie sformułowano w druku. Na tej podstawie skonstruowano krzykliwą demaskację, że PiS doszedł do władzy dzięki Putinowi, ergo – jest agenturą Putina i realizuje jego politykę.

Sensacja w sam raz na okładkę pisma dla skrajnie sfrustrowanej części żelaznego elektoratu „opozycji totalnej”, pożąda-



Ośmiorniczki

jącego codziennie nowej pożywki dla swej graniczącej z histeryczną nienawiścią niechęci wobec rządzącej od ponad siedmiu lat formacji. W sam raz, żeby istnieć przez tydzień w medialnym habitacie tego elektoratu, skutkując mnogością mniej lub bardziej histerycznych komentarzy w społecznościowych „bańkach”, i wygenerować „Newsweekowi” zasięgi – a potem stopniowo ulec zapomnieniu jak „afera dwóch wieź”, „zabieranie Internetu”, „zakaz edukacji seksualnej w szkołach” i dziesiątki tego rodzaju pseudoafery od lat regularnie generowanych na użytek lemingów przez media rywalizujące o pieniądze nienawidzących PiS upadłych „elit”.

Podobnie jednak, jak już wiele razy wcześniej, odpalona przez jedno z tych me-

diów jednodniowa sensacja podchwycona została przez opozycyjnych polityków, stając się tematem konferencji prasowych i przemów w duchu „ta sprawa musi zostać wyjaśniona”, „to ostateczna kompromitacja PiS” itd. Apele o stworzenie sejmowej komisji w tej sprawie również pojawiły się niejako rutynowo, bo tak samo pojawiały się przy poprzednich „afarach”.

SAMOBÓJSTWO PLATFORMY

W zasadzie – rutyna, ale tym razem podchwycenie (żeby nie rzec złośliwie: zaaportowanie) rzuconej przez redaktora Sekielskiego pseudosensacji akurat przez lidera PO było wyjątkowo niemądre. Z punktu widzenia tej partii przypominanie o kelnerskiej aferze w jakim-

Przypominanie nagrań polityków PO podsłuchanych w restauracji nie przekona nikogo do ich partii

FOT. KAROL SEREWS / EAST NEWS

rzyjaciele

kontratakują

kolwiek kontekście jest samobójstwem. Mimo „zużywania się” partii rządzącej, szczególnie szybkiego w czasie kryzysu i ogólnej niepewności PO wciąż nie jest w stanie przekonać do siebie nie tylko rozczarowanych wyborców PiS (ci, według badań, przechodzą jedynie do „poczekalni” – opcji „nie wiem” albo „nie pójdę na wybory”), lecz także nawet tych wyborców, którzy, nie chcąc kontynuacji rządów PiS, wciąż nie mogą wybaczyć PO jej rządów sprzed roku 2015 i przeszli do innych partii opozycyjnych, głównie do Polski 2050. Szanse, że powrót do sprawy podsłuchów nastawi przeciwko PiS kogokolwiek poza tymi, którzy i tak są od lat nastawieni, są zerowe. Natomiast wydobywanie z litościwej niepamięci

wyborców bredni, które wygadywali nieświadomi podsłuchu politycy PO, w dużej części nadal czynni, dodatkowo immunizuje politycznych „normalsów” na polityczną ofertę opozycji.

Gdyby jeszcze podchwycił sensacje „Newsweeka” Hołownia albo Czarzasty, miałyby to sens, jakkolwiek nie w kwestii walki z formacją rządzącą, tylko ustalania „hierarchii dziobania” w opozycji. Ale Tusk w ten sposób po prostu strzelił sobie w kolano. Jak bardzo, pokazał rozwój wypadków: Zbigniew Ziobro podchwycił apel Tuska o odtajnienie wszystkich zeznań Marcina W. i odtajnił, może nie wszystko, ale te z kolei opowieści świadka, które uderzały w Tuska – o rzekomych 600 tys. euro wręczonych Tuskowi junio-

rowi jako łapówka dla ojca, perwersyjnie opakowanych w reklamówkę Biedronki.

Pomińmy dalsze wynikające z tego bicie propagandowej piany – wieszanie przez młodzieżówkę PiS reklamówek Biedronki na biurach poselskich PO (swoją drogą, trudno nie zazdrościć sieci darmowej reklamy, którą jej cała sprawa przysporzyła), duszoszczypatelne lamenty Tuska nad tym, że atakowana jest jego rodzina, i opowieści o miłości, którą do niej żywi – chyba już do tej całej żenady przywykliśmy. Ważne jest jednak, dlaczego wytrawny przeciw polityk, były premier i eksponowany funkcjonariusz UE, mający za sobą wiele sukcesów w polityce, a bodaj czy nie więcej jeszcze w politycznych intrygach, postąpił nagle w sposób ewidentnie niemądry, podchwytując zgubny dla siebie i swojej partii temat.

Otóż dlatego, że musiał. W skłóconej opozycji, przypominającej jako żywo centroprawicowy Konwent Świętej Katarzyny sprzed dwóch dekad, ktoś i tak by próbował na generowanych przez oskarżenia „Newsweeka” emocjach zyskać. I wtedy Tusk zostałby oskarżony o to, że nie dość aktywnie walczy z PiS, nie wykorzystuje każdej okazji do jeremiad o „pisanej cyrylicą” agenturze, mówiąc krótko – że nie sprawdza się w roli lidera opozycji. Bo rywalizacja między jej przywódcami w zasadzie toczy się wyłącznie w jednej kwestii: który mocniej „przytł” PiS i pójdzie dalej w oskarżaniu „reżimu” o wszelkie możliwe zbrodnie. A arbitrem rozstrzygającym w tej rywalizacji nie są wyborcy, tylko owe żyjące z nakręcania maksymalnych antypisowskich emocji media. Na tym właśnie polega „merdanie” lewicowo-liberalnym psem przez jego medialny ogon.

Inna sprawa, która zaznacza się przy tej okazji, to skłonność polityków obu stron do wszelkiego rodzaju wolt, jeśli akurat zmiana pozycji umożliwia wyprowadzenie ciosu. Przecież dokładnie takiej komisji śledczej żądał PiS wtedy, gdy sprawa podsłuchów się rozgrywała – a PO zarzekała się wtedy i zapierała, że nie ma to żadnego sensu i jest całkowicie zbędne. Dziś nikt nie wyraża zdziwienia, że role się odwróciły.

Choć – nie można być pewnym, czy PiS, choć w pierwszej chwili pomyśl komisji przyjął lekceważąco, po zastanowieniu się po raz kolejny nie strolluje PO w taki sam sposób, jak zrobił to z zeznaniami Marcina W. i nie podpisze się pod pomysłem Tuska, albo zgoda sam nie zgłosi

ponownie wniosku o powołanie komisji. Nietrudno przecież przewidzieć, jak by taka komisja wyglądała. Ponieważ bezmyślne obelgi miotane na Kukiza i innych potencjalnych sojuszników przy budowaniu nowej większości sejmowej oraz nieustające zapowiedzi zemsty, wsadzania do więzień bez sądu i „wyprowadzania” z instytucji skutecznie zniweczyły nadzieje opozycji na erozję sejmowej reprezentacji PiS, to partia rządząca zdecydowała, że komisja taka zajmowałaby się głównie bezlitosnym grillowaniem partii Tuska. Marek Falenta już ponoć wyraził, i to entuzjastycznie, gotowość występu przed nią. Podobnie jak on także wiele innych zamieszanych w sprawę osób nie ma nic do stracenia, a wiele do zyskania – a jak pokazują wspomniane już zeznania Marcina W. w śledztwie prokuratorskim, które trudno odczytać inaczej niż jako zgłaszanie śledczym gotowości do obciążania tych albo tamtych, w zależności, w zamian za co można by uzyskać złagodzenie, elokwencji mogłoby im nie zabraknąć.

Nawet jeśli nikogo to do niczego nie przekona, przypomnienie wszystkich barwnych bodźców polityków obecnej opozycji, żyjącej wtedy w przekonaniu, że władzy raz ofiarowanej im przez „młodych, wykształconych, z dużych miast” nie utraci nigdy, stanowiłoby wdzięczny materiał do propagandowych igrzysk odwracających uwagę od węgla, prądu, inflacji, funduszy unijnych i wszystkich innych bieżących plag. O których skądinąd opozycja także nie za bardzo ma cokolwiek sensownego do powiedzenia.

POLITYCZNE KONSEKWENCJE KOMISJI RYWINA

W ten sposób dochodzimy do kolejnej obnażonej patologii naszej polityki, jaką jest życie sejmowe. Względny sukces komisji Rywina – nie merytoryczny, ale polityczny – sprawił, że powołano po niej wiele tego rodzaju gremiów. Z żadnego nie wynikło nic poza gadaniem, a z tego gadania wynikło cokolwiek bodaj tylko jeden jedyny raz, kiedy to mecenas Giertych, wtedy jeszcze po przeciwnej stronie, przyprowadził na komisję panią Jarucką, przy użyciu której zniszczył Włodzimierza Cimoszewicza i otworzył drogę do prezydentury Lechowi

Z żadnej z powoływanych do tej pory sejmowych komisji śledczych nie wyniknęło nic poza gadaniem

Kaczyńskiemu. Kto pamięta dziś choć jeden wątek, choć jeden bon mot z transmitowanych na podobieństwo telewizyjnych seriali komisji orlenowskiej, bankowej, hazardowej, Amber Gold i wielu innych? Ba, kto potrafi je nawet wyliczyć?

Poza tym, że sejmową komisją śledczą zawiaduje sejmowa większość, a zatem rządzący, co jako narzędzie kontroli opozycji nad postępowaniem władzy czyni ją całkowicie nieskuteczną, problematyczne jest jej powoływanie w ostatnim roku kadencji. Prawo stanowi bowiem, że komisja musi zakończyć prace i przedstawić wnioski do przegłosowania w tej samej kadencji, w której została powołana, inaczej wszystkie jej ustalenia pójdą do kosza. Wydaje się wątpliwe, aby komisja, nazwijmy ją, kelnerska, zmieściła się w pozostałym jej czasie. Chyba że zręczny przewodniczący zamknąłby jej prace w pewnym momencie podstępem, jak zrobił to kiedyś ze „swoją” komisją – to jeszcze pamięta? – Mirosław Sekuła.

Donald Tusk, występując z pomysłem takiej komisji, kierował się niewątpliwie chęcią wypromowania narracji, w której lewicowo-liberalna frustracja dostrzegła kolejną nadzieję na wieszczony od lat „koniec PiS”. Nie obaliły go oskarżenia, że ogałaca Polskę z drzew, morduje po lasach „uchodźczyń” z dziećmi, nie obaliły go antykościelne filmy ani prorocтва „pozbawienia nas wolności” ani „wyprowadzania z Europy” – ale Putina nikt przecież nie lubi, więc oskarżenie, że PiS to agentura Putina, musi zadziałać!

To myślenie kwalifikuje liberalno-lewicowe elity do leczenia psychiatrycznego: w kontekście wypadków zarówno poprzedzających dojście PiS do władzy (tragedia w Smoleńsku), jak i całej jego sprzecznej z interesami Rosji praktyki rządzenia uwięzionej intensywną pomocą dla Ukrainy, oskarżenia, których chywycono się na arcycwalej postawie dawnych kontaminacji mało wiarygodnego świadka, nawet (wbrew otwartym kłamstwom niektórych polityków i „liderów opinii” opozycji) niezaprzysiężonych, bo pochodzących

ze śledztwa, są po prostu absurdalne. Równie dobrze można by oskarżyć PiS, że został przywieziony przez UFO i służy interesom złowrogiego Zoltara z planety Spectra. Choć, nawiasem mówiąc, chyba miał rację jeden z komentujących sprawę użytkowników Twittera, pisząc, że gdyby ktoś, niekoniecznie sprawiający wrażenie zdrowego psychicznie, wystąpił z oskarżeniem, że Jarosław Kaczyński jest reptilianinem, prawdopodobnie zobaczylibyśmy Tuska, Budkę i wielu ich „dziennikarzy” ze śmiertelną powagą domagających się poddania lidera PiS przymusowym badaniom lekarskim pod tym kątem.

Ten obłąd, istny sekciarski kolaps liberalnej lewicy w Polsce, następuje w czasie, gdy wszystkie obiektywne okoliczności wydają się jej sprzyjać. Wytworza to w PiS duże poczucie bezkarności, a w wyborcach – bezalternatywności jego rządów. Poza nieustannym jazgotem sięgającym absurdu, oskarżaniem o putinizm, o masowe ludobójstwo (tak, „śmiertelne ofiary PiS idą już setki tysięcy” – powtarza przecież ścigająca się z „Newsweekiem” w radykalizmie „Gazeta Wyborcza”), linią opozycji, mimo jej rzekomo liberalnych korzeni, jest przecież „rozdamy jeszcze więcej niż PiS i zrobimy wszystko to samo, tylko bardziej”. Trudno odmówić słuszności działaczom Konfederacji, gdy twierdzą, że w sprawach naprawdę ważnych PO niczym się od PiS nie różni i że cała wojna między nimi dotyczy jedynie stołków i „konfitur”. Tyle że konfederaci łączą z kolei te słuszne skądinąd spostrzeżenia z wykwitami graniczącego z wariactwem ekscentryzmu i sprzecznej zarówno z interesami Polski, jak i z nastrojami społecznymi walką z fantomem „ukrainizacji”.

W tym ogólnym wyjałowieniu powrót ośmiorniczek mógłby przynajmniej dostarczyć wyborcom rozrywki – bo, najdelikatniej mówiąc, afera, która przyczyniła się do upadku rządów lewicowo-liberalnych (choć nie była, wbrew twierdzeniom ich pogrobowców, przyczyną tego upadku), wróciła jako farsa, zgodnie z zasadą Marksa. Podkreślają to jeszcze godne Bustera Keatona talenty aktorów tej farsy, którzy im bardziej groteskowe rzeczy mówią, w tym bardziej sieriożny sposób i z poważniejszymi minami potrafią je mówić. Może i byłoby się z czego śmiać, gdybyśmy akurat żyli w poczuciu bezpieczeństwa, gwarantowanego dostatku i niezagrożonej niczym pewności lepszej przyszłości.

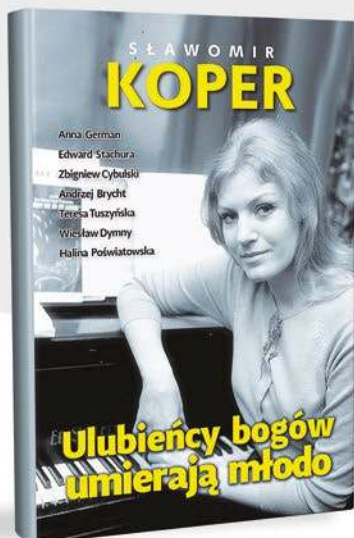
Niestety, akurat mamy nieco inną sytuację.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

924 Zł

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:
„ULUBIĘCY BOGÓW
UMIERAJĄ MŁODO”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

341,00 Zł
OSZCZĘDNOŚĆ 583 Zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl d472366061



Łukasz Warzecha

Praktycznie w tajemnicy przed opinią publiczną ktoś – dotąd nie wiemy, kto konkretnie i na czyje polecenie – uzgodnił z Komisją Europejską przeprowadzenie zmian z jednej strony uciążliwych dla polskich obywateli, z drugiej – przekraczających dalece kompetencje Unii

Do dziś nie wyjaśniła się sprawa tajemniczej listy warunków i kamieni milowych, od których uzależnione jest przyznanie Polsce pieniędzy z programu odbudowy i odporności. Jako że pamięć polityczna bywa bardzo krótka, przypomnijmy: dość niespodziewanie w maju okazało się, że lista kamieni milowych, które Polska zobowiązała się wypełnić, aby zacząć otrzymywać pieniądze z KPO, nie zawiera bynajmniej jedynie trzech punktów, dotyczących sądownictwa. Jest wielokrotnie dłuższa, jest na niej blisko 300 pozycji, z czego część to właśnie z angielska zwane „kamienie milowe”, a część to cele do wypełnienia. Ze sporym zdumieniem dowiedzieliśmy się np., że rząd zobowiązał się do obłożenia do 2026 r. specjalnym podatkiem właścicieli pojazdów spalinowych, a do 2024 r. – do wdrożenia podwyższonej opłaty rejestracyjnej dla samochodów z takim napędem. W tym natomiast roku powinny zostać wprowadzone zmiany w regulaminie Sejmu, według dokumentu mające „usprawnić” proces legislacyjny.

Było to zatem coś absolutnie zadziwiającego: praktycznie w tajemnicy przed opinią publiczną ktoś – dotąd nie wiemy, kto konkretnie i na czyje polecenie – uzgodnił z Komisją Europejską przeprowadzenie zmian z jednej strony uciążliwych dla polskich obywateli, jak te dotyczące motoryzacji, z drugiej – przekraczających dalece kompetencje Unii, jak te w sprawie regulaminu Sejmu.

PETARDA I UNIKI

Rządzący próbowali problem bagatelizować. Pan premier powtarzał np. wiele razy, że Polska nie zamierza wprowadzać żadnej opłaty dla posiadaczy pojazdów



Premier Mateusz Morawiecki w towarzystwie przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Nowy trup w szafie z funduszami UE

spalinowych, choć w spisie dokładnie tak właśnie zostało sformułowane i nie dało się tego rozumieć inaczej. Przy czym opozycyjni politycy i media (poza Konfederacją) skoncentrowali się właściwie wyłącznie na kwestii sądownictwa, odpuszczając temat, który sam pchał się im w ręce. Po jakimś czasie szef rządu zaczął opowiadać, że KPO nie jest właściwie aż tak istotny, bo najważniejsze są pieniądze z głównej perspektywy budżetowej. Była to podwójna ucieczka od niewygodnego tematu. Po pierwsze – od sprawy niewypłacania Polsce pieniędzy z KPO mimo spełnienia przez nas pierwotnie wysuwanych

warunków. Po drugie – właśnie od kwestii zaskakującej listy warunków i celów.

Od tamtego czasu sprawa ucichła – zapewne dlatego, że dla niemal wszystkich stało się oczywiste, że te ponad 100 mld zł (nie licząc pożyczek) do nas w najbliższym czasie nie trafi. Mimo to, jako uczestnicy programu odbudowy i odporności, musimy już przecież brać udział w spłacie wspólnych zobowiązań zaciągniętych w jego ramach.

Tymczasem okazuje się, że nie był to ostatni trup w szafie, gdy idzie o fundusze unijne. Niedawno petardę odpalił Marc Lemaître, Luksemburczyk, dyrektor

generalny KE odpowiadający za fundusze regionalne. Lemaître powiedział: „Polskie władze same zadeklarowały, że nie wypełniły jednego z podstawowych warunków umożliwiających zwrot pieniędzy, związanego z Kartą praw podstawowych. To horyzontalny warunek, nie dotyczy poszczególnych sektorów, ale całości funduszy. I dopóki on nie będzie wypełniony przez Polskę, dopóty płatności nie będą zwracane przez KE”. W Polsce zapanowała konsternacja, ale rządzący szybko postanowili odpowiedzieć w typowy dla siebie sposób: dyskredytując samego Lemaître’a.

W czasie konferencji prasowej rzecznik rządu Piotr Müller pokazał CV unijnego urzędnika i wytykał mu, że był powiązany z politykami Platformy Obywatelskiej jako szef gabinetu Janusza Lewandowskiego, komisarza do spraw budżetu i finansów w latach 2010–2013, a wcześniej, w latach 2007–2009, kierował gabinetem komisarza Danuty Hübner, odpowiedzialnej za politykę regionalną. Trudno jednak zrozumieć, w jaki sposób miałyby to podważać słowa Lemaître’a. Z faktu, że luksemburski urzędnik faktycznie ma powiązania z politykami obecnej opozycji, nie tylko nie wynika, że jego finansowe groźby wobec Polski są bez pokrycia, lecz także przeciwnie: raczej je uprawdopodobnia, bo znaczy to, że siedzi on w głównym i dominującym nurcie brukselskiej polityki. Zatem konferencja Piotra Müllera była tylko PR-owskim zagranem na wewnętrzny rynek.

CZY PREMIER WIEDZIAŁ?

Wystarczyło zresztą spojrzeć do ramowej umowy partnerstwa, podpisanej przez Polskę, żeby przekonać się, że urzędnik niczego sobie nie wymyślił – i to jest największe zaskoczenie. Na stronie 218 tejże umowy znajdujemy rozdział „Skuteczne stosowanie i wdrażanie Karty praw podstawowych”, a w nim czytamy: „W celu spełnienia warunku wypracowano jednolitą procedurę określającą obowiązki wszystkich instytucji zaangażowanych we wdrażanie programów w zakresie zapewnienia ich zgodności z Kartą Praw Podstawowych (KPP). Procedura obejmuje monitorowanie, przygotowanie i zgłaszanie podejrzeń o niezgodności projektów z KPP i dotyczy wszystkich programów realizowanych w ramach wskazanych 8 funduszy. Procedura dotyczy weryfikacji zgodności z KPP zarówno na etapie złożenia wniosku o dofinansowanie, jak i w trakcie realizacji projektów”.

Prawdziwa bomba to nie to, co we fragmencie naszej umowy ramowej, traktującym o Karcie praw podstawowych jest, lecz to, o czym tam mowy nie ma

Poniżej znajduje się tabelka, w której pojawia się informacja, że warunek ma zastosowanie do wszystkich funduszy oraz że jest niespełniony. Wszystko zatem zgadza się z tym, co mówił Marc Lemaître. A jeszcze w czerwcu rząd chwalił się, że zakończył uzgadnianie umowy partnerstwa. Mateusz Morawiecki sięgał właśnie po tę kwestię, pytany przez niektórych dziennikarzy o KPO, mówiąc, że, owszem, KPO jest ważny, ale najważniejsze jest 76 mld euro, czyli ponad 300 mld zł, które Polska ma otrzymać na podstawie tejże umowy w ramach zwykłego budżetu unijnego. O trupie w szafie nie wspominał. Pytanie brzmi, czy o nim wiedział. Za przygotowanie umowy oficjalnie odpowiadało Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej, kierowane przez Grzegorza Pułę, wcześniej ministra rolnictwa, który zasłynął promocją „piątki dla zwierząt” oraz brataniem się z animalsami.

CO Z PROTOKOŁEM BRYTYJSKIM?

Prawdziwa bomba to nie to, co we fragmencie naszej umowy ramowej, traktującym o Karcie praw podstawowych (KPP) jest, lecz to, o czym tam mowy nie ma. Nie wspomniano mianowicie o protokole brytyjskim. I tu musimy wrócić do czasów walki o traktat lizboński w połowie pierwszej dekady XXI w. KPP była pomyślana jako jego uzupełnienie i miała zostać przyjęta wraz z traktatem, który – trzeba przypomnieć – znacząco ograniczał naszą siłę głosu w Radzie UE w porównaniu z wcześniej obowiązującym systemem nicejskim. Polska uznała, że karta w zbyt dużym stopniu ingeruje w nasze sprawy wewnętrzne, otwierając możliwości zewnętrznej interwencji w kwestiach światopoglądowych, i dlatego dołączyliśmy się do protokołu brytyjskiego. Londynowi zależało wtedy na tym, aby wyłączyć się ze stosowania zapisów KPP dotyczących rynku pracy, ponieważ były one traktowane – słusznie

zresztą – jako zagrożenie dla konkurencyjności brytyjskiej gospodarki. Warszawa z tego skorzystała i dopisała się do tego wyłączenia. Powstał dokument, który w dwóch krótkich artykułach bardzo ogranicza wpływ karty na Wielką Brytanię (dziś już poza UE) oraz Polskę. Najważniejsze było, że KPP miała działać jedynie w takim zakresie, w jakim jej postanowienia obejmowało polskie prawo. Mówiąc prościej – nie byłaby możliwa sytuacja, w której karta stałaby się podstawą, aby domagać się zmiany polskiego ustawodawstwa czy to w sprawach np. praw mniejszości seksualnych, czy aborcji, czy jakichkolwiek innych. Zapisy karty są lakoniczne i ogólnikowe, ale to właśnie dawałoby choćby Trybunałowi Sprawiedliwości UE możliwość ich rozszerzających interpretacji. W ostatnich latach dostaliśmy wystarczająco wiele dowodów, że tak właśnie by było. Tymczasem za sprawą protokołu brytyjskiego byliśmy chronieni. Jeżeli czegoś nie było w polskim prawie, to KPP nie mogła być podstawą, żeby domagać się wprowadzenia tego rozwiązania u nas. Co ciekawe, choć Donald Tusk przed wyborami w 2007 r. obiecywał, że Polska zrezygnuje z protokołu brytyjskiego, taka decyzja nigdy nie zapadła. Żeby było zabawniej, karty broniły wówczas osoby, które dzisiaj niemal bezkrytycznie wspierają politykę rządu – np. Jacek Saryusz-Wolski, wtedy europoseł PO.

Problem w tym, że nasza umowa ramowa w ogóle o protokole brytyjskim nie wspomina. A to oznacza, że rozliczać nas można z całej treści karty, stosując niemal dowolne interpretacje. Mało tego, jak ustalili dziennikarze, „DGP”, odwołania do KPP nie było w naszej poprzedniej umowie ramowej, a w obecnej perspektywie budżetowej nie ma go m.in. w umowach Niemiec czy Słowenii. Dlaczego zatem jest w polskiej? Nie wiemy, władza nie wyjaśnia. Nie sposób powiedzieć, czy to niedopatrzenie czy świadoma decyzja przedstawicieli rządu, ponieważ ten nabrał wody w usta, najwyraźniej wyczekując, czy faktycznie KE będzie próbowała skorzystać z pretekstu ze strony 219 naszej umowy, aby zatrzymać kolejne pieniądze dla Polski. Jeżeli tak się stanie – a jest to niestety bardzo prawdopodobne – to jedno powinno być jasne: to my sami daliśmy Komisji Europejskiej do ręki narzędzia, za pomocą których będzie mogła nas coraz skuteczniej szantażować. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, przewodniczącym Rady Rozwoju Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP oraz byłym ministrem rolnictwa rozmawia Ryszard Gromadzki



FOT. TOMASZ CZELI/PAP

Ratujmy swoje

RYSZARD GROMADZKI: W mediach pojawiły się informacje o pana powrocie do rządu. Dostał pan taką propozycję?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Nie. Nikt ze mną na ten temat nie rozmawiał. To bardziej spekulacje medialne niż ocena rzeczywistości.

Gdyby otrzymał pan taką ofertę, przyjąłby ją pan?

To jest o wiele bardziej skomplikowane przedsięwzięcie niż tylko chęć bycia ministrem. Musi się to wiązać z pewnymi gwarancjami dla rolnictwa i możliwością kontynuowania polityki rolnej, którą starałem się realizować, będąc ministrem, która była przez rolników popierana, czego wyrazem były wyniki wyborów parlamentarnych i prezydenckich.

Mam tu gorzką satysfakcję, że po dwóch latach prezes partii, wprowadzony dwa lata temu w błąd przez swoich najbliższych współpracowników, przyznał, że „piątka dla zwierząt”, która była kością niezgody z polską wsią i wykopała rów między Prawem i Sprawiedliwością a rolnikami, była błędem, że nie należało jej wprowadzać. Tylko to jest satysfakcja po czasie, że miałem rację. Niestety, mleko się rozlało, odbudowa zaufania wsi do PiS jest bardzo trudna. Co gorsza, nic się nie wydarzyło oprócz tego, że do starych problemów, takich jak „piątka dla zwierząt”, dochodzą kolejne, zupełnie niezrozumiałe na wsi decyzje. Mam na myśli choćby bardzo złe i nieudolnie przeprowadzoną waloryzację świadczeń emerytalnych w Kasie Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego. Zapowiadano waloryzację w wysokości 7 proc., a skończyło się na tym, że realnie w wielu przypadkach waloryzacja wyniosła mniej niż 1 proc. Stało się tak, bo waloryzację przeprowadzono nie od kwoty otrzymy-

wanej, lecz od kwoty bazowej. Tyle że nikt tego wcześniej ludziom nie tłumaczył. To wywołało duże rozczarowanie na wsi.

Innym przykładem nierozumienia sytuacji dochodowej rolników, przecież artykułowanej nie tylko dla ich własnych korzyści, był projekt radykalnego ograniczenia stosowania biopaliw w Polsce, co praktycznie zniszczyłoby produkcję rzepaku, jednej z najważniejszych roślin w strukturze zasiewów, do tego wpisującej się w proekologiczny charakter produkcji rolnej promowanej przez Unię Europejską. Rośliny dostarczającej rolnikom sporych dochodów, a także znacznych ilości paszy, która mogłaby zastępować w dużej mierze srućę GMO z soi, na którą wydajemy miliardy złotych rocznie. Nagle okazuje się, że ktoś chce ten dobrze funkcjonujący w Polsce mechanizm rozwalić.

Ten projekt zgłaszały inne resorty, ale pytanie brzmi: Dlaczego nie reagoowało Ministerstwo Rolnictwa? Przecież w trakcie uzgodnień międzyresortowych ten projekt był w Ministerstwie Rolnictwa, a któryś z wiceministrów, nawet nie wiem który z nich, go nadzorował, więc musiał wiedzieć, jakie konsekwencje ten projekt dla polskiego rolnictwa może spowodować. Projekt przyjęty przez Radę Ministrów przy braku sprzeciwu ze strony Ministerstwa Rolnictwa wywołał, podobnie jak „piątka dla zwierząt”, wściekłość na wsi. Ostatecznie zostało to zablokowane osobistą decyzją Kaczyńskiego. Dobrze, że rozwiązano to choć w taki sposób.

Wobec indolencji resortu rolnictwa w tak ważnej dla rolników sprawie, o której pan mówi, rodzi się pytanie: Czy w resorcie jest ktoś, kto świadomie buduje politykę rolną, kto jest w stanie oprzeć się naciskom? Pan ostatnio krytycznie wypowiadał się o ministrze Kowalczyku.

Ja ufam Kowalczykowi. Jest on człowiekiem niewątpliwie uczciwym, choć przy tego typu wypadkach jak ta dotycząca biopaliw nie rozumiem, czy Ministerstwo Rolnictwa pilnuje bezpieczeństwa żywnościowego, dochodów rolniczych, zagospodarowania obszarów wiejskich. Minister ma tyle rzeczy na głowie, że musi się opierać na wiceministrach. Nie wiem, czy w sprawie biopaliw można mówić o osobistej odpowiedzialności Kowalczyka czy kogoś, kto w ministerstwie tej sprawy nie dopatrył.

Były zapowiedzi utworzenia Krajowej Grupy Spożywczej, zresztą byłem w ten proces mocno zaangażowany. Byłem przekonany, a nawet jestem nadal przekonany, bo nadzieja ginie ostatnia, że jest możliwość stabilizowania rynków rolnych w ograniczonych oczywiście granicach przez dobrze funkcjonujący, duży podmiot państwowy. Cóż, także ze strony ministra Kowalczyka były zapowiedzi, że ten podmiot będzie działał na rynku owoców miękkich, na rynku jabłek przemysłowych, które w tym roku pięknie obrodziły, podobnie jak w roku 2018, niestety żadnych reakcji resortu, które by ratowały sadowników, nie widać. To samo dotyczy innych rynków. Okazuje się, że holding, owszem, powstał, ale na razie ekscytuje się głównie polityką kadrową, innych działań nie widać. Mówię to ze smutkiem. Jak odzyskać zaufanie wsi, jeżeli działania podejmowane dla wsi są kompletnie niezrozumiałe?

Czy spekulacji o pana powrocie do rządu nie można by zamknąć w formule: „Na kłopoty Ardanowski”? Gdy pan kierował resortem rolnictwa, PiS był dobrze postrzegany na wsi. Rok przed wyborami znów pilnie potrzebny jest ktoś, kto przywróci PiS pozycję wśród rolników...

Jestem ostatnią osobą, która powinna to komentować. Czuję to poparcie rolników. Nawet przeciwnicy PiS w dość pozytywny sposób oceniają funkcjonowanie ministerstwa i jego działania podejmowane w tym okresie, kiedy starałem się, jak najlepiej potrafiłem, służyć polskiemu rolnictwu, rozumiejąc to jako działanie na rzecz całego społeczeństwa. Przecież dobrze funkcjonujące rolnictwo nie tylko wiąże się z partykularnym interesem rolników, lecz także leży w najlepszym interesie społecznym, interesie konsumentów. Ba, służy też stabilności międzynarodowej, bo żywności trzeba produkować coraz więcej, żeby dostarczać ją także tam, gdzie z powodów naturalnych nie można jej wytworzyć w dostatecznej ilości. To ratowanie Europy przed wielką migracją z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu. Jeżeli żyjący tam ludzie nie będą mieli żywności, to ruszą w wielkich marszach głodowych na Europę. To wszystko się ze sobą spina.

Cieszę się z tego zaufania rolników, ale – na Boga! – nie jestem przecież cudotwórcą. To nie może skończyć się tylko na pozorach, propagandowych gestach, które miałyby uspokoić rolników przed wyborami, ale na istotnej zmianie w podejściu do rozwiązywania problemów wsi. Rolnictwo to przede wszystkim problem. Ale rolnictwo to też szansa na rozwój gospodarki, a Polska ma dobre warunki do rozwoju rolnictwa. Ma zasoby, które mogą być silnym elementem wzrostu i wsparcia dla całej gospodarki. Ale to wymaga konsekwentnej polityki i przekonania do tej polityki. Przekonania, którego moim zdaniem nie ma ani w rządzie, ani w Prawie i Sprawiedliwości.

Kiedy rozmawialiśmy wiosną, przestrzegał pan przed przenikaniem do Polski pod pretekstem tranzytu, ogromnych ilości taniego zboża z Ukrainy, co doprowadzi do rozregulowania naszego rynku. Ten scenariusz się spełnił?

Niestety tak. Zarówno legalny import, który docelowo w kwitach miał wpisaną jakąś polską firmę odbierającą kukurydzę z Ukrainy, jak i tranzyt, który w znacznej mierze nie opuścił granic Polski, tylko pozostał u nas, uderzył w polskich rolników. Kiedy mówiłem o tym kilka miesięcy temu, słyszałem głosy, że import i transport zboża z Ukrainy dotyczą przede wszystkim zboża chlebowego, tak poszukiwanego w Afryce, więc nie ma się czego obawiać. Rzeczywiście poszukiwane zboża chlebowe w związku z olbrzymim popytem na świecie nie powodują problemu. Inaczej jest ze zbożem paszowym, które rozwala

Szkodliwa wobec rolnictwa polityka Unii Europejskiej ma twarz nie tylko Timmermansa, lecz także polskiego komisarza

nam rynek. To efekt cynicznej gry wielkich zakładów paszowych, mieszalni pasz, a także wielkich producentów mięsa drobiowego i wieprzowego.

Dotyczy to zarówno wielkich międzynarodowych koncernów, jak i polskich firm działających równie podle jak zachodnie, które obkupiły się tanim zbożem z Ukrainy i nie chcą go kupować od polskich rolników. Jak w takiej sytuacji ci rolnicy mają spiąć swoje budżety? Ich dochody powinny przecież pochodzić przede wszystkim z rynku, a nie z kolejnych coraz bardziej zbiurokratyzowanych dotacji krajowych czy unijnych.

Dotacji, przynajmniej jeśli chodzi o te unijne, obarczonych coraz większym ryzykiem. Czy polskie rolnictwo poradzi sobie bez dopłat bezpośrednich z Unii, kiedy Bruksela je odetnie? Wydaje się, że to całkiem realna perspektywa.

Wspólna polityka rolna, która od wielu lat była wielkim dobrem europejskim, sprawiła, że Europa stała się dużym, nadwyżkowym producentem żywności zarówno na swoje potrzeby, jak i eksportu. Owocem tej polityki jest subsydiowanie polskiego rolnictwa w stopniu dalece większym, niż byłoby to możliwe z budżetu krajowego. Jeżeli te środki z powodów politycznych zostały odcięte, to, mówiąc wprost, państwo polskie nie jest w stanie zapewnić rolnictwu takiego wsparcia. Zarówno wypłacane przez Unię dopłaty bezpośrednie, jak i środki na inwestycje, które były wpisane w Krajowym Planie Odbudowy, mogą nie trafić do Polski. To powstrzyma proces jakiegokolwiek modernizacji naszego rolnictwa, a dochody rolników i dziś niewysokie znacząco spadną. Dodajemy do tego opłakane skutki forsowanej przez Unię polityki „Zielonego Ładu”, która od początku 2023 r., czyli już za chwilę wejdzie w życie.

Polityki, której twarzą jest polski komisarz Janusz Wojciechowski.

Tak. Zabrzmiał paradoksalnie, ale Polska jest zakładnikiem komisarza z Polski. Problemem jest też to, że szkodliwa polity-

ka Unii Europejskiej wobec rolnictwa ma twarz nie tylko Timmermansa, lecz także polskiego komisarza. Jeżeli będzie ona realizowana, a wszystko wskazuje, że żadnej refleksji w tej sprawie w Komisji Europejskiej nie ma, doprowadzi to do zmniejszenia produkcji żywności w Europie. Także odbije się mocno na sytuacji ekonomicznej polskich gospodarstw. Przede wszystkim nasze gospodarstwa nie będą w stanie sprostać inwestycjom, które trzeba będzie w związku z tą polityką unijną realizować. Mówię o nakładach na rolnictwo precyzyjne, czyli zupełnie nowy sposób uprawy ziemi, wymagania związane ze stosowaniem nowych maszyn, urządzeń czy technologii. Nasze małe gospodarstwa nie mają żadnych szans, żeby temu wszystkiemu sprostać. Daleki jestem od wszelkich teorii spiskowych, ale zastanawiam się, dlaczego akurat polskie rolnictwo wystawiane jest na tego rodzaju działania, które mocno mu zaszkodzą. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby przewidzieć, że skutkiem tej polityki będzie porzucenie gospodarstw przez bardzo wielu rolników. Ci ludzie będą szukali szczęścia w mieście, gdzie dla wielu z nich nie będzie miejsca.

Czy nie o to właśnie chodzi projektantom tych zmian? Polska wieś wciąż mocno przywiązana do tradycji rodziny, odporna na obyczajowe nowinki nie jest do niczego potrzebna lewicowcom stojącym za „Zielonym Ładem”.

Bardzo się cieszę, że pan to dostrzega. To jest dokładnie to, o czym chciałem powiedzieć. Dlatego to uderzenie w polskie rolnictwo jest tak silne ze strony wszystkich tych europejskich ruchów lewackich, ufundowanych na neomarksizmie, budujących „nowego człowieka, bo polski chłop ze swoim przywiązaniem do ziemi i wiary chrześcijańskiej, ze swoją odpornością na różne głupie nurty polityczne, silnie zakorzeniony w rodzinie, ten chłop staje się zakałą, którą trzeba zniszczyć. To może być jeden z głównych powodów różnych aberracji, które Unia Europejska wprowadza wobec rolnictwa. Dotyczy to także rolników z innych państw, bo oni na tle swoich społeczeństw są również bardziej konserwatywni. Przeciwno nowej polityce rolnej protestują rolnicy w całej Europie. Mają oni do nas coraz większy żal, że twarzą tej polityki jest komisarz z Polski. Cóż zrobić? Ratujmy przynajmniej, co jest możliwe w Polsce. Ratujmy swoje, bo alternatywą dla złej polityki europejskiej jest dobra, konsekwentna narodowa polityka rolna.

Od wyborów parlamentarnych w 2019 r. Konfederacja skrupulatnie budowała pozycję na polskiej scenie politycznej, notując powolny, acz nieprzerwany wzrost poparcia. Mieszanka korwinistycznego liberalizmu z narodowcami oraz niemal reakcjonistyczną Koroną Grzegorza Brauna przez dłuższy czas wydawała się dawać zaskakująco pozytywne rezultaty. „Jedyna ideowa prawica w Sejmie” – jak to lubią samookreślać się politycy Konfederacji – znajdowała się na uprzywilejowanej pozycji, gdyż w przeciwieństwie do demoliberalnej opozycji, której narracja i tak ogranicza się do suflowania przekazu Brukseli, była w stanie krytykować rządzących z pozycji konserwatywnych, suwerennościowych, a także wolnościowych. Widać to było szczególnie na dwóch polach: w kwestii polityki ustępstw, którą polski rząd stosował wobec Unii Europejskiej, oraz w trakcie pandemii COVID-19, gdy władza wdrażała coraz bardziej restrykcyjne zakazy, ograniczała swobody obywatelskie oraz tłamsiła wolność gospodarczą, na której punkcie konfederaci są szczególnie wyczuleni.

Nagle jednak doszło do ewidentnego tapnięcia w poparciu – od dobrych kilkunastu miesięcy sondaże pokazują, że Konfederacja nie tylko przestała ocierać się o trzecie miejsce na podium, jak to miało miejsce w przeszłości, lecz także, że nawet samo jej wejście do Sejmu staje pod znakiem zapytania. 5,6, czasem 7 proc. – to wynik, który najczęściej „ideowa prawica” uzyskuje w ostatnich badaniach, aczkolwiek nie brakuje i takich, które sytuują ją już pod progiem wyborczym. Sondaże oczywiście nie są wyrocznią, jednak sama tendencja spadkowa jest niepodważalna. Co za nią odpowiada?

KONSERWATYWNA PARTIA LIBERALNYCH WYBORCÓW

Pierwszy poważny kryzys ugrupowania przypadł na schyłek 2020 r., gdy polską politykę zdominował temat aborcji. Fali protestów, która wybuchła po głośnym wyroku Trybunału Konstytucyjnego, przestraszyła się nawet część przedstawicieli Zjednoczonej Prawicy (jak np. prezydent Duda, który wyszedł wówczas z własną inicjatywą ustawodawczą liberalizującą prawo aborcyjne). Konfederacja jednak, podobnie jak to miało miejsce w przypadku restrykcji pandemicznych, była jedynym ugrupowaniem, które jednoznacznie sprzeciwiło się dominującej narracji. Politycy jasno opowiadali się za ochroną dzieci



FOT. PAVEL WODZINSKI/ISTOCK

Ideowa prawica na zakręcie



Jan Fiedorczuk

Antyestablishmentowe partie odnoszą sukcesy w kolejnych państwach Europy. A jednak Konfederacja, polski odpowiednik tego nurtu, nie jest w stanie powtórzyć dokonań czy to Braci Włochów, czy Marine Le Pen we Francji, czy nawet stale zyskującej na popularności partii VOX w Hiszpanii. Polska „ideowa prawica” musi mierzyć się z wieloma problemami, które blokują jej dalszy rozwój

nienarodzonych, traktując wyrok Trybunału jako wielkie zwycięstwo życia.

Szybko jednak okazało się, że poglądy wyborców Konfederacji są o wiele bardziej liberalne w tym względzie niż samych polityków. Ten rozjazd nie jest czymś szczególnie zaskakującym, gdyż podobny dysonans obserwujemy w przypadku PO, PSL, a nawet SLD, którego wiekowym działaczom pod względem kwestii obyczajowych czasem jest bliżej do Grzegorza Brauna niż Adriana Zandberga czy Sylwii Spurek. Z sondażu United Surveys, który przeprowadzono wkrótce po wyroku TK, wynikało, że większy odsetek zwolenników

prawa do aborcji w przypadku poważnych wad płodu jest wśród wyborców Konfederacji (78 proc.) niż w elektoracie Lewicy (73 proc.). Również z badań Ipsos przeprowadzonych we wrześniu br. wynika, że 62 proc. wyborców „ideowej prawicy” chciałoby liberalizacji prawa aborcyjnego.

Szczególnie tzw. skrzydło korwinistyczne Konfederacji ma wyborców liberalnych zarówno w aspekcie gospodarczym, jak i obyczajowym. Swego czasu Konrad Smuniewski, jeden z działaczy narodowych, prowadził małą krucjatę, nagłaśniając postępowe poglądy polityków partii KORWiN oraz korwinistycznej młodzieżówki – nie

brakowało wśród nich zwolenników aborcji czy agendy LGBT. Po prostu wyborcy Konfederacji to w przeważającej części ludzie młodzi nazywani pół żartem, pół serio „pokoleniem Netflixa”. Ich polityczny wybór jest spowodowany w części wolnorynkowym radykalizmem Korwin-Mikkego, a w części typową dla młodych ludzi sympatią do partii antysystemowych. Ta sytuacja może wpływać destabilizująco na całą formację, która w przyszłości ponownie zostanie wystawiona na próbę – pozostać wiernym swoim ideałom czy też ulec postępowemu elektoratowi i złagodzić przekaz?

BUNT. I CO DALEJ?

We wszystkich tematach, które rozgrzewają polską scenę polityczną, Konfederacja stara się pozycjonować jako najbardziej wyrazista opozycja, a zarazem jedyna alternatywa dla duopolu PO-PiS. Tak było w sprawie relacji z Unią Europejską, tak było przy restrykcjach pandemicznych i tak jest również w kwestii wojny na Ukrainie. Bo o ile stosunek do samej inwazji rosyjskiej jest, z grubsza rzecz biorąc, zbliżony do politycznego mainstreamu, o tyle zupełnie inaczej wygląda podejście Konfederacji do relacji, które należy utrzymywać z Kijowem. Politycy krytykują rząd za zbyt ochotczy angażowanie się w konflikt rosyjsko-ukraiński, jak również sceptycznie podchodzą do napływu uchodźców do Polski, wskazując, że polskie władze nie mają żadnego pomysłu, co dalej robić z milionami przybyszów. Pierwsze skrzypce gra tutaj niewątpliwie Grzegorz Braun, który rozpoczął akcję „Stop ukrainizacji Polski”.

O ile jednak pójdzie pod prąd utartej narracji w sprawie przymusu szczepień czy lockdownów przynosiło Konfederacji ewidentny zysk polityczny i dobrze rezonowało ze sporą częścią elektoratu, o tyle retoryka związana z Ukrainą po prostu trafia w próżnię. W Internecie nie brakuje nagrań z pikiet dotyczących „ukrainizacji Polski”, na których politycy przemawiają praktycznie do garstki osób. Do tej pory nie było odbiorców na ten przekaz, co jednak nie znaczy, że w przyszłości tacy się nie pojawiają. Nie tak dawno Michał Gulczyński pisał na portalu Klubu Jagiellońskiego, że napływ Ukraińców i brak koordynacji ze strony polskich władz mogą przyczynić się do wzrostu poparcia dla Konfederacji wśród polskich pracowników, którym wyrośnie kilkaset tysięcy konkurentek gotowych pracować równie ciężko za mniejsze pieniądze. Wówczas narracja „tak dla pomocy, nie dla przywilejów” może zacząć

Kluczowe znaczenie dla pozycji Konfederacji odgrywa i tak fakt dominacji PiS po prawej stronie sceny politycznej

owocować. Obecnie jednak nie sposób przewidzieć, czy nastroje antyimigranckie wzmacnią się na tyle, aby przynieść wymierne korzyści w wyborach w 2023 r.

Do problemów ugrupowania dochodzi jeszcze kwestia wyczerpywania się paliwa antysystemowego. Figura buntownika jest atrakcyjna dla wyborcy, ale tylko raz. Buntownik buntuje się wobec systemu, a następnie wchodzi do Sejmu i zaczyna z tymże systemem koegzystować, tracąc swój rewolucyjny powab. W ostatnich latach przekonał się o tym boleśnie Paweł Kukiz (ale wcześniej podobny los spotkał również Andrzeja Leppera czy Janusza Palikota). Ten proces zaczyna powoli trawić również Konfederację, zwłaszcza że na horyzoncie pojawił się już nowy buntownik – Szymon Hołownia. I jakkolwiek ansytywizm lidera Polski 2050 wydaje się być szyty na miarę wyznaczane przez TVN 24, a jego bunt wobec III RP jest iluzoryczny, to dla wyborców poszukujących „trzeciej drogi” projekt Polski 2050 oraz towarzyszący mu nimb nowości są atrakcyjne. Niedawno Ipsos przeprowadził na zlecenie skrajnie lewicowego OKO.press niezwykle ciekawe badania, z których jasno wynikało, że znacząca część wyborców Konfederacji przepłynęła właśnie do Hołowni. Okazuje się, że na Polskę 2050 chce już głosować 14 proc. wyborców Krzysztofa Bosaka z pierwszej tury wyborów prezydenckich w 2020 r. oraz 11 proc. wyborców Konfederacji z ostatnich wyborów parlamentarnych. Do żadnego innego ugrupowania nie odnotowujemy porównywalnego przepływu. Dlatego też w interesie konfederatów byłaby wspólna lista opozycji, która skutkowałaby wciągnięciem Hołowni w system III RP i pozbawieniem go wizerunku buntownika, a jednocześnie ugruntowała by pozycję Konfederacji jako jedynej partii spoza „układu”.

SPORY W PARTII

Sytuacji nie poprawiają doniesienia o kolejnych sporach wewnątrz samej formacji. O napięciach między narodowcami

a korwinistami mówiło się od dawna, ale w ostatnich miesiącach w szeregach samej partii KORWiN doszło do kilku istotnych rozsad. W marcu trzech posłów – Artur Dziambor, Jakub Kulesza oraz Dobromir Sośnierz – zdecydowało się opuścić ugrupowanie Korwin-Mikkego, pozostając jednak w Konfederacji jako nowe ugrupowanie – Wolnościowcy. Formacja zmieniła układ sił w koalicji i zepchnęła korwinistów do defensywy. Niedawno Marcin Dobski z Salonu24 opisywał, że partia KORWiN zaczęła w wyniku tych przetasowań przegrywać kolejne głosowania na Radzie Liderów Konfederacji, z czego najbardziej dotkliwie dotyczyło podziału subwencji.

Sam Janusz Korwin-Mikke ogłosił ostatnio, że rezygnuje z funkcji prezesa partii. Jego miejsce zajął Sławomir Mentzen – młody doradca podatkowy, który w ostatnich latach zyskał wprost nieprawdopodobną popularność w korwinistycznym elektoracie. Polityk pozostaje jednak w konflikcie z Wolnościowcami. Ci ostatni opublikowali niedawno oświadczenie, w którym zarzucili Mentzenowi, że podważa od dawna ustalony podział „jedynek” na listach wyborczych i może doprowadzić do zniszczenia Konfederacji. Mentzen z kolei proponuje anulowanie dawnych ustaleń i przeprowadzenie prawyborów we wszystkich z 20 okręgów wyborczych, które przypadły środowiskom liberalnym. Polityk w oficjalnych wystąpieniach zapewnia, że wyciąga rękę do Wolnościowców i zaprasza ich do udziału w prawyborach, jednak trudno nie dostrzec, że antysystemowa formacja nie była tak podzielona co najmniej od 2019 r., gdy Konfederację opuściło wiele znanych nazwisk na czele z Markiem Jakubiakiem, Liroyem-Marcem czy Kają Godek.

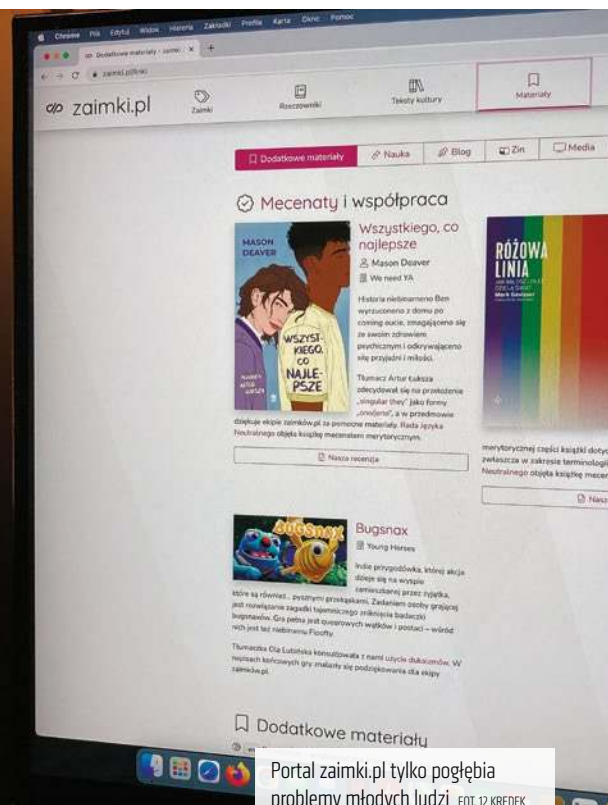
Na koniec należy wskazać, że przy wszystkich powyższych uwagach kluczowe znaczenie dla pozycji Konfederacji odgrywa i tak fakt dominacji PiS po prawej stronie sceny politycznej. Dopóki Jarosław Kaczyński dzierży władzę, dopóty Konfederacja nie przekroczy swojego szklanego sufitu. Polską politykę formatuje podział kulturowy, a prezes PiS przez lata starannie budował sobie pozycję ostatniego obrońcy wartości patriotycznych. Dopóki ten monopol Kaczyńskiego nie zostanie złamany, czyli dopóki PiS w oczach wyborców jest jedyną pravicową opcją zdolną do sprawowania władzy i powstrzymania lewicowo-liberalnego potopu, dopóty inne prawicowe partie będą zmuszone odgrywać rolę przystawki.

Zaimkowe szaleństwo



Tomasz Rowiński

„Moix pięknx partnerx przyszłx do domu” – wygląda jak błąd w druku? Tak każą pisać promotorzy gender, by nie obrażać kogoś tym, że zaimek wskaże na jego płeć



Kilka poważnych, choć niezbyt dobrze nagłośnionych przez media zdarzeń mających ostatnio miejsce skłoniło mnie do napisania o zjawisku z pozoru niepoważnym, ale potencjalnie społecznie niebezpiecznym. Chodzi o promocję przez formy języka neutralnego płciowo, którą uprawia m.in. portal zaimki.pl. Dotąd sądziłem, że najlepiej jest wyśmiać treści, które się tam znajdują, jednak teraz sądzę, że to nie wystarczy. Zarówno wydarzenia, które zaraz zrelacjonuję, jak i aktywność wspomnianej strony dobrze pokazują, w jaki sposób może działać i oddziaływać na jednostki dyktatura gender.

Zanim przejdziemy do wydarzeń, zajrzyjmy na rzeczony portal. Słyszeli państwo o „iksatywach”? To taka forma zapisywania słów, by odbiorców „nie urazić” użyciem określonego rodzaju, szczególnie męskiego. zaimki.pl podają następujący przykład ich użycia: „Moix pięknx partnerx przyszłx do domu”. Liczbę mnogą „należy” zapisywać zaś tak: „partnerx” → „partnerxx”. Jeśli gdzieś zobaczą państwo takie iksy, to zapewne nie będzie to przypadek, ale świadectwo genderowego wykrzywienia polszczyzny.

A o „osobatywach” państwo słyszeli? Może spotkali już państwo ludzi mówiących: „osoby uczestniczące” zamiast „uczestnicy” albo „osoby słuchające” zamiast „słuchacze” czy „osoby studiu-

jące” zamiast „studenti”. Tak, chodzi o to, by nikogo „nie wykluczać językowo”, by u kobiet, a szczególnie „osób niebinarnych”, nie powodować uczucia przykrości, że stosuje się wobec nich maskulatywy. Jeśli zatem kiedyś użyję w jakimś tekście słowa „czytelniczki”, upraszam, aby „osoby czytające” doniosły redaktorowi naczelnemu, że zaszedł incydent misgenderujący. Niestety, nie wiem, jaka jest neutralna płciowo forma maskulatywu „incydent”. Ale się dowiem. I przepraszam.

To jeszcze nie koniec. Jacek Dukaj w swojej świetnej powieści pt. „Perfekcyjna niedoskonałość” stworzył coś w rodzaju języka postpłciowego. Była to fikcja literacka, jednak zaimki.pl z powagą proponują, by „dukaizmy” stosować w życiu. Jak by to wyglądało? „Myślę, że onu jest bardzo miły, przyjacielski i urzekający”. Albo: „Poszłam z num do szkoły”. Proszę się przyzwyczajać, niewykluczone, że dziecko przyniesie taką mowę ze swojej polskiej szkoły i raczej się już nie dogadacie! I to będzie, drodzy państwo, wasza, transfobiczna, wina!

Najmocniej promowane jest posługiwanie się językiem opartym na rodzaju nijakim, czyli neutralnym, który nie jest wcale nijaki, ale jest najlepszy, ponieważ nikogo nie obraża. Może się zdawać, że odetchniemy z ulgą, że skończyła się fantastyka naukowa. Niestety, nie. Weź-

my trzy przykłady neutratywów, które znajdziemy w portalu zaimki.pl: „ten autor – ta autorka – to autorze; ten dziadek – ta babcia – to dziabko; ten artysta – ta artystka – to artystum”. Zastanawiam się, czy określenie kogoś słowem „dziabko” nie będzie bardziej przykre niż nazwanie babci dziadkiem lub odwrotnie... Jeśli są państwo ciekawi, jakim językiem będą mówić ludzie w genderowej utopii, to proszę samemu zajrzeć na zaimki.pl. Ostrzegam, robią to państwo na własną odpowiedzialność.

TO NIE ZABAWA

Miało być jednak też bardziej serio. I będzie. W Irlandii pewien nauczyciel trafił niedawno do więzienia, ponieważ nie zgodził się na używanie wobec jednego z uczniów zaimka, który był niezgodny z jego płcią. Z informacji, które podaje Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, także w Polsce mamy już do czynienia z dyrektorami szkół, którzy wymuszają na nauczycielach posłuszeństwo wobec uczniów eksperymentujących z zaimkami. Sprawa w niektórych miejscach jest na tyle poważna, że nie obędzie się bez prawnej interwencji ze strony nauczycieli, którzy nie godzą się na tego rodzaju dyktat.

Na początku października w jednym z poznańskich szpitali na oddział przyjęto mężczyznę twierdzącego, że jest kobie-

tą o imieniu Florentyna. Według relacji „osoba chorująca” dopiero po protestach leczących się w szpitalu prawdziwych kobiet została przeniesiona na oddział męski. Na tym jednak sprawa się nie skończyła, ordynator został bowiem oskarżony przez lewicę o zbrodnię „transfobii”.

Przenieśmy się jeszcze na Wyspy Brytyjskie, które od dawna stoją w forpoczcie walki z tzw. dyskryminacją. Zjednoczone Królestwo w ostatnich latach okazało się kolebką nowej kultury, w której po ściernisku moda na bycie „trans” zaczęła się rozchodzić wśród dorastających dzieci i młodzieży. Młodzi ludzie i ich rodzice, a także rozmaitej maści psychologowie i psychoterapeuci, nafaszerowani ideologią, zaczęli tracić zdolność rozróżniania pomiędzy niestabilnością tożsamościową, która zdarza się nastolatkom, a poważnymi zaburzeniami lub perwersyjnymi dziwactwami.

W efekcie zniszczono życie wielu ludziom, poddając ich ciała nieodwracalnym procesom paramedycznym. Pojawiło się też nowe zjawisko – ruszyły pozwy o odszkodowania od nabijających sobie kieszenie klinik specjalizujących się w okaleczeniach. 23 października brytyjska prasa poinformowała o zmianie wytycznych dla służby zdrowia, jeśli chodzi o traktowanie młodych osób doświadczyających dysfornii płciowej. Uznano wreszcie, że większość dzieci, które wchodzi w tożsamość „trans”, w rzeczywistości przechodzi jedynie pewien etap niestabilności w identyfikacji.

Co to ma jednak wspólnego ze stroną zaimki.pl i promowanym przez jej twórców „językiem niebinarnym, neutralnym płciowo i inkluzywnym”? Tyle że lekarzom na Wyspach zalecono zniechęcanie młodych ludzi do „zmiany imion i zaimków”, ponieważ zabawa w „trans” prowadzi do rzeczywistych aktów krzywdy, której nie potrafią, a czasem po prostu nie chcą zatrzymać dorośli.

Tymczasem w Polsce ta zabawa dopiero zaczyna się rozkręcać.

W mediach społecznościowych dopisywanie do wizytówek autoidentyfikacji rodzajowej „ono” zamiast „on” czy „ona” staje się normą. Coraz częściej w szkołach pojawiają się dzieci kwestionujące swoją tożsamość biologiczną bez świadomości, że ich młodzieżowy bunt jest zagrożeniem dla nich samych. Tymczasem autorzy portalu zaimki.pl wyraźnie starają się modelować nową obyczajowość i rozszerzać obecnie dystroficznych tożsamości w społeczeństwie. W sytuacji, gdy dystrofia wymaga leczenia, a nie społecznej instytucjonalizacji.

STYGMAT JAKO NARZĘDZIE

Na pytanie, dlaczego należy „respektować” niebinarne lub sprzeczne z płcią formy autoidentyfikacji, autorzy strony odpowiadają: „Bo zwracanie się do kogoś tak, jak sobie życzy, jest podstawą relacji społecznych. Nie powiesz do Ani »Franku«, nie powiesz »na ty« do osoby, z którą jesteś »na pan« itp. A są osoby, które nie chcą, by im mówić »on« ani »ona«. Czy to uszanujesz, świadczy wyłącznie o Tobie”.

A co zaimki.pl mają do powiedzenia tym, którzy nie zgodzą się z narzucaniem tego rodzaju nowej obyczajowości? To samo, co znajdziemy we wszystkich narracjach politycznego ruchu LGBT+: „Celowe złościenie (misgendering) to przejaw nienawiści i transfobii”.

W Wielkiej Brytanii lekarzom zalecono zniechęcanie młodych ludzi do „zmian imion i zaimków”, w Polsce ta zabawa dopiero się rozkręca

Misgendering lub misdzendering to w słowniku queer „forma dyskryminacji i przemocy słownej wobec osób transpłciowych i niebinarnych, polegająca na stosowaniu form gramatycznych innych niż te, które są zgodne z tożsamością płciową tych osób i których one wobec siebie używają”. Kto jednak określa tę tożsamość? Każdy sam może ją sobie określić, a tych, którzy „nie uszanują” choćby najbardziej absurdałnej autoidentyfikacji, można nazwać nienawistnikami i napiętnować jako transfoba. „Osoby niebinarne, tak jak wszystkie inne,

zasługują na szacunek – także dla swojej tożsamości płciowej. Nie musimy jej dogłębnie rozumieć, nie musimy znać się na każdej mikroetykiecie – ale powinnośmy [pisownia oryginalna – przyp. red.] przynajmniej zwyczajnie wierzyć tym osobom, że są takiej płci, jakiej mówią, że są” – czytamy na stronie.

Nadawanie krytykom agendy LGBT+ stygmatów ofiarniczych od dawna jest jednym ze skutecznych narzędzi politycznego ruchu homoseksualnego, a także ruchu „trans”. Mechanizm jest prosty – ci, których aktywiści chcą prześladować i dezawuować, są wskazywani jako prześladowcy. Tak się stało choćby ze wspomnianym irlandzkim nauczycielem i tysiącami innych ofiar społecznych prześladowań prowadzonych przez środowiska spod znaku różnokolorowych flag.

Czego jeszcze młody człowiek dowie się ze strony zaimki.pl? Na przykład, że „zarówno płeć biologiczna, jak i społeczno-kulturowa wymykają się binarnemu podziałowi kobieta/mężczyzna”, a „istnienie osób niebędących ani kobietami, ani mężczyznami jest faktem”. Także, że „polszczyzna w bardzo wielu obszarach narzuca nam precyzowanie płci – czy to własnej, odbiorczyń, czy osób trzecich – i robi to, wymuszając w takich przypadkach jeden z dwóch rodzajów gramatycznych: męski lub żeński”. Że nie trzeba myśleć o sobie jako o kobiecie czy mężczyźnie. „Myślę, że ono jest bardzo miłe, przyjacielskie i urzekające” – takie zdanie znajdujemy na portalu wśród przykładów wypowiedzi z użyciem formy neutralnej. Albo: „Powiedziałam mu, że je lubię”.

Zastanówmy się teraz, czy strona zaimki.pl jest skierowana do tych, którzy postanowili już utrwalić swoją tożsamość wokół dysfornii płciowej, czy może raczej do zagubionej młodzieży nieznajdującej wsparcia w domu czy szkole? Portal robi dokładnie to, co odradzono brytyjskim lekarzom – pogłębia problem. Utrudnia też młodym ludziom wyjście z niego, ponieważ tworzy fałszywe złudzenie, że ci, którzy naprawdę chcą im pomóc, są po prostu wrogami ich tożsamości. W tak skonstruowanej sekciarskiej mentalności dość łatwo przekonać dziecko, że rodzic sprzeciwiający się amputacji biustu jest po prostu transfbem. I z tym problemem zaczynamy się mierzyć jako społeczeństwo.



Łukasz Zboralski

Rząd próbuje ograniczyć skalę domowej edukacji. Tak chce zatrzymać nagłą prywatyzację szkół, do której bramę szeroko otworzyła pandemia, a przyspiesza ją coraz słabsza kadra państwowych placówek. Tylko czy to jest pomysł na naprawę publicznej oświaty?

W Sejmie trwa właśnie wielkie starcie o polską edukację. Poniżej trafił do rozpatrywania projekt nowelizacji prawa, nazwany już wcześniej w mediach „lex Czarnek”. To ten sam projekt, którego Zjednoczona Prawica wcześniej nie mogła przevorsować – wiosną najpierw nie zgodzili się na takie zmiany senatorowie, a potem do gry wkroczył prezydent Andrzej Duda i nowelizację zawetował. Obecnie wróciła jako projekt poselski. To ma pewne zalety dla władzy – takie projekty omijają konsultacje społeczne.

Polską debatę rozgrzewały wcześniej inne zapisy tej nowelizacji, czyli zwiększanie władzy kuratorów nad dyrektorami szkół oraz kontrola dostępu organizacji pozarządowych do szkół (to z jednej strony pomysł bijący mocno w zaufanie do dyrektorów i nauczycieli – tak, jakby sami nie byli w stanie ocenić, czy coś przydaje się dzieciom w ich rozwoju czy wręcz im szkodzi; z drugiej strony – rzeczywiście do szkół wpuszczano rozmaite organizacje promujące nawet takie rzeczy, których nie życzyli sobie rodzice).

Jednak istotą tej nowelizacji jest odcięcie prywatnych firm od przejmowania uczniów ze szkół publicznych. Idzie tu oczywiście o pieniądze, ale nie tylko. Bo szkoła jest miejscem, gdzie się młodych ludzi formuje (mniej o to, jak silny jest to wpływ).

30 TYS. DZIECI UCIEKŁO

Edukacja domowa w Polsce do pandemii koronawirusa nie była zjawiskiem masowym. Decydowała się na nią mała grupa rodziców. Czasem ci, których dzieciom trudno było dopasować się do masowej szkoły – dzieci z różnymi

Bitwa o szkoły



kłopotami w socjalizacji mogły spokojnie uczyć się w swoim domu. Czasem byli to poszukiwacze lepszej formy edukacji. Dlaczego jej szukali? Bo publiczne szkoły w Polsce nigdy nie przeszły prawdziwej transformacji i w niczym nie przypominają szkół np. w Finlandii. Próbowano je uelastycznić, dawano nauczycielom coraz bardziej wolną rękę w sposobach kształcenia – zostawiając tylko jako wynik do osiągnięcia ogólne podstawy programowe – ale po dziesięcioleciach negatywnego doboru do tego zawodu niewielu ma na to ochotę, niewielu odwagę i niewielu ma o tym pojęcie. Są wprawdzie szkoły, w których dzieci uczą się w podstawówkach przyjemnie, np. matematyki podczas pieczenia ciasteczek w kształcie cyferek, ale takie placówki można policzyć na palcach. W większości szkół panuje wciąż PRL-owski czy nawet pruski dryl. Podręcznik, „przerabianie tematów”, obowiązkowe odpytanie i sprawdziany oraz bardzo często zadawane prace domowe, które – jak wynika z badań nad polską edukacją – nie są nawet potem wykorzystywane w procesie dydaktycznym.

Po edukację domową sięgali więc ludzie, którzy chcieli kształcić dzieci przyjemniej, inaczej, a także ci, których pociechy miały w publicznych szkołach kłopot z dostosowaniem się i nauką. Warto zauważyć, że wśród pionierów takiej edukacji w Polsce były stowarzyszenia i organizacje katolickie. I od lat zresztą skarżyły się na polskie prawo nieulegające kształcenia dzieci według własnych metod – jedynym oparciem dla nich był w zasadzie art. 48 konstytucji.

Wszystko się zmieniło, gdy wkroczyła pandemia koronawirusa. Lockdowny, ograniczanie kontaktów międzyludzkich spowodowały, że władza musiała szukać sposobu na to, by dzieci przy zamkniętych szkołach nie zostały całkiem odcięte od edukacji. To wówczas szkoły publiczne nagle przeniosły kształcenie do Internetu. Model miał oczywiście wiele wad (brak socjalizacji itd.), ale okazało się, że działa. Zjednoczona Prawica zmieniła też prawo w 2021 r. i od tego czasu zdecydowanie łatwiej jest kształcić dziecko poza systemem.

I nagle ktoś dostrzegł w tym po prostu biznes. Jednym z największych i najbardziej znanych projektów stała się Szkoła



zdalne. Prawdopodobnie w projektach typu Szkoła w Chmurze Ministerstwo Edukacji i Nauki widzi niezdrową konkurencję – wprawdzie dostają tylko 80 proc. dotacji na jednego ucznia, ale nie muszą utrzymywać potężnej infrastruktury.

Drugim problemem jest jakość kadr w publicznych szkołach. Problem nie jest wprawdzie nowy, ale narasta. Zjednoczona Prawica, tak jak poprzednie rządy, nie odważyła się wziąć za bary z problemem systemu wynagradzania nauczycieli. Wejście do zawodu jest w zasadzie zablokowane dla każdego, kto ma poważniejsze ambicje życiowe bądź nie uważa swego życia za misję. Zarobki w szkołach są sztywne i początkowa płaca dla rozpoczynającego pracę nauczyciela jest upokarzająco niska – połowę niższa niż otrzymać można, pracując fizycznie w magazynie marketu. To powoduje, że starsze kadry powoli odchodzą na emerytury, a następców nie widać. Dyrektorzy szkół mają gigantyczne problemy w zapewnieniu obsady. Nie ma chętnych do nauczania dzieci. A jeśli nie ma chętnych, to są luki i zastępstwa – ciągnące się całymi miesiącami. Rodzice, którzy czuwają nad dobrą edukacją własnych dzieci, zaczynają być przypierani do ścian. W takich sytuacjach będą zapewne częściej decydować się na uczenie dzieci poza systemem, w modelach edukacji domowej. Tam, gdzie obsadę udaje się łątać, bierze się do szkół każdego. Zatem znów – po jakimś czasie rodzice będą się orientować, że ich dzieci nie są nauczane tak, jak mogłyby być. I znów będą szukać rozwiązania, a droga ucieczki poza system jest już bardzo łatwa i przetestowana przez tysiące.

Trzeci problem to skupienie dzieci z internetowego kształcenia w jednym miejscu. Jeśli Szkoła w Chmurze zarejestrowana jest w konkretnym miejscu – a jest w jednym budynku w Warszawie – to tysiące dzieci z całej Polski zarejestrowane w tej internetowej szkole oznaczają miliony uciekające z budżetu stolicy.

Jest wreszcie czwarty problem, którego się nie artykułuje, ale on istnieje. Zjednoczona Prawica nie ukrywa, że chce w pewien określony sposób kształtować przyszłe pokolenia młodych Polaków. Szkoła jest miejscem, gdzie to formowanie ma się odbywać. Ucieczka dzieci z publicznych szkół do edukacji domowej to dla władzy po prostu utrata kontroli nad możliwością formowania społeczeństwa.

I ostatni problem – tego rodzaju edukacja, stając się dzięki Internetowi

masową, jest przecież nadal wielkim eksperymentem. Jak on zakończy się dla tych 30 tys. dzieci, tego nie wie nikt.

Wszystkie te powody naraz skłoniły zapewne rząd do kolejnej próby – tym razem projektem poselskim – ograniczenia ucieczki uczniów z publicznego systemu.

Minister Przemysław Czarnek nie kryje nawet, że chodzi o pieniądze. „Proszę przyjąć do wiadomości, że prócz wspaniałych rodziców kształcących dzieci w edukacji domowej są niestety również »oświatowe mafie«, wykorzystujące luki w przepisach i wyłudzające grube miliony złotych. Dlatego system trzeba uszczelnić” – napisał w wymianie zdań na Twitterze ze Sławomirem Mentzenem, szefem Konfederacji. „Czarnek próbuje właśnie po cichu całkowicie zaorać edukację domową. Gdy zamknęli szkoły, ludzie masowo zaczęli wybierać edukację domową. Teraz chcą zniszczyć ED, żeby przed kolejnym zimowym zamknięciem szkół ludzie nie mieli gdzie uciekać z dziećmi” – napisał z kolei Mentzen.

Projekt nowelizacji prawa zakłada m.in. obowiązek zapewnienia miejsc stacjonarnych dla połowy uczniów z edukacji domowej. Jest też pomysł rejoni-zacji – żeby projekty edukacji domowej przypisać do województw. Dla takich przedsięwzięć jak Szkoła w Chmurze oznacza to poważne problemy, a w zasadzie może to oznaczać ich unicestwienie.

Jaki będzie finał tej walki? Jeszcze nie wiadomo. Gdy oddawaliśmy do druku ten numer tygodnika, projekt nowelizacji został już zmieniony na sejmowej Komisji Edukacji (opozycji zabrakło zaledwie dwóch nieobecnych posłów, by w ogóle go odrzucić). Skasowano m.in. zapis o wymogu zapewnienia 50 proc. miejsc stacjonarnych dla uczniów edukacji domowej. Nie wiadomo jednak, czy Zjednoczona Prawica nie przywróci wszystkiego podczas późniejszych głosowań sejmowych.

Wszyscy powinniśmy się zmierzyć jednak w Polsce z pytaniem – czy faktyczny zakaz edukacji domowej jest najlepszym sposobem na to, by nie było konkurencji dla publicznych szkół? A może właśnie to szansa na to, by publiczna oświata – konkurując o uczniów – przeszła wreszcie dobrą przemianę i by standardowo dzieci w Polsce mogły uczyć się ciekawiej, łatwiej i rozwijając konkretne swoje zainteresowania?

w Chmurze, prowadząca internetowe nauczanie. Jej twórcy zapewniają, że to prawdziwa indywidualizacja nauczania – zamiast logowania się na „nudne” lekcje on-line jak w tradycyjnej placówce tu uczeń może logować się, kiedy chce, i sam decyduje o postępach wiedzy, nie wystawia się ocen. Według najnowszych danych z tej platformy korzysta obecnie już ok. 14 tys. dzieci. A w ogóle do edukacji domowej odpłynęło ok. 30 tys. dzieci.

PRZEKIEROWANE DOTACJE

Jaki to problem dla władz? Po pierwsze, finansowy problem dla władz samorządowych. System edukacji działa tak, że samorząd otrzymuje z budżetu państwa dotację celową – wyliczaną na każdego ucznia. Jeśli nagle tysiące uczniów zaczną odpływać z państwowych szkół, to samorządowcom ubędzie pieniędzy. A przecież nie stanie się tak, że wszystkie dzieci trafią poza system. Trzeba więc będzie nadal utrzymywać budynki szkolne, kadrę. Obecnie to przecież już staje się wyzwaniem nie do udźwignięcia. Przez szalony wzrost cen energii i węgla część samorządowców zapowiedziała już, że nie wyklucza zimą przejścia na nauczanie

Thomas Edison miał powiedzieć, że „przeciętny Amerykanin kocha swą rodzinę. A jeśli pozostała w nim resztką miłości do jakiejś innej osoby, zazwyczaj wybiera Marka Twaina”. Nawet biorąc poprawkę na to, że obaj panowie szanowali się i przyjaźnili, zdanie to jest znaczące, dla Amerykanów bowiem rzeczywiście autor „Przygód Hucka” był kimś wyjątkowym. Jak nikt inny uosabiał on te wartości, które zbudowały Amerykę, wyznaczyły jej pozycję, oszłomiły stary świat swoją przebojowością i witalnością.

Nie wszędzie jednak i nie zawsze doceniano Twaina. Dziesięciokrotnie nominowany był do Literackiej Nagrody Nobla, a jednak jej nie otrzymał. W Europie bowiem kręcono nosem na jego książki, zbyt mało – co podkreślano – wzniosłe, schlebające niezbyt wyrobionym gustom, a nawet prostackie. Rzecz można, że ta sama ostentacyjna wręcz amerykańskość, która przysporzyła mu rzesze czytelników na całym świecie (do dziś Twain tłumaczony jest na 70 języków), na salonach literackich okazała się przeszkodą. Inna sprawa, że sam pisarz nazbyt zapalczywie krytykował kulturę i cywilizację europejską, przeciwstawiał jej amerykańską młodość i ekspansywność. W efekcie np. Anglicy oburzali się na „Jankesa na dworze króla Artura” i to jeszcze wiele lat po opublikowaniu tej powieści, promującej – zdaniem choćby George’a Orwella – to, co najbardziej wulgarne w amerykańskiej kulturze.

W szkicu Jerzego Jarniewicza „Między kometami”, posłowie do wydanych właśnie przez PIW pięciotomowych „Utworów wybranych” Marka Twaina, czytamy w tym kontekście, że „wyidealizowany obraz średniowiecznej Europy nieraz wyprowadzał Twaina z równowagi, co widać nie tylko w tej powieści. W »Życiu na Missisipi« pisarz przypuścił atak na twórczość Waltera Scotta, którego osadzone w rycerskiej epoce powieści – jak choćby »Ivanhoe« – były rekordy popularności, a które Twain obarczał odpowiedzialnością za rozkład kultury amerykańskiego Południa: »[...] przychodzi sir Walter Scott ze swymi czarami i sam jeden zatrzymuje falę postępu, a nawet ją zawraca. Rozkochuje świat w snach i duchach, w zmurszałych i ohydnych formach religijnych, w zmurszałych i zarzuconych systemach rządzenia, w głupocie i pustocie, udanej wielkości i blasku, udanej rycerskości bezmyślnego, bezwarto-

Uśmiech Marka Twaina



Krzysztof Masłoń

Literatura pisana z myślą o młodym czytelniku powinna być przynajmniej nie gorsza niż ta adresowana do odbiorców starszych wiekiem, a w wypadku Marka Twaina bywa lepsza. Jeśli książki, które czytamy, oprócz tego, że nie unikają najtrudniejszych tematów – a takie podejmował pisarz, i to nierzadko – potrafią nas rozbawić i przywołać uśmiech (nie rechot!) na naszej twarzy, tym bardziej winniśmy je cenić



FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

ściowego społeczeństwa, które dawno zniknęło. Wyrządził niepowetowaną szkodę, szkodę może bardziej rzeczywistą i trwałą aniżeli ktokolwiek z piszących. [...] sir Walter tak bardzo przyłożył rękę do ukształtowania przedwojennego charakteru południowca, że w wielkiej mierze jest odpowiedzialny za wojnę». Słowa niewyważone, może niesprawiedliwe, ale dobiegające z samych trzewi amerykańskiego pisarza” – komentuje ten wymowny cytat prof. Jarniewicz.

TYSIĄC DWIEŚCIE MIL

Samuel Langhorne Clemens (1835–1910) swój pseudonim – Mark Twain – wziął z Missisipi, rzeki, nad którą spędził dzieciństwo, po której pływał jako pilot parowców („mark twain” to „zaznaczone”, okrzyk marynarzy mierzących głębokość wody) i której złożył hołd twórczością. „Kiedy byłem chłopcem, moim koledzy w naszym miasteczku Hannibal w stanie Missouri na zachodnim brzegu rzeki Missisipi mieli jedną ambicję: zostać marynarzem na rzeczonym parowcu” – pisał. A Missisipi porównywał do wielkiej książki, „która dla nieświadomego pasażera była rzeczą martwą, ale która mnie mówiła o sobie wszystko bez zastrzeżeń, zwierając swe najskrytsze tajemnice tak przejmująco, jak gdyby umiała naprawdę mówić. A nie była to książka, którą czytało się raz, a potem odrzucało, bo co dzień miała do powiedzenia coś nowego. Przez długie tysiąc dwieście mil nie było ani jednej strony nieciekawej, ani jednej, której by nie warto było przeczytać, ani jednej, którą by się chciało przeskoczyć z myślą, że w czym innym znaleźć można większą przyjemność. Człowiek nigdy nie napisał książki tak cudownej, tak zajmującej, tak krzepiącej, tak zaskakującej świeżością przy każdym kolejnym czytaniu”. Może i tak, ale Mark Twain napisał i „Przygody Hucka”, i „Życie na Missisipi”, niemniej cudowne.

W „Wyjątku z mojej biografii” pisarz wyliczał: „Byłem górnikiem w kopalni srebra w Nevadzie, później reporterem, potem znów górnikiem w kopalni złota w Kalifornii, reporterem w San Francisco, korespondentem specjalnym na wyspach Sandwich, korespondentem walącym się po Europie i Wschodzie, z kolei pochodnią nauki siejącą światło z katedry, aż wreszcie stałem się bazgraczem książek i nieruchomym obiektem wśród skał Nowej Anglii”. Naprawdę był niebywale ruchliwy i z natury, a i poniekąd z musu,

kiedy bowiem w 1899 r. zbankrutowało przedsiębiorstwo wydawnicze, w którym utopił cały swój majątek, wyruszył w ogromną trasę objazdową z odczytami, co pozwoliło mu zgromadzić jeszcze większą fortunę.

William Faulkner nazwał go ojcem amerykańskiej literatury i kimś takim był właśnie. Obaj byli piewcami Południa, tyle że autor „Wściekłości i wrzasku” rekonstruował jego historię, mitologizując fikcyjną krainę Yoknapatawpha, Twain zaś ją tworzył. W wojnie secesyjnej, najkrwawszej ze wszystkich wojen w całych dziejach Ameryki, walczył w istocie po obu stronach, w końcu dezertując i z armii Konfederacji, i Unii. Amerykański krytyk Bernard Poll twierdził, że pisarz „odczuwał lojalność z Północą i Nową Anglią równie silnie jak z Południem. Zamieszkał na wschodzie, ale korzeniami tkwił na zachodzie. Wierzył w siebie, miał poczucie skuteczności własnego działania, ale osaczały go wątpliwości i często popadał w depresję. Wierzył w szlachetne cele, a jednak zachował purytańskie przekonanie o zepsuciu i deprawacji człowieka. Będąc Amerykaninem, który przeżył wojnę domową, odczuwał ten konflikt jako głębokie pęknięcie, nie tylko między Północą a Południem, lecz także między przeszłością a teraźniejszością, między amerykańskim marzeniem a amerykańskim wyobcowaniem”.

DAWID I GOLIAT!

Edycja PIW obok absolutnych Twainowskich evergreenów, z „Przygodami Tomka Sawyer’a” i „Przygodami Hucka” na czele, przynosi ogromny wybór małych i – powiedzmy – średniej wielkości próz tegoż autora, często tłumaczonych na polski po raz pierwszy – przez Hannę Pustulę-Lewicką i Macieja Świerkockiego. A jeśli chodzi o przekłady od lat już u nas funkcjonujące, to oczywiście czytelnik znajdzie także tutaj m.in. tłumaczenia Antoniego Słonimskiego, Antoniego Marianowicza, Juliusza Kydryńskiego, Zofii Siwickiej, Aliny Świdorskiej i Zbigniewa Bałki. Nie znaczy to jednak, że w wydaniu tym jest absolutnie wszystko, co ważne w dorobku pisarskim Twaina; są to wszak utwory wybrane, a nie zebrane. W każdym razie

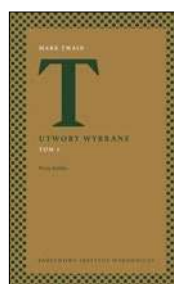
odnotujmy nieobecność jednej ze sztandarowych lektur naszego dzieciństwa: „Królewicza (Księcia) i żebraka”. Widać nie pasowała do tego wyboru, co konstatację bez specjalnego żalu, jako że historia o londyńskim biedaku zamieniającym się miejscami z księciem Walii znana jest aż za dobrze, czego w żaden sposób nie da się powiedzieć choćby o „Słynnej skaczącej żabie z hrabstwa Calaveras”, od wydrukowania której w „The New York Saturday Press” w 1865 r. na dobre zaczęła się pisarska kariera przyszłego autora „Życia na Missisipi”.

Wiele utworów Marka Twaina, które możemy teraz poznać bądź przypomnieć je sobie, budzi najróżniejsze skojarzenia.

Mnie np. „Człowiek, który zdemoralizował Hadleyburg” przypominał natychmiast dawną ekranizację tego opowiadania dokonaną przez Jerzego Zarzyckiego w 1967 r. ze świetnymi rolami Kazimierza Opalińskiego, Bronisława Pawlika i Leona Niemczyka. Popularność prozy Twaina, acz mocno wybiórcza, była zresztą w latach realnego socjalizmu charakterystyczna.

Pisarz ten, piewca wolności, a także nowoczesności, choć nie byłby zadowolony z tej drugiej etykiety, był zajądłym antyklerykałem, co wydaje się zrozumiałe, zwalczał przecież

przesady, zabobony, obłudę, a więc i bigoterię. Ale trudno nie zauważyć jego szczególnej niechęci do Kościoła rzymskokatolickiego, co łatwo wytłumaczyć jego aktywnością masońską. W „Jankeisie na dworze króla Artura” tak gorszył się tą „okropną siłą”: „W ciągu dwóch czy trzech krótkich stuleci potrafił zamienić naród mężów w naród robaków. Zanim nastały czasy zwierzchnictwa Kościoła nad światem, ludzie byli ludźmi, trzymali głowy wysoko i mieli ludzką dumę, ducha i niezależność, a jeśli jakiś człowiek zdobył sławę i stanowisko, zyskiwał je głównie dzięki osiągnięciom, nie zaś urodzeniu. Potem jednak na czoło wysunął się Kościół ze swoimi interesami. Był mądry, delikatny i znał niejedną sposob, jak oskubać kuraka, czyli naród. Wymyślił »boskie prawo«, które wypchał wszędzie cegła po cegle, wraz z błogosławieństwami, odrywając je od ich dobrego celu, aby umocniły cel zły; nakazywał (ludowi) pokorę, posłuszeństwo zwierzchnikom, pouczał o pięknie poświęcenia. Uczyl



MARK TWAIN
„UTWORY WYBRANE”
T. 1–5,
PIW 2022

■ (lud) potulnego znoszenia krzywdy. Uczyl (ciągle lud, cały czas lud) cierpliwości, pokory ducha, niesprzeciwiania się ciemnościom; wprowadził dzieziczne tytuły i arystokrację i pouczał wszystkie chrześcijańskie ludy ziemi, aby kłaniały się przed nimi i czciły je. Aż do stulecia, w którym się narodziłem, ta trucizna krążyła we krwi chrześcijaństwa [...]”.

W „Przygodach Tomka Sawyera” z aż taką krytyką Kościoła nie mamy oczywiście do czynienia, ale z obśmianiem bezmyślnego wkuwania wersetów z Pisma Świętego przez uczniów szkółki niedzielnej – i owszem. Któż nie pamięta, jak Tomek zapytany o pierwszych apostołów wymienia Dawida i Goliata! Swoją drogą ciekawe, że powieść ta doczekała się ekranizacji, m.in. w... ZSRS, gdzie w 1981 r. przeniósł ją na ekran Stanisław Goruchin – późniejszy poseł do Dumy i szef kampanii wyborczej Putina w 2011 r. – jako „Przyluczenia Toma Sojera i Gieklberri Finna”. A jeszcze we wcześniejszej dekadzie, bo w 1973 r., Georij Danelija opowiedział o Hucku Finnie w filmie „Sowsiem propaszczij”. Po książki Marka Twaina sięgali zresztą filmowcy wielokrotnie: i w Sowietach, i w Rumunii, i we Francji, no i oczywiście w Stanach Zjednoczonych, gdzie po raz pierwszy jego prozę wykorzystano jeszcze nieme kino – w 1917 r.

MOJŻESZ W SITOWIU

Z dzisiejszego punktu widzenia nie był z Twaina pisarz poprawny, choć występował np. zdecydowanie przeciw segregacji rasowej. Że jednak używał słowa „nigger”, już 10 lat temu amerykański wydawca zamienił mu go na „slave” – niewolnika. Nawet myśleć nie chcę o tym, co współcześni cenzorzy zrobią z taką pochwałą Murzyna z „Życia na Missisipi”: „Jim miał jak na Murzyna doskonałą głowę”. Czy z wyznaniem ciotki Rachel ze „Szkołnego wzgórza”: „My mieć uczucia, tak samo jak wy, chociaż my być gupi i carni”.

Trudno też nie zadumać się nad „Przygodami Tomka Sawyera” i opisem tego, co działo się po śmierci Indianina Joego, mordercy, którego pogrzeb – czytamy – „położył kres jednej sprawie – napływowi do gubernatora petycji o ułaskawienie Indianina. Petycje owe podpisywano masowo; odbyło się wiele zakrapianych łzami, burzliwych zgromadzeń, a grono poważnych dam założyło

komitet, który miał stawić się w żałobie przed gubernatorem i nakłonić go swymi jękami, by okazał się miłosiernym osłem i machnął ręką na swoje obowiązki. Indianina Joego podejrzewano o to, że zabił pięciu obywateli miasta, ale jakież to miało znaczenie! Gdyby nawet był diabłem wcielonym, zawsze znalazłaby się grupka poczciciwców o sercach z wosku, gotowych nagryzmolić swój podpis pod petycją i skropić ją łzami ze swoich ustawicznie zdefektowanych, wiecznie przeciekających organów płaczu”. Ciśnięcie na usta pytanie: Skąd my to znamy?

Z dzisiejszego punktu widzenia nie był z Twaina pisarz poprawny. Nawet myśleć nie chcę o tym, co współcześni cenzorzy zrobią z taką pochwałą Murzyna z „Życia na Missisipi”: „Jim miał jak na Murzyna doskonałą głowę”

A co tytułowy bohater „Przyluczenia Toma Sojera i Gieklberri Finna” opowiadał o swoim życiu, gdy przestał już być włóczęgą i w miasteczku postanowiono go ucywilizować, co wcale mu się nie podobało: „Wdowa wyciągała książkę i czytała mi o Mojżeszu w sitowiu; strasznie byłem ciekaw, co też ten Mojżesz teraz porabia i w ogóle, ale w końcu się wydało, że on już dość dawno nie żyje, więc przestał mnie całkiem interesować, bo nieboszczyki w ogóle mnie nie rajcują.

Po niedługim czasie zachciało mi się palić, więc poprosiłem wdowę o pozwolenie. Ale nic z tego. Powiedziała, że palenie to paskudny nałóg i grzeszny, i że powinienem z nim skończyć. Tacy to już są niektórzy ludzie. Nie mają pojęcia o paleniu, a wymądrzają się jak nie wiem co. Truje mi tu o Mojżeszu, co to ani jej brat, ani swat i żadnego z niego pożytku, skoro wykitował, a mnie potępia, bo robię coś, co jest przyjemne. A przecież sama lubi zafundować sobie niuch tabaki i to jest w porządku tylko dlatego, że to robi ona”.

PIONIERSKA ROLA WHISKY

Przywykliśmy doceniać Marka Twaina jako autora popularnych książek dla młodzieży (głównie dla chłopców), wziętego humorystę, wreszcie pisarza, którego twórczość pełną garścią czerpie z dziennikarstwa. Wszystko to tyleż go honoruje, ile deprecjonuje, jako kogoś jeśli nie gorszego, to w każdym razie pomniejszego od prawdziwych gigantów

światowej czy choćby tylko anglojęzycznej literatury. Tym mocniej więc prof. Jerzy Jarniewicz w przywoływanym już tutaj posłowniu do PIW-owskiego wyboru utworów Twaina podkreśla, że „pozorna lekkość i przystępność [tej twórczości] nie wykluczają jej wagi, a miejscami geniuszu”. I stawia ją obok, o pokolenie starszych, Dickensa i Melville’a.

Literatura pisana z myślą o młodym czytelniku powinna być przynajmniej nie gorsza niż ta adresowana do odbiorców starszych wiekiem, a w wypadku Marka Twaina bywa lepsza. Tak zwane nowe

dziennikarstwo spod znaku Trumana Capote’a i Toma Wolfe’a w prostej linii wywodzi się od autora „Życia na Missisipi”. A jeśli książki, które czytamy, oprócz tego, że nie unikają najtrudniejszych tematów – a takie podejmował pisarz, i to nierzadko – potrafią nas rozbawić i przywołać uśmiech (nie recho!) na naszej twarzy, tym bardziej winniśmy je cenić. Przeczytajmy zresztą taki oto wywód Marka Twaina:

„Jakże wzniosła i piękna jest myśl, że pionierem cywilizacji nie był parowiec ani kolej żelazna, ani prasa, ani szkoła niedzielna, ani misjonarz, lecz whisky. Tak, otóż tak się sprawa przedstawia. Zajrzyjcie do historii, a przekonacie się, misjonarz przychodzi po whisky, to znaczy przybywa później, niż przybyła whisky. Następnie przychodzi biedny osadnik z siekierą, motyką i fuzją, potem handlarz, potem różni awanturnicy, następnie gracz, desperat, rozbójnik i inni pokrewni grzesznicy obojga płci; potem elegant, który odkupił jakąś starą darowiznę obejmującą cały szmat ziemi. Ten sprowadza gromadę prawników; straż obywatelska sprowadza przedsiębiorcę pogrzebowego. Potem dopiero nastaje prasa, która zaczyna swą działalność od polityki i kolei żelaznej; wszyscy zabierają się do budowania kościoła i więzienia, i spójrzcie, cywilizacja ustaliła się już w kraju na zawsze. Lecz whisky, widzicie, była pionierem tej zbawiennej roboty. Zawsze nim jest”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Benito Mussolini wobec Żydów!

Jan Jacek Bruski – Pakt Piłsudski-Petlura
Grzegorz Janiszewski – Polacy w Kijowie
Piotr Zychowicz – Zdrada w Rydze
Sławomir Koper – Rubinstein i kobiety
Jakub Ostromecki – Madziaryzacja Słowacji
Keith McCloskey – Horror na Przełęczy Działowa
Mikołaj Iwanow – NKWD kontra AK
Rafał A. Ziemkiewicz – Historia do negocjacji

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Piotr Gociek

Mel Gibson i Mark Wahlberg łączą siły, bo opowiedzieć historię księdza Stuarta Longa

Był sobie chłopak, który miał talent, lecz niezbyt wielki. I w dodatku nie do końca wiedział, w jakiej dziedzinie. Za młodu trochę grał w futbol (amerykański), potem trochę boksował. Wpadł w kłopoty. Bywał na bakier z prawem. Późno zaczął, zdrowie nie dopisywało, trzeba więc było szukać nowego zajęcia. Jak wielu przed nim wyruszył więc z górzystej Montany do Hollywood. Gdzie okazało się, że z zarobkiem może być jeszcze trudniej, bo wszyscy tu byli młodszy, ładniejsi, bardziej utalentowani. Co do niezbyt wielkich talentów Stuart Long miał właściwie jeden: był uparty. Czasem w życiu to wystarcza, ale jeszcze trzeba mieć jakąś dziedzinę, w której jest się odpowiednio upartym. Co, kiedy jej nie znajdziesz? Pan Bóg, jak wiadomo, potrafi jednak pisać prosto

nawet po liniach krzywych. Okazało się zatem, że ma dla Stuarta Longa własny plan. Tyleż zaskakujący, co niełatwy.

W dzisiejszym kinie próżno szukać pozytywnych wizerunków księży: jak nie pedofil, to tępak; jak nie głupek, to chciwiec; jak nie obżartuch, to siewca nienawiści. Wyjątkiem są horrory, w których egzorcysty dają w kość Szatanowi, oraz christian movies, często do przesady patetyczne, a bywa że i zamiast wiary propagujące emocjonalny szantaż. Film „Ojciec Stu” („Father Stu”, 2022) unika tych pułapek, bo Rosalind Ross (reżyserka i scenarzystka) opowiada jego historię tak, jak przyzwoity amerykański dramat biograficzny powinien być opowiedziany. Bez łopatologii, z humorem, zaskakującymi zwrotami akcji, niezłymi dialogami i gwiazdorską obsadą. Porządna, przykuwająca uwagę robota, w dodatku nakręcona za marne kilka milionów dolarów, bo w dzisiejszym Hollywood w historii dobrych księży raczej się nie inwestuje.

Był to od lat wymarzony projekt Mela Gibsona i Marka Wahlberga, co jest kolejnym powodem dla lekceważenia i milczenia związanego z filmem „Ojciec Stu” (publiczność wie na szczęście lepiej; w USA film szybko zarobił pięć razy

tyle, ile kosztował). Gibsonowi przypina się łatkę antysemitę, Wahlberg – choć aktor popularny i kasowy – deklaruje się publicznie jako zagorzały katolik, a to w Hollywood – powtórzmy – nie pomaga. W roli chłopaka bez właściwości dostającego drugą szansę możemy widzieć odbicie kariery samego Wahlberga (z zachowaniem odpowiednich proporcji). Za młodu kiepski raper, potem taki sobie aktor; różniło go od Longa to, że nie przejawiając wielkiego talentu w żadnej dziedzinie, mimo wszystko zarobił wielkie pieniądze. Ale przecież wszyscy wiemy: drugim Robertem De Niro nie jest i nie będzie. Za to w charakterystycznych rolach sympatycznych everymanów amerykańska publika Wahlberga polubiła, i tyle. Mel Gibson pojawia się na ekranie w roli ojca głównego bohatera: oto zapijaczony gość, który porzucił rodzinę, syna uważa za porażkę, ale i dla samego siebie nie ma wyrozumiałości.

Stu na próżno próbuje zrobić wielką karierę, ale wydaje mu się, że znalazł wielką miłość. Piękna Carmen (Teresa Ruiz) uczy w szkółce niedzielnej miejscowej parafii, jest katoliczką wychowaną w katolickim domu i hołduje zasadom „żadnych flirtów z ateuszami” oraz „seks dopiero po ślubie”.



Ten film był od lat wymarzonym projektem Mela Gibsona i Marka Wahlberga FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kino rządzi się swoimi prawami, trzeba było wszystko skrócić, uprościć, uczynić bardziej intensywnym. Nie było miejsca na dramatyczną opowieść o tym, jak wyglądało całe 15 lat od tragicznego wypadku do wyświęcenia Stuarta Longa. Ani budżetu na pokazanie jego pielgrzymki do Lourdes, dokąd udał się w chwili ciężkiego kryzysu.

Dramat, kryzys – skąd te słowa? Czyżby przyszłego ojca Stu ogarnęły wątpliwości? Nie, ale Pan Bóg postanowił go poddać ciężkiej próbie. Jeszcze podczas studiów w seminarium wykryto u niego wtrętowe zapalenie mięśni. Choroba nieznanego pochodzenia, nieuleczalna, skutkująca utratą władzy w mięśniach. Jakże miał Stuart Long marzyć o odprawianiu mszy, skoro w nieodległej przyszłości posłuszeństwa miały odmówić kończyny, przeżytek – każdy cal jego ciała?

Za łatwo przychodzi niektórym szermowanie sloganem „cierpienie uszlachetnia”. Najczęściej czynią to ci, którzy nie widzieli z bliska, jak wielkie cierpienie oraz wielki ból potrafią odrzeć człowieka z człowieczeństwa i godności. A jednak wspominamy z głębokim wzruszeniem wysiłek Jana Pawła II w dniach, gdy powolnego dzieła zniszczenia dokonywała choroba Parkinsona. Ten krzyż, który każdego dnia niesiony był przez przyszłego świętego, to świadectwo wiary i nieugiętości ducha, którym były słowa wypowiedziane wbrew cierpieniu.

WSZYSTKO JEST ŁASKĄ

Podobne przesłanie znajdziemy w opowieści o ojcu Stu. O chłopaku, któremu nijak się jakoś nie układało i nie udawało, aż pewnego dnia zrozumiał, że jego największy talent to umiejętność przekonywania; że jego największy dar to ten chłopięcy uśmiech idący w parze z uporem. A pogoda ducha w obliczu tego, co nieodwracalne, jest czymś bezcennym i wartym przekazania dalej – w dobrej sprawie. Że żyjemy dla innych i tyle z nas pożytku, na ile swoje dary obrócimy ku dobru. Ksiądz Stuart Long w dobrych zawodach wystąpił, bieg ukończył, wiary ustrzegł, a jego życie i jego dzieło stały się inspiracją dla wielu innych. Łącznie z rodzicami, którzy po jego śmierci odnaleźli drogę do Kościoła. I z nawróconymi pracownikami domu

opieki, w którym ojciec Stu spędził ostatnie lata życia, udzielając sakramentu spowiedzi z wózka inwalidzkiego. On nie mógł już wyjść do wiernych, lecz wierni przychodzili do niego; Stu zaś pełnił posługę kapłańską nawet w chwili, gdy trzeba było pomagać mu w przesuwaniu bezwładnych palców.

Film „Ojciec Stu” jest opowieścią o ludziach, którzy mimo wielkich przeciwności i ciężkich prób odnajdują swoje miejsce w większym planie stworzenia. A jego twórcy, tak jak jego bohaterowie, opowiadają się po stronie afirmacji, a nie buntu. Nie jest to film wybitny, a jednocześnie jest to film, którego ominąć nie można. (Podpowiadam: szukajcie w platformie cyfrowej

Canal+, Play Now, Chili czy w Rakutenie).

Dzieje uśmiechniętego, trochę naiwnego Stuarta Longa sprawiają, że wracam myślą do arcydzieła kina religijnego. Przypomina mi się gromadka skupiona wokół św. Franciszka, pokazana z tak wielkim humorem i sercem przez Rosselliniego w filmie „Franciszek, kuglarz boży”. I przypomina mi się to znamienne zdanie, którym Robert Bresson zamknął swój „Dziennik wiejskiego proboszcza”: „Wszystko jest łaską”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

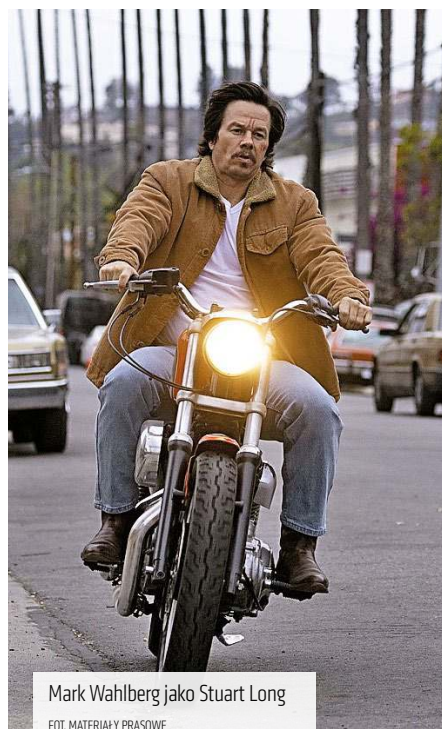


REŻ. ROSALIND ROSS
„OJEC STU”
USA 2022

Uparty i wiecznie uśmiechnięty Stu rozpoczyna więc przygodę z Kościołem: daje się ochrzcić, idzie do bierzmowania, modli się przed obiadem u przyszłych teściów. Wciąż mamy jednak wrażenie, że to wszystko gra, że nie chodzi o Boga wysławianie, lecz oszukanie: Stu po prostu bardzo chciałby mieć Carmen. Doświadczenie bliskie śmierci – wypadek motocyklowy i śpiączka, z której zdaniem lekarzy miał się już nie wybudzić – zmieniły jego zamiary. Proszę sobie wyobrazić zdziwienie biednej dziewczyny, kiedy na randce, podczas której oczekiwała oświadczenia, Stu deklaruje, że chce zostać księdzem.

CIEŻKA PRÓBA

Ważna uwaga: choć scenariusz pisany był z inspiracji prawdziwymi wydarzeniami, to ekranowy ojciec Stu odbiega mocno od oryginału. Przede wszystkim Stuart Long był człowiekiem wykształconym (skończył studia na kierunku literatura), podczas gdy film w pierwszej połowie pokazuje go jako niemal głupka. A później, w drodze do święceń kapłańskich, m.in. został magistrem filozofii na Uniwersytecie Franciszkańskim w Steubenville i nie było to w jego nowym życiu jedyne miejsce doksztalcania.



Mark Wahlberg jako Stuart Long

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



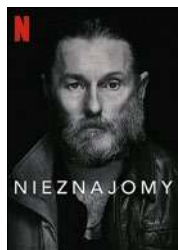
FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Za wszelką cenę



★★★★★
REŻ. THOMAS M. WRIGHT
„NIEZNAJOMY”
(„THE STRANGER”)
AUSTRALIA 2022

wyst. Joel Edgerton,
 Sean Harris

Dwóch mężczyzn spotyka się w podróży. Obaj to rozbitkowie, obaj mają powody, by trzymać się z dala od policji. Ich spotkanie nie jest jednak przypadkowe, obaj coś ukrywają: pierwszy to były więzień, który powtarza, że „nie robi już w przemoc”, drugi szykuje się do ucieczki z kraju pod fałszywym nazwiskiem. To początek gry w kotka i myszkę: rzekomy uciekinier prowadzi zaś nowego znajomego w pułapkę. Kto i dlaczego ją przygotował, w jaki sposób się zatrzśnie – o tym reżyser Thomas M. Wright opowiada przez dwie godziny thrilleru „Nieznajomy”, jednego z najlepszych kryminałów, jakie trafiły na nasze ekrany w mijającym roku.

W odróżnieniu od opartego na podobnym

pomyśle serialu „Black Bird” czy opowieści o policyjnej robocie pod przykrywką w stylu „Donniego Brasco” „Nieznajomy” jest ostentacyjnie niekomercyjny i powolny. Żadnych strzelanin, efektownych napadów czy ucieczek, wszystko sprowadza się do psychologicznej gry prowadzonej w klaustrofobicznym świecie pokoi hotelowych, pustych podziemnych parkingów, wynajętych na chwilę domów. Nawet niezmiernie australijskie bezdroża zdają się pułapką. Nic tu stałego, trzeba ciągle być w ruchu, najważniejsze to trzymać głębiej na kłódkę, robić, co ci każą, i udowodniać, że jest się godnym zaufania. Nagrodą jest jeszcze jeden dzień życia – może i niespecjalnie ciekawego, ale z dala od krat.

Joel Edgerton i Sean Harris tworzą kreacje wybitne. Tego pierwszego oglądamy jako skupionego na tworzeniu iluzji doskonałego agenta w przebraniu bandyty, lecz także w roli ojca próbującego oddzielić brud codziennej roboty od tej resztki rodzinnego życia, która mu jeszcze została. Sean Harris jest przerażający – choć nie oglądamy na ekranie w jego wykonaniu żadnych aktów przemocy, widzimy doskonałe mrok, który drzemie w środku. „Niczego nie planowałem” – mówi ze spokojem, ba, z uśmiechem, gdy wreszcie opowiada o swojej zbrodni. Oto zło, które „po prostu się wydarzyło”, jak strzepanie brudu z odzienia, jak rozdeptanie szyszki podczas leśnej przechadzki. Nic godnego uwagi. Zło najbardziej zwyczajne, więc najbardziej szokujące. Jest w tym filmie jedna, jedyna chwila, kiedy milkiwy, twardy detektyw uрони łzę. Nie nad własnym losem, nie nad ofiarą, ale w chwili wątpliwości, gdy wydaje mu się, że takie zło może pozostać nieukarane. ©©



NOWE SERIALE: „FRANCUSKA POMYŁKA”

Skoro z Francji, to powinno być lekko, wesoło i niezbyt mądre – ojczyzna Napoleona musiała paść ofiarą takiego właśnie hollywoodzkiego stereotypu. Streamingowy gigant Disney+ przedstawia swoją pierwszą produkcję oryginalną znad Sekwany, czyli farsę o dwóch niezbyt lotnych i mocno pechowych osobnikach wpętanych w krymi-

nalną intrygę. W rolach głównych François Damiens (m.in. „Rozumiemy się bez słów”) i Vincent Dedienne. Sześć krótkich odcinków (po ok. 30 min) dostępnych jest w komplecie. ©©

• „Francuska pomyłka”
 („Les Amateurs” aka „The French Man”), Francja 2022



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Edward Berger, „Na zachodzie bez zmian” („All Quiet on the Western Front”), Niemcy/USA 2022
- sezon 1, „Gwiezdne wojny: Opowieści Jedi” („Star Wars: Tales of Jedi”), USA 2022
- miniseria „The Devils' Hour”, Wielka Brytania 2022



Dni ostatnie

KINO

Metropolie puchną w oczach, a prowincja się wyludnia. Zjawisko znane na całym świecie, również w Polsce. Zrobiono o tym już wiele filmów, często przejmujących, ale chyba żaden nie był tak prawdziwy jak „Alcarràs”. Rolnikom z tytułowej gminy zagraża wywłaszczenie. Gdy Hiszpania wchodziła jeszcze gen. Franco, senior rodu Rogelio nie zadbał o podpisanie odpowiednich papierków, a potomkowie dawnych obszarników doszli do wniosku, że ustna umowa w XXI w. wygasa, z kolei na fotowoltaice można zarobić o wiele więcej niż na brzoskwininach. Quimet, choleryczny syn Rogelia, nie zamierza wywieszać białej flagi. Rodzina niby stoi za nim murem, ale ludzie są

tylko ludźmi. Dają o sobie znać zadawnione pretensje, tuż przed konfliktem pokoleniowym. Atmosfera gęstnieje, jednak Katalończycy, jak na południowców przystało, nie potrafią się bez przerwy smucić, a poza tym trzeba zebrać plony. Nastrój poprawiają też dzieciaki, które, nie zdając sobie sprawy

z powagi sytuacji, celebryzują wakacje.

Koniec lata będzie zarazem końcem dawnego świata. Daremnie właściciele małych gospodarstw protestują i odgrają się, że zaczną uprawiać konopie indyjskie. Naturszczycy występujący w filmie zawstydzają zawodowych aktorów. Na festiwalu w Berlinie wydarzył się cud: Złoty Niedźwiedź wreszcie zaryczał w słusznej sprawie. © ©

Wiesław Chełmiński



★★★★★

REŻ. CARLA SIMÓN
„ALCARRÀS”
HISZPANIA/
WŁOCHY 2022

wyst. Jordi Pujol
Dolcet, Josep Abad,
Anna Otín



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

KATOWICKI ODLOT

KINO

Lech Majewski na starość zrobił się sentymentalny. Wrócił do krainy dzieciństwa, podstawiając na swoje miejsce czupurnego Adasia. Chłopak jest pozabawiony ojca, który ratował Anglię jako pilot Dywizjonu 302, lecz nie fantazji. Ta pozwala mu przestawiać z idolami z plakatów wiszących nad łóżkiem. Szczególna więź łączy Adasia z Brigitte Bardot (Opozda w prawdopodobnie życiowej roli). Ja z kolei oczami wyobraźni widzę reżysera zamykającego w szafie montażystę, by ten skrótami nie popsuł rozkoszy obcowania z dziełem w jego autorskim kształcie. Film jest rozbuchany wizualnie, lecz (finału nie licząc) mniej ekstrawagancji, niż można się było spodziewać. Groteskowych nauczycieli oraz esbeków znamy już skądinąd. Wes Anderson popełnił komedię o hotelu zanurzonym w przyszłości. Wymyślony przez Majewskiego hotel Luna próbuje być czymś więcej, szkołą życia. Szkoda, że lekcje w niej są tak banalne. © ©



★★★★★

REŻ. LECH MAJEWSKI
„BRIGITTE BARDOT CUDOWNA”
POLSKA 2021

wyst. Kacper Olszewski,
Joanna Opozda

Magdalena Rózcza, Joanna Opozda

TO SIĘ WYTNIE

CANAL+

W czasach Żelaznej Damy brytyjskie kino leżało na łopatkach, ale życie było bardziej ekscytujące. Prano Bailey-Bond musiała coś takiego usłyszeć od rodziców, skoro nakręciła film będący pastiszem niskobudżetowych slasherów z lat 80. Bohaterka na zlecenie rządu z zapalem cenzuruje sadystyczne dzieła, którymi wypożyczalnie wideo zatrują społeczeństwo. Podpada jednak zwierzchnikom, dopuszczając do dystrybucji dreszczowic, który posłuży za inspirację do okrutnej zbrodni. Enid wychodzi z roli sumiennej urzędniczki i zaczyna śnić koszmar na jawie. Film, zrealizowany przez kobietę ekipę, do pewnego momentu intryguje. Scenografia Pauliny Rzeszowskiej cieszy oczy. Straszne kino XXI w. jest mniej tandetne, bardziej naturalistyczne i ma lepsze tempo. No cóż, kto, młodym będąc, z zapartym tchem nie oglądał na kasetach VHS „Krwawego odwetu” czy „Upiornych urodzin”, niech pierwszy rzuci kamieniem. © ©



★★★★★

REŻ. PRANO BAILEY-BOND
„CENZORKA”
WIELKA BRYTANIA 2021

wyst. Niamh Algar,

Michael Smiley, Sophia La Porta

recenzuje Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „MARIO + RABBIDS: SPARKS OF HOPE”

Znakomity turowy system walki, który podpatrywać mogą twórcy „poważniejszych” tytułów, i – co w grach z Mariem nie jest żadnym zaskoczeniem – niebywała grywalność sprawiają, że od tego tytułu trudno się oderwać. Światy Maria i kórlików łączy Ubisoft i robi to

świetnie. Turowe potyczki są esencją tego tytułu, wymagają pomysłów i przemyślenia taktyki. Istotny jest dobór członków drużyny, bo każdy sprawdza się w nieco innych warunkach. Pomiedzy starciami eksplorujemy świat w poszukiwaniu monet, a także (nielicznym i bardzo



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

prosty) zagadek logicznych. Jest też jakaś fabuła, ale dodana chyba tylko dla przyzwoitości. Bardzo udana kontynuacja tytułu z 2017 r. © ©

Radosław Wojtas

• Gatunek: **taktyczna, RPG**
• Platforma: **Nintendo Switch**
• Producent, dystrybutor: **Ubisoft**

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Lektura obowiązkowa

Takie książki jak Grzegorza Kucharczyka muszą się ukazywać i muszą być czytane. Nie tylko po to, by zdający na studia nie nazywali Westerplatte „wzgórzem we Włoszech, na którym był klasztor i które było zdobyte w czasie drugiej wojny światowej przez polskich żołnierzy” czy zastanawiali się, w jakim mieście wybuchło powstanie warszawskie, a takie przypadki ze swojej kariery dydaktycznej odnotowuje autor. Niestety, zbieramy żniwo fatalnych decyzji edukacyjnych, m.in. funkcjonowania gimnazjów w naszym systemie szkolnym od roku 1999 do 2019 i obniżenia rangi nauczania historii wraz z całą humanistyką. W efekcie młody człowiek nie zna dziejów ojczystych lub ma o nich wiedzę fragmentaryczną, nieporównywalną z tą, w jaką wyposażony był jego rówieśnik sprzed pół wieku, kształcony – o zgrozo – w szkole komunistycznej, według podporządkowanych indoktrynacji programów i z ocenzonego podręczników.

Ale jeszcze ważniejsze jest nabranie świadomości, w którym punkcie dziejów się znajdujemy – jako naród i jako państwo. Profesor Koneczny ukazywał historię konfliktów cywilizacyjnych, w których – jeśli chodzi o Polskę i Polaków – to my reprezentowaliśmy cywilizację łacińską, Niemcy – bizantyńską, a Rosja – turańską (z azjatyckim podglebiem). Nie tylko w „Dziejach Polski”, lecz także we wszystkich swoich pracach podkreślał decydujący i pozytywny wpływ Kościoła katolickiego na społeczny rozwój naszego kraju. I nieprzypadkowo ideą założonej przez niego w 1926 r. wileńskiej korporacji Conradia była wierność: Kościołowi, Bogu i Ojczyźnie. Feliks Koneczny był potem kuratorem i filistrem honoris causa Conradian, a dla mnie jest to ważne i z tego



FOT. KANDIZ/YouTube

powodu, że w 1938 r. marszałkiem tej korporacji został mój ojciec.

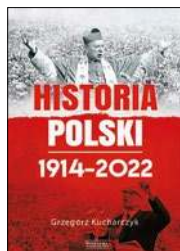
Dziś prof. Grzegorz Kucharczyk przypomina, że nie co innego, a wyrosły z katolicyzmu „kod kulturowy pozwolił nam przetrwać najtrudniejsze lata. Był i pozostaje naszym najcenniejszym kapitałem kulturowym i społecznym. Ciągłe żyjemy z »odsetek« od niego. Tego zasobu nie można roztrwonić. Innego zabezpieczenia naszej trwałości jako wspólnota kulturowa nie mamy”.

Autor opowiada o naszej historii najnowszej widzianej z polskiej – bo jaką inną miałaby być – perspektywy. Nie unikając kwestii drażliwych. I tak uważany niemal za sprawcę naszej niepodległości amerykański prezydent Wilson nie był tak jednoznacznie propolski, jak się powszechnie sądzi, a nomen omen 11 listopada 1918 r. Louis Marshall kierujący Amerykańskim Komitetem Żydowskim orzekł, że o wspieraniu Polaków walczących o niepodległość nie ma mowy, gdyż zamierzają oni eksterminować Żydów. Brytyjski premier Lloyd George troszczył się wtedy jedynie o powojenny los Niemców, Polakom wytykając „nadmierne roszczenia”, niezrozumiałe w wypadku narodu, który „przez cały ciąg swojej historii ani razu

nie zdołał wykazać uzdolnienia do utrzymania stałej samodzielności”. W 1920 r., w obliczu bolszewickiego najazdu, dowódca Reichswehry gen. Hans von Seeckt twierdził: „Jeśli chodzi o uratowanie przed bolszewizmem Polski, tego śmiertelnego wroga Rzeszy, tworu i sojusznika Francji, złodzieja niemieckiej ziemi, niszczyciela niemieckiej kultury, to do tego dzieła nie powinna być przyłożona żadna niemiecka ręka i jeśli diabeł będzie chciał zabrać Polskę, to powinniśmy mu w tym pomóc”. Tak naprawdę pomogli nam wówczas jedynie Węgrzy, z konieczności jednak w ograniczonym stopniu. No i ręka Boska, autor „Historii Polski 1914–2022” nie przecenia bowiem talentów Piłsudskiego, wojskowych i innych również. Wspaniałe zwycięstwo nad bolszewikami grozącymi Polsce i Europie odniósł naród polski, broniący swojej niepodległości, niezależności i suwerenności.

Sowieci, i nie tylko oni, nazywali II Rzeczpospolitą państwem faszystowskim, „więzieniem narodów”. Dziś podobnymi epitetami obrzuca się polskie władze, broniąc rzekomo naruszanych przez nie praw mniejszości seksualnych. Unijne absurdalności stawiane są wyżej od konstytucji, a wieszanie się na obcych klamkach uchodzi za uprawianie polityki. Kościół zaś zniesławia się przy każdej okazji.

Grzegorz Kucharczyk, godny następca Feliksa Konecznego, nie popada jednak w skrajny pesymizm. Ostatecznie – czytamy – „wszystko rozstrzyga się w sferze ducha. Tutaj można jeszcze przed walką wszystko przegrać albo zanim dojdzie do walki, uwierzyć w zwycięstwo”. A historia, wbrew prorocstwom wróżbitów, często z naukowymi tytułami, wcale się nie skończyła. Nawet jakby dostała przyspieszenia, tym bardziej więc wypada ją znać. ©



★★★★★
GRZEGORZ
KUCHARCZYK
„HISTORIA POLSKI
1914–2022”
ZYSK I S-KA,
POZNAN 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Historia i siła

W maju polecałem czytelnikom „Do Rzeczy” niezwykle „Atlas Wysehradzki/Visegrad Atlas”, kompendium wiedzy na temat krajów Grupy V4. Dziś będzie o publikacji jeszcze bardziej fascynującej. „Geograficzno-polityczny atlas Polski. Polska w świecie współczesnym”, pod redakcją dr. hab. Marcina Wojciecha Solarza, ukazał się w roku 2018. Teraz ukazuje się jego nowa, uwspółcześniona edycja z podtytułem „Perspektywa 2022”.

Kilka tysięcy egzemplarzy trafiło do szkolnych bibliotek, więc z jednej strony dostęp do publikacji jest łatwy – dla naszych dzieci. Z drugiej, dystrybucja klasyczna dopiero się zaczyna, a z jakiegoś powodu żywie dziwne przekonanie, że w księgarniach jatkach zwanych sieciówkami raczej trudno będzie ten atlas znaleźć. Ale wracam do dobrych wiadomości – można korzystać z niego on-line na stronie <http://atlas2022.uw.edu.pl>. Ale na pewno warto też sprawdzać w Internecie, kiedy i gdzie niezwykle dzieło będzie można kupić w wersji drukowanej. Ja za swój egzemplarz dziękuję Biuru Programu „Niepodległa”.

Przyda się ten atlas Polski jako lekcja historii, bo w części „Granice, terytorium, pamięć” przyglądamy się na-

szym dziejom w rytm jakże licznych zmian (o większość nie prosiliśmy). Mapy, wykresy, statystyki, grafy – danych jest ogrom, przedstawione są przejrzysto. Mamy i obraz współczesności, bo oprócz ciekawego wprowadzenia „Polska w przestrzeni i czasie” rysującego nasze miejsce w świecie znajdziemy dalej mapy z wynikami wyborów w niezwykle drobiazgowym opracowaniu, łącznie z informacją, ile kosztuje zdobycie miejsca w parlamencie.

Gospodarka, powiązania międzynarodowe, bezpieczeństwo energetyczne – oczywiście tego można się było spodziewać po tego typu publikacji, ale spojrzmy też na rzeczy nieoczywiste, a niezwykle zajmujące. Oto część „Polska soft power”, od polskich nazw geograficznych w świecie, przez sukcesy sportowców, wynalazców, naukowców i ludzi kultury, do

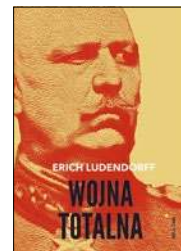
najpopularniejszych za granicą polskich marek. Oto diagram kołowy „Sprawiedliwi wśród Narodów Świata”, z którego wyraźnie wynika, że Polaków ratujących Żydów jest w tym gronie najwięcej. Rzecz, którą wbić należy do głów uczniom, bo na dziennikarzy „Wyborczej” za późno. Atlas gromadzi i porządkuje wiedzę bezcenną. Chciałoby się, by polscy politycy wiedzieli, jak jej użyć. ©©



★★★★★
PRACA ZBIOROWA
„GEOGRAFICZNO-
POLITYCZNY
ATLAS POLSKI.
PERSPEKTYWA
2022”
TRZECIA STRONA,
UNIwersYTET
WARSZAWSKI
2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Słynny traktat niemieckiego generała, w którym postulował uderzenie na ludność cywilną, by złamać morale wroga i organizację wojennej gospodarki. Wpływ na doktrynę Hitlera bezsporny – podobnie jak na działania Putina.



ERICH
LUDENDORFF
„WOJNA
TOTALNA”
BELLONA

Helena Trojańska, Atena, Penelopa i kto jeszcze? Pamięć szybko się kończy, z pomocą idzie obszerny leksykon kobiet w mitologii greckiej. Pochodzenie, znaczenie, a także późniejsza obecność w kulturze i sztuce. Rewelacja.



HANNA FURGO
„BOGINIE,
DZIEWICE,
POTWORZYCE”
WYDAWNICTWO
LIRA

Głośna, acz nigdy nieukończona książka ukazując się w nowym przekładzie (Miłosza Biedrzyckiego) i w nieznanym dotąd kształcie. Patrick, wnuk pisarza, przygotował tę edycję, uwzględniając wszystkie poprawki autora.



ERNEST
HEMINGWAY
„RUCHOME
ŚWIĘTO”
WYDAWNICTWO
MARGINESY

Pierwsza część 12-tomowego cyklu „Historia Śródziemia”, zbierającego wszystkie utwory stworzone przez Tolkiena przy kreowaniu uniwersum „Władcy Pierścieni”, przygotowanego wedle ocalałych szkiców i notatek.

©© **poleca Piotr Gociek**



J.R.R. TOLKIEN
„KSIĘGA
ZAGINIONYCH
OPOWIEŚCI”
TOM 1
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:

„EPILOG”
Kolejny przykład, jak komiks, bawiąc i intrygując (mamy do czynienia z zawikłaną i wciągającą opowieścią kryminalną), może jednocześnie służyć do prowadzenia polityki historycznej i zadawania trudnych pytań. Ostrze wymierzone jest w reżim Franco, pytania zaś dotyczą nie tylko kwestii tego, czy współsprawcy ponieśli zasłużoną karę, lecz także



PABLO VELARDE
„EPILOG”
TIMOF I CISI
WSPÓLNICY 2022

dwoistości ludzkiej natury i zwodniczych pułapek pamięci. W gruncie rzeczy dzieje niezwykłego spisku uczą nas, że wierzyć można we wszystko, jeśli się tylko tego pragnie. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Narodziny romantyzmu

Wileński drukarz Józef Zawadzki był człowiekiem interesu. W swojej drukarni drukował przekłady zagranicznej literatury pięknej, regionalną prasę i wykłady wileńskich profesorów. W księgarni kwitł handel. Władze Uniwersytetu Wileńskiego zarzucały nawet Zawadzkiemu, że zbyt w winduje ceny podręczników, przez co uboższych z nich nie stać na zakup pomocy naukowych. Kiedy do

drukarni przyszedł młody poeta ze swoimi wierszami, Zawadzki musiał mieć pewność, że nie straci. Zanim tomik zastał przyjęty, trzeba było znaleźć nabywców, dzięki którym interes miał się opłacić.

Opłacił się. Nakład szybko się wyprzedał, tomik wstrząsnął nie tylko środowiskiem wileńskim, a Józef Zawadzki zapisał się w historii jako ten, który w 1822 r. wydrukował pierwszą część „Poezji” Adama Mickiewicza z „Balladami i romanсами”, których ogłoszenie uznaje się za początek polskiego romantyzmu.

Nie tylko temu poświęcona jest wystawa „Drukarze i romanse”, na której romantyczne artefakty (m.in. pierwodruk „Ballad i romansów”) zestawiono ze sztuką współczesną Piotra Bosackiego. ©©

GDZIE? Wrocław, Muzeum Pana Tadeusza

KIEDY? do 11 grudnia



FOT. A. MYŚLIWEK



FOT. DANUTA MATCICH/ARND

PRZECIW MILCZENIU

Mawiał, że żyje dla pisania prawdy. Doświadczył zła dwóch totalitaryzmów, będąc więźniem niemieckich obozów koncentracyjnych, a później komunistów zniewalających Polskę. Mimo zła, którego doświadczył, nigdy nie stracił wiary w ludzi i w to, że dobro jest niezniszczalne. Mija 10 lat od śmierci Janusza Krasińskiego i z tej okazji powstała wystawa „Janusz Krasiński – przeciw milczeniu” zorganizowana w dwóch przestrzeniach – w warszawskiej Kordegardzie i w formie plenerowej, przed galerią. ©©

GDZIE? Warszawa, Kordegarda

KIEDY? do 13 listopada



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Hallelujah

Słynna jazzowa wytwórnia wydała album w hołdzie Leonardowi Cohenowi. Główną postacią tego projektu jest Larry Klein, basista, producent i długoletni przyjaciel artysty.

Klein zaprosił do współpracy wokalistów należących do starszego i średniego pokolenia. Są to: Peter Gabriel, Mavis Staples, James Taylor, Iggy Pop, Brazylijka Luciana Souza, Norah Jones, Gregory Porter, Sarah McLachlan, David Gray i Nathaniel Rateliff. Wokalistom towarzyszy zespół wytrawnych jazzmanów. Dwie piosenki usłyszycie w wersjach instrumentalnych. „Avalanche” firmuje saksofonista Immanuel Wilkins, a „Bird on the Wire” gitarzysta Bill Frisell.

Klein wybrał utwory z całego dorobku Cohena, od „Suzanne”

do „You Want It Darker” z płyty wydanej kilka dni przed śmiercią Kanadyjczyka. Nagrania mają stonowany charakter, co ma swoje plusy i minusy. Rzeczywiście możemy się rozkoszować wspaniałymi barwami głosów wybitnych wokalistów, ale z drugiej strony płyta jest dość monotonna. Spośród 10 interpretacji niewątpliwie wyróżnia się wersja Iggy’ego Popa. Jego ziarnisty głos wydobywa wszystkie złowrogie podteksty ze wspomnianej „You Want It Darker”.

Płyta nie mówi nam wszystkiego, co warto wiedzieć o muzyce Cohena, bo nie było to jej celem. Larry Klein i jego współpracownicy stworzyli album, który jest wspaniale wykonany i stanowi nieudawany hołd dla wyjątkowego talentu. ©©



★★★★★
RÓŻNI WYKONAWCY
„HERE IT IS: TRIBUTE TO LEONARD COHEN”
BLUE NOTE



★★★★★
KEVIN ROWLAND & DEXYS MIDNIGHT RUNNERS
„TOO-RYE-AY: AS IT SHOULD HAVE SOUNDED”
MERCURY

Jeden z najlepszych albumów lat 80. został ponownie zremiksowany po 40 latach. To niebywałe, ale ta fuzja soulowo-celtycko-rockandrollowa brzmi rzeczywiście jeszcze lepiej.



★★★★★
RED HOT CHILI PEPPERS
„RETURN OF THE DREAM CANTEN”
WARNER RECORDS

Drugi w tym roku album Papryczek nagrany ponownie z gitarzystą Johnem Frusciantem. Tytuł „La La La La La La La La”, jednej z 17 piosenek, doskonale obrazuje całość. Album dla fanów niemających wielkich oczekiwań. Natomiast jak zawsze zabawa jest zapewniona. ©©



Krzysztof Masłoń

Niektóre z telewizji jakby spoważniały, co widać szczególnie po iście rewolucyjnych pomysłach wdrażanych w życie przy ul. Jana Pawła Woronicza

Swiat może całkowicie się nie zmienić, z pewnością jednak przeszedł daleko idące metamorfozy.

Telewizja podobnie, w naszym kraju widoczne może bardziej niż gdzie indziej, bo w końcu wojna toczy się tuż za naszą wschodnią granicą. W tej sytuacji niewykluczone jest, że ewentualny plebiscyt na najpopularniejszą postać telewizyjną wygrać mógłby minister Mariusz Błaszczak, przy każdej okazji wzywający młódź polską do wstępowania w szeregi armii, za co na dzień dobry ochotnik otrzyma 4650 zł brutto, wyżywienie, zakwaterowanie, mundur, ekwipunek, a nawet ubezpieczenie.

W TVN jednak, ze względu na politycznych, obowiązując kurs antymilitarny i dlatego za eksperta od obrony narodowej uchodzić tam może np. Siemoniak Tomasz. Ale i przy ul. Wiertniczej ktoś widać przetłumaczył i pojął łacińską dewizę „Si vis pacem, para bellum” i na wszelki wypadek wykorzystał kanał TTV, by pokazać rodzimą wersję norweskiego reality show krzepiąco nazwaną „Nasi w mundurach”. Uczestnicy, aż za dobrze znani z innych programów tej cieszącej się raczej śladowym zainteresowaniem stacji, przechodzą tam szkołę przetrwania, wojskową, a w każdym razie pod okiem ponoć doświadczonych dowódców, i nabywają umiejętności, które w nie tylko teoretycznie możliwej wojnie będą jak znalazł.



Ra da da da da

FOT. TVN

Telewizja wbijała nam przez lata do głów, że „wojsko idzie, wojsko śpiewa”, a nawet „wojsko miejsca nie zagrzewa”. O bezkonkurencyjnym Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu zdążyliśmy już, co prawda, zapomnieć, ale zorganizowany w sierpniu w Elblągu koncert piosenki wojskowej państw NATO z niemieckimi i tureckimi gwiazdami klubów disco oraz karaoke i naszymi pieśniarzami 70+ w rolach głównych też nie był od macochy. W zupełnie inną atmosferę wprowadziły teraz widzów francuskie pienia dobiegające z Teatru Wielkiego, gdzie odbyła się kolejna już Gala French Touch, mająca celebrować przyjaźń polsko-francuską. W tym wypadku tę na niwie artystycznej. Słuchaliśmy więc piosenek znad Sekwany, co jednak niekoniecznie trzeba traktować dosłownie. Taka In-Grid to w końcu Włoszka, najbardziej znany obecnie uchodzący za francuski muzyczny motyw pochodzi z brytyjskiego serialu „Allo 'Allo!” na okrągło pokazowanego m.in. przez Paramount Network i naszą Stopklatkę, a „Chanson d’amour” to przebój amerykańskiego zespołu Manhattan Transfer z powtarzającą

się zachętą: „Play encore”. Ale i nasuwająca, znów, militarne skojarzenia, nadto wymowną częścią refrenu: ra da da da da.

Odnosi się jednakże wrażenie, że przynajmniej niektóre z telewizji jakby spoważniały, co widać szczególnie po iście rewolucyjnych pomysłach wdrażanych w życie przy ul. Jana Pawła Woronicza. I tak do niedawna jeszcze programami, które anonsowano w głównym wydaniu „Wiadomości”, były jedynie transmitowane przez Telewizję Polską mecze i koncerty disco polo. A tu raptem nieoczekiwanie zaszczytu tego dostąpił poniedziałkowy teatr, który reanimował sztukę Jeana Giraudoux „Apollo z Bel-lac” napisaną przez tego zapomnianego nieco francuskiego autora 80 lat temu. Telewizja Polska pokazała „Apolla...” w 1958 r. i był to jeden z pierwszych spektakli na szklanym ekranie, w którym reżyser Adam Hanuszkiewicz obsadził, poza sobą, m.in. Kalinę Jędrusiak i Jacka Woszczerowicza. Teraz, w odkurzoną i w pokazywaną na żywo przedstawieniu, które wyreżyserowała Anna Wierciszewska, zaprezentowali się, wśród innych, Monika Pikula i Przemysław Stippa. Szczegół-

nie obecność tego ostatniego, grającego nie kogo innego, jak pana de Bellac, ucieszyła widzów stęsknionych za Władkiem Cieślakiem zakochanym w piłkarzu nożnym bohaterze „Barw szczęścia”.

I tak wysoka kultura za sprawą telewizji publicznej, a jak ktoś się uprze, to może i jej prezesa w osobie Mateusza Matyszkowicza, filozofa zresztą, zbłądziła pod strzechy. Tak się złożyło, że niemal razem z przekazem Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego. Chciałoby się rzec, oby tak dalej. Wyniki oglądalności nakazują jednak zachowanie w tej materii wstrzemięźliwości.

Poza tym normalka. Telewizja Polska wśród materiałów obrazujących jej największe dokonania w ciągu 70 lat swego istnienia eksponuje wybór Jana Pawła II na Stolicę Piotrową, niejako dając do zrozumienia, że przyczyniła się do tego. TVN natomiast pokazuje coraz to nowych zatroskanych „katolików”, którzy lejąc łzy nad trudną sytuacją (moralną!) Kościoła, wskazują na polskiego papieża, który jakoby miał ten stan sprokurować. Longinus Podbięta powiedziałaby: „Słuchać hadko”. A oglądać? ©

Poniżej przedrukujemy za zgodą autora Hermann Tertscha jego tekst dedykowany Adamowi Michnikowi z okazji wręczenia mu Nagrody Księżnej Asturii. Tekst ukazał się 18 października 2022 r. w „La Gaceta de la Ibersfera” z tytułem „Lo lamento, Michnik” i z uwagi na obszerne rozmiary został odrobinę skrócony na potrzeby druku. Tłumaczenie i drobne zmiany autoryzowane były przez autora.

Hermann Tertsch del Valle-Lersundi to hiszpański dziennikarz, pisarz, a od 2019 r. także poseł europarlamentu z ramienia partii VOX i wiceprzewodniczący grupy EKR. Od 1985 r. pracował jako korespondent „El País” w Bonn i Warszawie. Poznał wtedy wielu polskich intelektualistów i opozycjonistów, a z Adamem Michnikiem połączyły go przyjaźń i wspólna walka o wolność dla krajów pozostających pod sowieckim jarzmem. Tertsch uczestniczył w niektórych spotkaniach i podróżach gen. Jaruzelskiego i Michnika do Hiszpanii, która stanowiła dla naszych decydentów wzór pokojowej transformacji z dyktatury w demokrację. Teksty Tertscha na łamach „Gazety Wyborczej” ukazywały się do 2006 r. Poniższy tekst stanowi ważne świadectwo o charakterze naszej epoki, która dwóch dawnych przyjaciół dziś konfrontuje i ustawia po dwóch stronach konfliktu. Obaj wciąż aktywni w debacie publicznej, obaj z wybitnymi zasługami i obaj uwikłani w najważniejszy spór o wartości naszych czasów.



Hermann Tertsch

Właściwie trudno mi odgadnąć, czy nadal jestem przyjacielem Adama Michnika – polskiego dziennikarza, pisarza i aktywisty, nagrodzonego prestiżową Nagrodą Księżnej Asturii w kategorii komunikacji i nauk humanistycznych. Zapytam go o to w Oviedo, gdy zostanie mu wręczona nagroda następcy hiszpańskiej Korony, którą my, Hiszpanie, nauczyliśmy się bardzo cenić. Niestety, mimo pięknej tradycji, jaką stworzyła, mimo powściągliwie uroczystej formy, w jakiej przywykło się ją wręczać, ciąży na niej słuszny zarzut ogromnego upolitycznienia. Stało się to za sprawą zabiegów lewicowego rządu Pedra Sáncheza, aby narzucić własne kategorie i obsesje nawet w kwestii wyboru osób nagrodzonych.

Nikogo nie powinno dziwić, że premier rządu, który utrzymuje się przy władzy tylko dzięki soюзom z siłami jawnie wrogimi wobec Korony i narodu hiszpańskiego: komunistami, separatystami, zwolennikami Cháveza i filoterrorystami

Adamie, wielka szkoda!



Adam Michnik podczas konferencji prasowej w Oviedo w Hiszpanii, 25 października 2022 r.

FOT. J.L.CEREJIDO/EPA/PAP

z ETA, próbuje osłabić na wszelkie możliwe sposoby symboliczne znaczenie rodziny królewskiej. Nie wystarcza mu już ograniczenie jej budżetu i funkcji reprezentacyjnej, ale chce nawet sprawować kontrolę nad Nagrodami Księżnej Asturii, które stały się wyznacznikami tendencji wprost związanych z ideologią lewicy.

Adam Michnik nie otrzymał tej nagrody, gdy był jednym z przedstawicieli wującego antykomunizmu. Wręczają mu ją teraz, gdy jest zaangażowanym publicystą bezpardonowej walki po stronie coraz bardziej zacietrzewionych ideologicznie instytucji UE, utożsamianych z socjaldemokratycznym globalizmem. Oczywiście

walczących też z nową, konserwatywną polityką w Europie, za pomocą skrajnie kłamliwych i zwodniczych określeń typu: „skrajna prawica”, „ultraprawica” lub „neofaszyzm”. Stosują tę taktykę w odniesieniu do polskiego rządu, a także węgierskiego oraz wobec partii typu VOX, Fratelli d'Italia, Szwedzcy Demokraci i formacji, które wciąż wyrastać będą w kontrze do dyktatu zamordystycznej, progresistowskiej socjaldemokracji i hegemonicznej pozycji, którą chce narzucić innym.

WYBITNY PROPAGANDYSTA

Michnik nie otrzymał nagrody za obronę sprawiedliwości i wolności, którą

mógłby zostać hipotetycznie uhonorowany w latach 1995–2005. Otrzymuje ją teraz jako wybitny propagandysta i herold po stronie obozu ideologicznej homogenizacji, hipokryzji, woli narzucania doktryny, i to ze strony elit mających w zupełnej pogardzie dobro ogółu.

Pisząc, że nie wiem, jaki jest status naszej przyjaźni, odnoszę się do formuł, których on sam raczył użyć w swych ostatnich publicznych wypowiedziach. W jednym z ostatnich wywiadów mówił o mnie: „Byłem zdumiony, że mój dobry przyjaciel i znany dziennikarz Hermann Tertsch przyłączył się do VOX”, a w innym definiuje mnie jako część projektu, który jest „politycznym bakcylem, który może albo zniknąć, albo zarazić całe ciało”.

Nie będę was znużył idiotyzmami, które „Gazeta Wyborcza” publikuje o VOX, Abascalu, Meloni i całej europejskiej prawicy, bo to brednie znane i oklepne. Wszystkie są skopiowane z repertuaru obelg i zniesławień publikowanych przez hiszpańskie media – „La Sexta”, a zwłaszcza „El País” i grupę PRISA. W ten sposób zwykli odnosić się do nas – Hiszpanów, którzy nie głosujemy ani na socjalistyczną, komunistyczną lub separatystyczną lewicę, ani na ich „ultracentrowych” naśladowców z Partii Ludowej, będącej prawicą bezobjawową.

Gdyby Michnik, jego gazeta i wszyscy, którzy manipulują przekazem VOX i używają go w kampanii przeciwko własnemu rządowi w Polsce, byli dobrze poinformowani, wiedzieliby, że VOX jest dziś najbardziej demokratyczną partią w hiszpańskim systemie politycznym, bo jako jedyna broni konstytucji i prawa. Jest jedyną siłą polityczną, stawiającą na wyjątkowy szacunek dla wymagań praworządności i procedur demokratycznych. VOX stanowi dziś jedyną realną opozycję i aktywny opór we wszystkich dziedzinach prawa zagrożonych przez nadużycia, ekscesy i wielce prawdopodobne przestępstwa popełniane przez obecną ekipę rządową.

VOX nigdy nie używał przemocy, wręcz przeciwnie, sam jest ofiarą przemocy ze strony wszystkich sojuszników socjal-komunistycznego rządu Sáncheza: począwszy od komunistycznych bojówek Pabla Iglesiasa, a skończywszy na ultralewicowych członkach ETA. To liderzy VOX są fizycznie atakowani na wiecach za cichym przyzwoleniem władz. To jedyna partia, która kładzie nacisk na równość mężczyzn i kobiet wobec prawa, a także na równość

wszystkich Hiszpanów niezależnie od wspólnoty autonomicznej, którą zamieszkują. To też niestety jedyna formacja, która pragnie zgody narodowej i potraktowania wojny domowej jako zamkniętego rozdziału, który, owszem, dla kolejnych pokoleń powinien pozostać przedmiotem studiów i refleksji, ale już nie politycznie wykorzystywaną bronią generującą nienawiść wśród rodaków, i to w duchu Kaina.

NIEPRAKTYKOWANE CNOTY

Adam Michnik wiedziałby to wszystko, gdyby nadal uprawiał rzetelne dziennikarstwo i walczył z kłamstwem z takim samym zaangażowaniem jak kiedyś. Prawda jest taka, że cnoty, które miał kiedyś na sztandarach, dziś już nie są praktykowane, przynajmniej sądząc po tekstach publicystów i dziennikarzy „Wyborczej” dotyczących VOX. Przykro czytać teksty głównego zniesławiającego VOX – Macieja Stasińskiego, który był przecież protegowanym mojego przyjaciela Ricarda Estarriola (wybitnego korespondenta „La Vanguardia” w Europie Środkowo-Wschodniej), a który dzisiaj żyje z kopiowania kłamstw publikowanych przez media zaprzyjaźnione z rządem Sáncheza i tropiące rzekomy faszyzm Abascula, Monasterio, Buxadé lub Tertscha.

cnoty spoczęły odłożone na puchowych poduszkach. I że jego zaciekle wojowniczość, którą uprawia dziś, niestety nie ma nic wspólnego z tamtą epicką walką o wolność. Co gorsza, służy złamaniu oporu tych z nas, którzy odmawiamy posłuszeństwa totalitarnemu kolosowi socjaldemokracji i globalizmu.

W końcu – och, cóż za paradoks! – mamy wreszcie Michnika nagrodzonego za walkę o socjalizm, nawet jeśli jest to wegański socjalizm Unii Europejskiej, a nie ten bliźniaczy iberoamerykański tak podobny do sowieckiego, z którym Michnik walczył w Polsce 40 lat temu. Chociaż w przypadku PSOE – Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej – należy zrobić zastrzeżenie, ponieważ jej socjalizm już od czasów Zapatero nie jest zbyt wegański/europejski, a został wprost przejęty z iberoamerykańskiego chavizmu. Tego samego, który sprawił, że Zapatero stał się przodownikiem pracy na odcinku kryminalnej narkodyktatury w Iberoameryce. Wenezuelska korupcja była bagnem, które na zawsze pochłonęło wszelkie resztki uczciwości i godności hiszpańskiego socjalizmu, i uczyniła go posłusznym na pasku reżimu komunistycznego i karteli narkotykowych.

Michnik powinien wiedzieć, kim są przyjaciele tych, którzy wręczają mu nagrodę, a są to przecież przyjaciele Putina, a jednocześnie wrogowie partii Abascula – tej, która od początku potępia zbrodniczą rosyjską inwazję i jest w pełni solidarna z Polską, krajami bałtyckimi i suwerennymi narodami Europy Środkowej

Bez względu na to, czy Adam Michnik uważa mnie wciąż za swojego przyjaciela czy nie, nadal będę wspominał z sentymentem i uznaniem jego odwagę, jasność umysłu i zabawną serdeczność, którymi to cechami odznaczał się w minionych czasach. Ostatni raz widzieliśmy się dawno temu, kiedy byłem jedną z osób występujących w filmowanym dokumencie o nim, miałem pewność, że serdeczność z jego strony będzie mi towarzyszyć. Niestety, w obliczu jego głosnych osądów w sprawach, które znam doskonale, a które on ignoruje, obawiam się, że przenikliwość, rzetelność sądenia i uczciwość intelektualna opuściły już starego wojownika wolności i prawdy. Trudno oprzeć się wrażeniu, że te jego

Michnik powinien wiedzieć, kim są przyjaciele tych, którzy wręczają mu nagrodę, a są to przecież przyjaciele Putina, a jednocześnie wrogowie partii Abascula – tej, która od początku potępia zbrodniczą rosyjską inwazję i jest w pełni solidarna z Polską, krajami bałtyckimi i suwerennymi narodami Europy Środkowej.

DLA POLITYCZNEJ WYGODY

Nie oszukuj się, Adamie. Co prawda, Nagrodę Księżnej Asturii otrzymasz z rąk niewinnej, pierworodnej córki króla Filipa VI, ale została Ci przyznana dla politycznej wygody tych, którzy nękają, upokarzają osobę Króla i całą instytucję Korony. Nagroda tak naprawdę przyznawana jest przez rząd z ramienia Socja-

listycznej Partii Robotniczej Hiszpanii i jest to nagroda od premiera Sáncheza, największego kłamcy i tyrana stojącego na czele rządu Hiszpanii od czasu Zapatero. Tego Zapatero, który uwikłany jest w komunistyczne reżimy oprawców handlujących narkotykami, którzy goszczą najemników z Grupy Wagnera, komunistów z Podemos, separatystów, puczystów i filoterrorystów. Tak, to jego sojusznicy: Nicolás Maduro, Díaz Canel, Lula da Silva i wszyscy inni odpowiedzialni za szerzenie zrewitalizowanego komunizmu dzięki Forum Sao Paulo/Grupie Puebla, czyli największemu na świecie kartelowi handlującemu kokainą.

Z tych wszystkich powyższych powodów nie będę świętował z Michnikiem Nagrody Księżnej Asturii, której tak bardzo życzyłem mu 30 lat temu. Dziś wiem, dlaczego właśnie jemu wręczają to trofeum, i wiem zbyt dobrze, kto mu ją przyznaje. Doprawdy nie mam nic do świętowania. Ponieważ wszystko, czego

czyni z VOX poręczne narzędzie w wewnętrznych sporach krajowych i konfliktach między rządzącymi konserwatystami a sojusznikami Partii Ludowej, czyli lewicą. Bo kiedy publicyści Michnika atakują VOX i określają go jako partię wywodzącą się z frankizmu, zdradzają tylko poziom własnej ignorancji. Po pierwsze, posiadania „korzeni frankistowskich” nie należy rozpatrywać w kategorii hańby, bo to frankiści zapoczątkowali proces demokratycznych przemian. Po wtóre, samo wskazanie na takowe korzenie może odnosić się tylko do partii UCD i AP, a zatem do Partii Ludowej (tak zawzięcie bronionej przez siły lewicowe), z którą polska opozycja KO współtworzy rodzinę EPL.

„Gazeta Wyborcza” Michnika – w której, jak pamiętam, publikowałem kiedyś regularnie – mnie i ludzi podobnie mi myślących nazywa teraz faszystami, totalitarystami, ksenofobami, maczystami, wyznawcami i spadkobiercami gen. Franco. I lansują ten bełkot, jakoby VOX był

stream kontrolowany przez niewykształconą, prymitywną i ignorancą lewicę nazwałby ich po prostu nazistami.

Wiele przyjaźni rozsypało się w ciągu dwóch dekad polaryzacji politycznej w Hiszpanii. Michnik to zrozumie, ponieważ to samo stało się to również w Polsce. [...]

Pozostaje wiele rozczarowań i bólu. Koleżeńskie relacje stają się nie do utrzymania, gdy jesteś oskarżany bez powodu i odmawia ci się nawet prawa do politycznej egzystencji. Tym bardziej przykro jest, gdy twój dawny przyjaciel ściska się z mordercami twoich bliskich i apologetów okrucieństw popełnionych 80 lat temu. Hiszpańska lewica po raz kolejny w swej historii zyskuje wymiar najbardziej totalitarnej w Europie, najbardziej nietolerancyjnej i agresywnej wobec dysydentów. W jawny, nieskrępowany sposób odwołuje się do przemocy, aby osiągać swoje cele, czego dowodem jest jej współudział w terroryzmie, a wcześniej w wywołaniu wojny domowej w Hiszpanii.

Adam Michnik powinien wiedzieć to wszystko. Oczywiście gdyby zechciał spojrzeć na hiszpańską rzeczywistość z pragnieniem poznania prawdy, zamiast wysługiwać się lewicowej retoryce tzw. antyfaszyzmu, która nie jest niczym innym jak usilną próbą wykluczenia i kryminalizacji wszystkich konserwatystów na scenie europejskiej.

Jestem bardzo dumny z gigantycznej pracy, którą VOX wykonuje w obronie legalności i wolności przeciwko okrutnemu rządowi Sáncheza, którego wspólnikiem są spadkobiercy terrorystycznej ETA. VOX staje też w obronie prawdy w obliczu oceanu kłamstw, w którym dzisiejsze elity władzy chcą utopić Hiszpanów i Europejczyków, aby odebrać nam naszą tożsamość, wolność i prawdziwie europejskie wartości.

Jeśli dla Adama Michnika prawda wciąż jest interesująca i zachował jeszcze jasność umysłu, która kierowała nim w przeszłości, to z pewnością zrozumie, że jest oszukiwany. Jeśli jednak bezmyślnie powieli i rozpowszechnia repertuar kłamstw swoich przyjaciół z grupy PRISA, czyli imperium medialnego na służbie propagandy rządowej, to znak, że kapituła Nagrody Księżnej Asturii doskonale wybrała zarówno moment, jak i laureata, który ją otrzymał.

A to sprawa, że nasza przyjaźń stała się już niemożliwa. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tłumaczenie tekstu: Małgorzata Wólczyk



Lider partii VOX Santiago Abascal (z lewej) oraz europoseł VOX i dziennikarz Hermann Tertsch

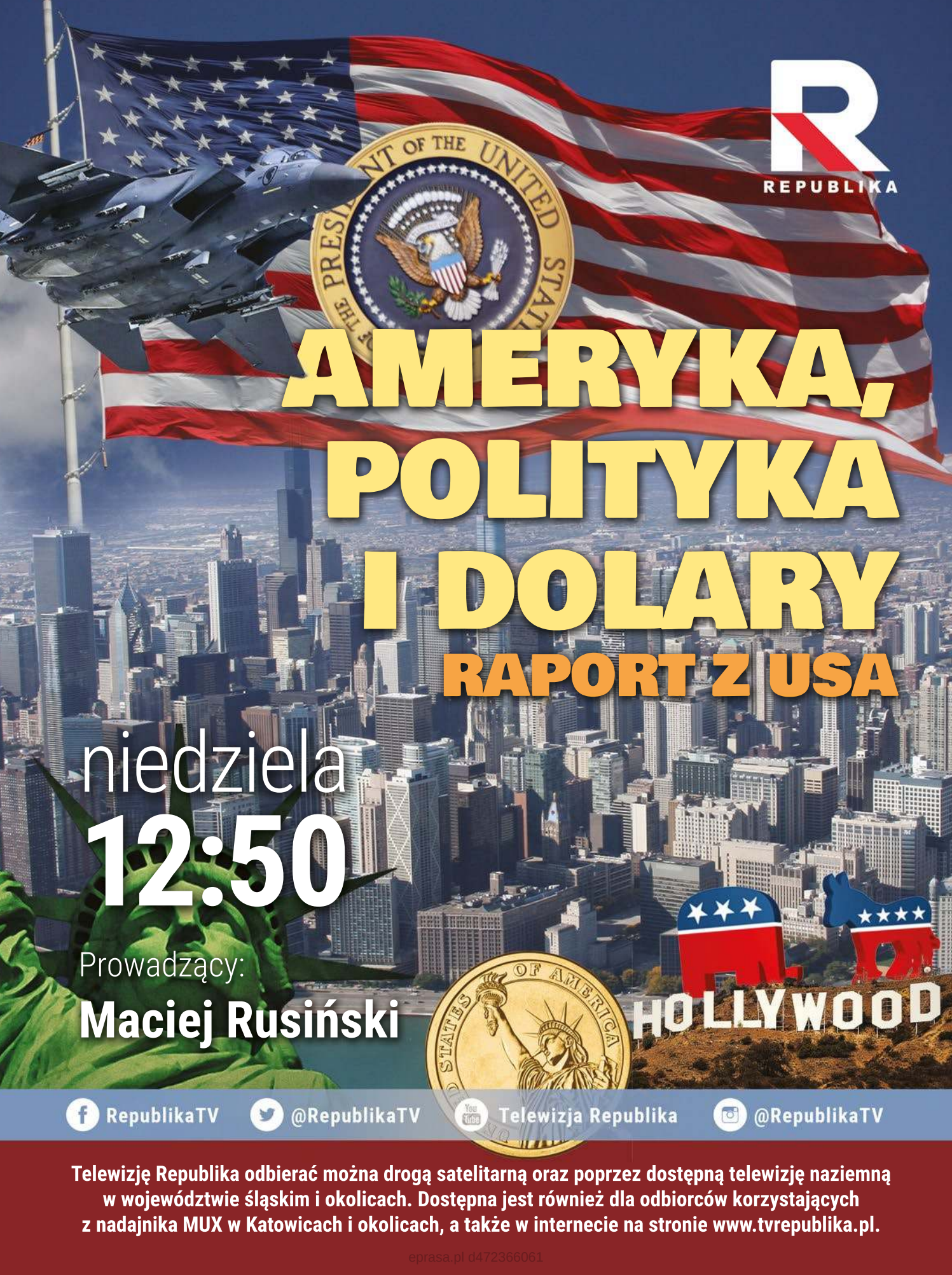
FOT. VOX ESPAÑA

dotyka rząd Sáncheza, staje się zdewaluowane, sfałszowane lub zbezczeszczone. Uległość hiszpańskiej lewicy wobec postaci takiej jak Pedro Sánchez doprowadziła do jej ostatecznego upadku w polityczną perwersję, która nieuchronnie prowadzi do przestępczości. Dodać też należy, że wszystko zostało przygotowane wcześniej, bo zapaterizm został umocowany staraniami rządu Rajoya, który też uczestniczył w instalowaniu tej hiszpańskiej tragedii.

Doskonale wiem, że Michnik czerpie informacje o Hiszpanii od największych wrogów nie tylko VOX, lecz także wrogów prawdy. I wiem też, że nasz sojusz w Parlamencie Europejskim z przeciwnikami Michnika, czyli obecnym polskim rządem,

sojusznikiem Władimira Putina, zbrodniczego prezydenta Rosji, którego potępiam, atakuję i pogardzam od czasów, gdy jeszcze wszyscy szefowie rządów NATO na wypródkę zabiegali o zdjęcie z Putinem lub poczęstunek przy wspólnym stole.

Kolejnym powtarzającym się fake newsem są rzekomi neonaziści w szeregach VOX. Jeśli zdarzył się takowy sympatyk, to został natychmiast wyrzucony. VOX jest formacją, która podziela idee Konrada Adenauera czy błogosławionego biskupa Klemensa Augusta von Galena, towarzysza mojego ojca w celi więziennej gestapo w Moabit, a później w Sachsenhausen po 20 lipca 1944 r. Byli to katolicy konserwatyści. Dzisiaj main-



AMERYKA, POLITYKA I DOLARY

RAPORT Z USA

niedziela
12:50

Prowadzący:

Maciej Rusiński

HOLLYWOOD



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

2022 ≠ 1939



Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli dobrze zrozumiałem uwagi Łukasza Warzechy („Do Rzeczy” 43/2022) o mojej najnowszej książce, to za jej główną wadę uważa on, że napisałem, dlaczego może nam się udać budowa silnego, liczącego się i „sprawczego” państwa polskiego – zamiast skupić się na tym, dlaczego się może nie udać

Otóż nie uważam tego za wadę, tylko za zaletę mojej pracy. Pojęcie „pragmatyzmu”, tak wysoko umieszczane w katalogu cnót przez mojego redakcyjnego kolegę, rozumiem bowiem zasadniczo inaczej niż on. Mówiąc obrazowo: pragmatyzm polega dla mnie na tym, żeby kiedy drzwi się uchylają, pchać w nie nogę, a kiedy się zamykają – zabierać ją. Nie jest pragmatyzmem, w moim przekonaniu, postawa, która każe, kiedy drzwi nieoczekiwanie zaczęły się uchylać, wzywać: „Nie róbmy nic pochopnie, trzeba wszystko dobrze przeanalizować, rozważyć zagrożenia, przemyśleć, te drzwi, choć dziś się otwierają, w przyszłości mogą się przecież zamknąć, i co wtedy z naszą nogą?”.

KTO TU JEST PRUSAKIEM

Pamiętają państwo „Pana Tadeusza” i naradę w zaścianku Dobrzyńskich? W barwnym tłumie występują tam dwie postaci kojarzące się z naszą polemiką. Jedną jest Bartek zwany (złośliwie, bo nienawidzi tej nacji) Prusakiem. Studi on bojowe nastroje Dobrzyńskich, perswadując, że do powstania trzeba wybrać odpowiedni moment, wyznaczyć przywódców, przygotować plan działania, zgromadzić odpowiednie środki. Drugą jest niejaki pan Buchman (mówiąc nawiąsem, pierwszy w polskiej literaturze, archetypiczny inteligent, bo „nie wiedzieć, czyli ze szlachty pochodził”, ale miał szacunek dzięki swemu wykształceniu). Pan Buchman z pozoru wydaje się równie rozsądny jak Prusak, ale w istocie

chodzi mu tylko o to, żeby w nieskończoność przedłużać dyskusję, bo „dyskusje sprawie publicznej nie szkodzą” i samemu się przy tym popisywać elokwencją i erudycją.

Otóż choć Łukasz zapewne widzi się w roli Bartka Prusaka, to w moim przekonaniu w tej polemice to ja nim jestem – Łukasz zaś wszedł w rolę pana Buchmana. Moja książka o „wielkiej Polsce” nie jest fantazją czy bajką snutą „ku pocieszeniu serc”. Jest analizą zmiany, która dokonała się wskutek fiaska amerykańskiego kuszenia Rosji do odwrócenia sojuszy i związania się z Zachodem przeciwko Chinom. Skutkami tej porażki były rosyjska napaść na Ukrainę i całkowita przebudowa geopolitycznej architektury naszej części świata.

Uważam, że otwiera to przed Polską koniunkturę porównywalną tylko z tą z roku 1918. Wtedy zdołaliśmy ją wykorzystać i aby także tym razem się udało, trzeba zrobić... I tu dość chyba szczegółowo wskazuję co. Uwagi, nawet skądinąd bardzo słuszne, że nie uwzględniam wszystkich możliwych okoliczności i przyszłych zdarzeń, że, na razie, mamy

inflację i państwo z dykty, drogi węgiel, drogi prąd i drogą, bo ponadstuosobową, Radę Ministrów, że na wojnie można - oberwać i że polityka USA może się zmienić, gdy Biden przegra wybory (no, to akurat najmniej prawda, polityka zagraniczna USA jest znacznie bardziej stabilna niż ich scena polityczna), i że w ogóle trzeba więcej pragmatyzmu – są oczywiście cenne i mile widziane, ale trochę obok mojej pracy.

Nie polemizowałbym zatem, pozostawiając osąd czytelnikom, gdyby nie jeden z wątków polemiki Łukasza: odwołanie się do mojej książki „Jakie piękne samobójstwo” z roku 2014. Zdaniem Łukasza w tamtej książce byłem politycznym realistą, krytykując postępowanie Becka i Śmigłego-Rydza, a teraz nim być przestałem. Można powiedzieć: w imię jakichś fanaberii o „wielkiej Polsce” zdradziłem sam siebie.

Nic podobnego.



Gdyby istniał ranking książek najbardziej w chwili publikacji niezrozumianych, to moje „Samobójstwo” ma w nim ogromne szanse. Z pewnością to przede wszystkim moja wina – widać osiem lat temu nie umiałem jeszcze formułować swych tez wystarczająco jasno i dobitnie. Pewne znaczenie miał też jednak fakt, że książka wyszła w podobnym czasie co „Pakt Ribentropp-Beck” Piotra Zychowicza i została przez większość recenzentów, a także, jak widzę, przez Łukasza „sklejona” z jego tezami.

NIEADEKWATNE KLISZE

Tymczasem bynajmniej nie jest to książka o tym, że trzeba było w 1939 r. zawrzeć sojusz z III Rzeszą i iść z Wehrmachtem i Waffen-SS na ZSRS, a raczej o tym, że skoro się taki sojusz de facto zawarło wcześniej i przypieczętowało uznaniem rozbioru Czechosłowacji i wzięciem w nim udziału, to nie należało tego sojuszu zrywać akurat w kwietniu 1939 r.

Hitler, co było oczywiste dla wszystkich, dążył do zweryfikowania traktatu wersalskiego (który był wszak podstawą polskiej niepodległości). W tej sytuacji możliwe były dwie opcje: przyłączyć się do niemieckiej przebudowy powojennej Europy, licząc na jakieś zyski z niej, albo przeciwdziałać jak najszybciej, zanim Niemcy nabiorą sił. Tymczasem Beck i Rydz, w błogim poczuciu, że „Polska jest mocarstwem” równym siłą sąsiadom ze wschodu i zachodu, przyjęli postawę wyczekującą: niech na razie Hitler rozrabia, bo na tym zyskujemy:odzyskamy Zaolzie, spacyfikujemy Litwę, przejmujemy Słowację i zyskamy wspólną granicę z Węgrami. A jeśli Hitler posunie się za daleko, to wtedy go przywołamy do porządku.

W imię tej polityki Polacy dopóty, dopóki realnie mieli szansę z Niemcami wygrać, odrzucali wszystkie zachodnie sugestie wspólnej akcji przeciw nim (pomijam tu sporny wątek, czy Polska proponowała „wojnę prewencyjną” – chodzi o wspólną akcję w obronie „krajów słowackich”). A gdy Hitler zajął Czechosłowację, skokowo zwiększając swój arsenał o jedną trzecią oraz osaczając Polskę z trzech stron, czyli nagle stał się dla nas nie do pokonania, to wtedy właśnie unieśliśmy się „bezcennym” honorem, w efekcie

odciągając go od szykowanego ataku na Francję i ściągając pierwsze, miazdzące uderzenie na siebie. A ponieważ wcześniejszą biernością, odczytywaną przez świat jako zmowa z Berlinem, rządzący Polską pułkownicy wyrobili sobie opinię „najpodlejszych z podłych” (pamiętniki Churchilla), a Polska kraju, który „chciał odegrać rolę szakala przy niemieckim lwie” (z prasy amerykańskiej), to choć wszyscy wiedzieli, że na tym etapie jedynym realnie zdolnym do pokonania Niemiec sojusznikiem mogą być tylko Sowiety, które w zamian zażądają (bo już wcześniej żądały) właśnie Polski, to nikt już nie miał wobec nas wyrzutów sumienia.

Co miała ta sytuacja wspólnego z obecną? Nic właśnie. W latach 30. mocarstwa zachodnioeuropejskie, zwłaszcza Anglia, zasadniczo uznawały prawo Niemiec do reinterpretacji Wersalu, w granicach deklarowanego przez Hitlera „zebrania w jednym państwie ziem niemieckich”. Francja walczyć na poważnie nie zamierzała, a prezydent USA szukał cichego porozumienia ze Stalinem, by na nowo podzielić świat i wysiadać z mocarstwowości Wielką Brytanię, co w końcu zrobił. Dziś mamy do czynienia z sytuacją, kiedy żywotnym interesem Stanów Zjednoczonych jest pozbawić Rosję, jako junior partnera Chin, mocarstwowości, a zachodnia Europa musi się temu podporządkować i choć w jej żywotnym interesie jest powrót do stanu sprzed 2022 r., to może jedynie opóźniać i do pewnych granic sabotować ten proces. Ukraińcy chcą walczyć do upadłego, a Rosja zużywa swe zasoby i w gruncie rzeczy nie ma realnych sojuszników, bo Iran, Chiny, Indie i inne kraje, na które liczyła, chcą tylko z jej „odmocarstwienia”, ile się da wyciągnąć dla siebie. Owszem, Rosja wciąż jest na tyle silna, że może nam zadać bolesne ciosy. Ale jeśli dotąd tego nie robiła, to na pewno nie dlatego, że nie chciała, tylko dlatego, że nie mogła. Jeśliby odzyskała siły i zaczęła móc, to nie będzie miało żadnego znaczenia, czy będziemy wobec niej wrożyć czy będziemy się przed nią płaszczyć.

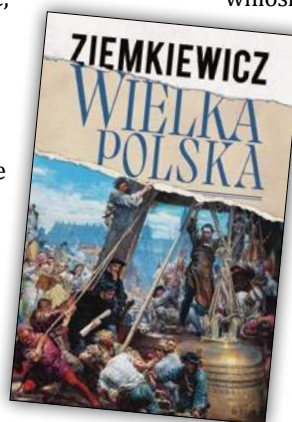
Jeśli ktoś w tej sytuacji powiada, że skoro

w 1939 r. wyrwaliśmy się do walki z Niemcami z fatalnym dla nas skutkiem, to nauczeni tym doświadczeniem powinniśmy teraz siedzieć cicho i nie wyrwać się do Putina, to moim zdaniem nie jest to żaden pragmatyzm, tylko powierzchowne i zupełnie nieprzemyślane nakładanie nieadekwatnych klisz, klasyczne „wygrzanie poprzedniej wojny”. Ciekawe, że dopuszcza się tego autor, który dopiero co protestował (generalnie słusznie) przeciwko szukaniu fałszywych historycznych podobieństw pod z góry założoną tezę.

PEDAGOGIKA WSTYDU?

Nie wiem, jak to jest obecnie, ale za moich czasów w psychologii definiowano inteligencję jako zdolność odczytywania zachodzących zmian i dostosowywania się do nich. Już w pierwszym rozdziale „Wielkiej Polski”, a więc tam, gdzie zagląda się nawet przy pobieżnym kartkowaniu książki, piszę o tej części zasadniczej zmiany, którą było przehandlowanie przez Niemców Ukrainy. Cała Juszczenkowska polityka, oparta na przekonaniu, że adwokatem i protektorem Ukrainy są Niemcy, a Polskę można... powiedzmy, można machnąć na Polską ręką, zbankrutowała. I Zełenski dokonał oczywiście w tej sytuacji reorientacji na USA, a więc i na Polskę. Tymczasem Łukasz, jakby sądząc, że nie dość pogłębił mnie przypomnieniem, co pisałem o polityce przed poprzednią wojną światową, dokłada jeszcze przypomnienie moich krytycznych wobec antypolskiej polityki Kijowa twitterowych wpisów sprzed kilku lat. A ja nie widzę w nich niczego dla mnie kompromitującego – to nie ja zmieniłem zdanie o Ukrainie, to ona wyciągnęła wnioski z tego, jak ją Niemcy rozegrali.

Nie wiem, jak rozumieć tę postawę „to się nie uda, się nie może udać, nam się przecież nigdy nic nie udaje”. Chyba jako odłożone w czasie zwycięstwo Michnikowej „pedagogiki wstydu”. Widocznie przywykliśmy myśleć o sobie jako o „brzydkiej pannie bez posagu”. No, ale czy dobrze nam z tym? Przecież widać, że nie. To, jasny szlag, zmieńmy to wreszcie. Drzwi się otwierają, trzeba uruchomić łokcie i zacząć się w nie wpychać.



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„WIELKA POLSKA”
FABRYKA SŁÓW 2022



Z Kosmą Złotowskim, europosem PiS
rozmawia Karol Gac

To nie wojna, to rosyjski terroryzm

FOT. MICHEL CHRISTEN/EPYU



KAROL GAC: Na Twitterze napisał pan, że „to jeden z najtrudniejszych momentów naszej historii”. Rzeczywiście jest aż tak źle?

KOSMA ZŁOTOWSKI: Z pewnością kumulacja kryzysów i wyzwań, z którymi musimy się mierzyć w ostatnich miesiącach, przypomina przełom lat 30. i 40. XX w. To, jak zakończy się wojna na Ukrainie i czy rosyjski imperializm zostanie powstrzymany tak jak sowiecki w 1920 r., zaważy na przyszłości Polski. Na szczęście, inaczej niż wtedy, wsparcie dla ofiar brutalnej agresji jest solidne i wydaje się trwałe. Jeszcze w 2014 r. świat na wojnę zareagował podobnie jak w Monachium w 1938 r., ale to, co obserwujemy od lutego, napawa ostrożnym optymizmem, że historia nie zawsze się powtarza.

Z drugiej strony propozycja Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, by uznać Rosję za państwo terrorystyczne, została początkowo odrzucona przez większość frakcji w Parlamencie

Europejskim. Ostatecznie doszło do jej przyjęcia, ale niesmak pozostał.

Rzeczywiście, nasza propozycja została odrzucona przez Konferencję Przewodniczących grup politycznych, która decyduje o porządku obrad. Zgłosiliśmy ją jednak jeszcze raz na początku sesji plenarnej w październiku i w głosowaniu nasz postulat uzyskał większość. Nie poprali go głównie Zieloni i socjaliści. To pokazuje różnice w postrzeganiu Rosji między szefami poszczególnych frakcji a większością posłów. Dowody na rosyjskie zbrodnie na ludności cywilnej są niepodważalne i nie można ich zignorować. To nie jest wojna, ale rosyjski terroryzm państwowy, którego celem jest zniszczenie Ukrainy i eksterminacja całego narodu.

Tylko czy nadal część polityków i państw nie liczy po prostu na reset w relacjach z Rosją?

Reset to w obecnej sytuacji scenariusz niemożliwy, ale są państwa, które z pew-

nością chcą przeczekać wojnę i unikają jednoznacznych deklaracji czy wysłania wsparcia w postaci sprzętu wojskowego dla Ukrainy. Są tego różne powody. Niemcy liczą np. na to, że kiedy opadnie już kurz bitewny, wówczas jako pierwsze będą mogły wrócić do „business as usual” z Rosją, czyli do kupowania tanich surowców.

Kancelerz Niemiec Olaf Scholz chce za to przeznaczyć 200 mld euro na pomoc dla swojej gospodarki. Przez lata Berlin korzystał na tanim gazie z Rosji, a taki zastrzyk gotówki może mocno zachwiać rynkiem europejskim i sprawić, że Niemcy będą ponownie w uprzywilejowanej pozycji.

Niemcy nigdy nie chciały być żadnym europejskim liderem, ale państwem dominującym w UE politycznie i gospodarczo. Miało im w tym pomóc dystrybuowanie rosyjskiego gazu z obu nitek Nord Stream po całej Europie. Teraz, gdy ten plan się zawalił, próbują ratować

własne firmy kosztem całej strefy euro. Francja i Włochy już zareagowały na to stanowczo, bo to one ucierpią najbardziej. Nikt nie zrobił tyle dla utraty wiarygodności osłabienia pozycji Niemiec w UE, co kanclerz Scholz. Polski nie powinno to martwić.

Niemcy blokują i sabotują też porozumienie w sprawie unijnego limitu cen gazu.

Wiedzą, że jako najbogatsza gospodarka w UE dokładałyby najwięcej do systemu dopłat i straciłyby przewagę, którą dawał im tani rosyjski gaz. Te tzw. wartości europejskie w Niemczech nie przetrwałyby nawet jednej kryzysowej zimy. To ważna lekcja dla nas, że frazesy, które często słyszymy w Brukseli, nie są wiele warte, jeśli chodzi o ochronę interesów narodowych.

W jakimś stopniu wydawało się też, że wojna na Ukrainie sprawi, iż Bruksela zmieni podejście do Polski. Tymczasem nie dość, że wciąż nie otrzymaliśmy pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy, to jeszcze przez długi czas nie dostaliśmy środków na pomoc dla uchodźców. Dopiero niedawno wpłynęło do nas 700 mln zł, co i tak jest kroplą w morzu.

Już kryzys na naszej granicy, a jednocześnie na granicy zewnętrznej UE, wywołany przez Putina i Łukaszenkę, pokazał, że instytucje europejskie nawet w sprawach oczywistych będą się starały rzucić Polsce kłody pod nogi. PE i Komisja krytykowały naszą stanowczą i skuteczną reakcję na tę sztuczną falę nielegalnej imigracji. Mam nieodparte wrażenie, że także po wybuchu wojny Bruksela liczyła, iż nie poradzimy sobie z wyzwaniem, które niosła fala uchodźców wojennych, i że będzie miała w końcu nasz rząd za głowy. Mocno się przeliczyła.

Niedawno media poinformowały, że Bruksela może zablokować Polsce wypłatę z Funduszy Regionalnych, które miałyby do nas trafić w ramach unijnej polityki spójności na lata 2021–2027. Czy to pana zdaniem realny scenariusz?

Nie powinien być realny, bo, po pierwsze, Polska wydaje środki europejskie najlepiej w UE; po drugie, nigdy nie było do nas żadnych zastrzeżeń, jeśli chodzi o kwestie formalne czy defraudację; a po trzecie, fakt, że je otrzymujemy, to nie jest żadna dobra wola KE, ale cena za otwarcie naszego rynku na firmy z całej Unii po akcesji. Niestety, coraz częściej to nie fakty mają wpływ na decyzje Komisji

i PE, ale emocje i niechęć do naszego rządu, podsycana skutecznie przez opozycję.

Z jednej strony premier uspokaja i twierdzi, że fundusze są bezpieczne, ale z drugiej strony doskonale wiemy, że jeśli Bruksela będzie chciała znaleźć pretekst, to go znajdzie.

Oczywiście, po to są m.in. te stosy makulatury zawierające już kilkanaście rezolucji powtarzających kłamstwa o Polsce i stanie naszej demokracji. Mają podtrzymywać atmosferę niechęci, a w odpowiednim momencie mogą stać się takim politycznym pretekstem do kolejnych sankcji na Polskę. Nawet jeśli będzie to niezgodne z prawem europejskim, to znajdzie się taka sędzia de Lapuerta w TSUE, która wszystko jednoosobowo przyklepie.

We Włoszech został zaprzysiężony rząd Giorgii Meloni. Jej zwycięstwo wyborcze przyniosło chyba Zjednoczonej Prawicy nowego sojusznika?

Włosi w trudnym momencie postavili na koalicję partii prawicowych, z silną liderką na czele. Łączy nas z Fratelli d'Italia wiele i to zarówno, jeśli chodzi o wartości czy spojrzenie na Unię Europejską, jak i, co bardzo ważne, w sferze bezpieczeństwa i postrzegania Rosji jako zagrożenia. Giorgia Meloni to już trzeci premier reprezentujący EKR w Radzie Europejskiej i jestem pewien, że na tym się nie kończą sukcesy naszej frakcji w Europie.

Można się spodziewać zacieśnienia relacji z Rzymem?

Łączą nas wspólne cele i na pewno będzie to widać w relacjach polsko-włoskich. Mamy ograniczone zaufanie do instytucji europejskich, rozumiemy potrzebę ochrony zewnętrznych granic Europy i nie zgadzamy się na ideologiczną rewolucję oraz lewicowy marsz przez instytucje, które mają ułatwić budowę unijnego superpaństwa. Jednocześnie Bracia Włosi to dzisiaj najbardziej proatlantycka siła polityczna we Włoszech.

Tuż przed wyborami szefowa KE Ursula von der Leyen stwierdziła, że jeśli sprawy pójdą w trudnym kierunku, to KE ma narzędzia, żeby je przystopować, tak jak w przypadku Polski i Węgier. Z jednej strony te słowa mogą szokować, choć z drugiej chyba już nie dziwią.

Dziwi chyba tylko to, że tego rodzaju groźby padają już całkiem wprost, bo do tej pory szukano formalnych pretekstów dla takich ostrzeżeń czy działań. Tym razem przewodnicząca KE wprost

sformułowała, o co tak naprawdę chodzi – głosujecie na siły konserwatywne i prawicowe, to będziecie mieli problemy. W nieodległej przeszłości Bruksela była już zaangażowana w obalenie włoskiego rządu, więc nie jest to tylko retoryka bez pokrycia.

Pytanie tylko, czy stwierdzenie Ursuli von der Leyen nie pokazało jednocześnie, że w przypadku Polski mamy do czynienia po prostu z uznaniowością?

Co do tego nikt rozsądny nigdy nie miał wątpliwości. Ataki Brukseli na Polskę zaczęły się w zasadzie w momencie przegranej Platformy Obywatelskiej i trwają do dzisiaj. Opozycja wykorzystuje instytucje europejskie, w których rządzą ich koledzy z EPL, do wywierania ciągłej presji na rząd Zjednoczonej Prawicy. Kolejne rezolucje przyjmowane przez Parlament Europejski czy debaty organizowane w Strasburgu to manifesty polityczne. Nie liczą się tam fakty, tylko cel polityczny, a jest nim zbudowanie wrażenia, że w Polsce nie ma demokracji i w ogóle że rządzą nią źli ludzie.

KE zaproponowała regulacje dotyczące sztucznej inteligencji, które zawarte będą w AI Act. Ich celem jest ograniczenie zagrożeń wynikających z różnych zastosowań tej technologii. O co chodzi?

Sztuczna inteligencja to technologia, która budzi ogromne nadzieje, lecz także obawy. Programy i maszyny, które się uczą i podejmują autonomiczne decyzje, mogą zrewolucjonizować medycynę czy transport, ale pojawia się też wiele problemów: kto odpowiada za błędy i wypadki inteligentnych maszyn i programów, jakie są szczególnie wrażliwe obszary, w których ta technologia nie powinna być stosowana, ale też jak tworzyć i testować algorytmy SI, żeby były bezpieczne dla człowieka. Te przepisy mają nakreślić europejskie ramy dla rozwoju godnej zaufania sztucznej inteligencji. Problem polega tylko na tym, że to biurokratyczne podejście, tak popularne w Unii Europejskiej, nie sprzyja innowacjom. Jako kontrsprawozdawca EKR w pracach nad tym rozporządzeniem staram się zwracać na to uwagę. Jeśli chcemy mieć europejskie firmy technologiczne, które liczą się na świecie, to nie możemy krępować ich rozwoju wysokimi karami i obowiązkami nie do spełnienia. Dotyczy to zwłaszcza start-upów, które muszą mieć większą swobodę działania niż globalne potęgi.



FOT. MASSIMO VALLICHA/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Watykan propaguje... kapłaństwo kobiet

Watykan nie ustaje w zaskakiwaniu wiernych na całym świecie. Tym razem na oficjalnym profilu Synodu o Synodalności postanowiono rozpropagować idee... transgenderyzmu i kapłaństwa kobiet. Pod koniec września instytucja ta opublikowała rysunki prezentujące wyniki „obrad synodalnych” z jednej z diecezji w USA. Prezentowały m.in. kobietę w ornacie i pod koloratką, obok której stała osoba o bliżej niesprecyzowanej płci w koszulce z tęczowym napisem „Pride”. Przyłączeniem się urzędów Stolicy Apostolskiej do rewolucji gender nie ma sensu się już zajmować, bo to rzecz, do której – jakkolwiek strasznie to brzmi – zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Czymś nowym jest za to promowanie kapłaństwa kobiet.

Kościół katolicki nigdy nie wyświęcał kobiet na kapłanki. Jest to praktyka poświadczona od czasów samego Pana Jezusa aż do dziś. Ma to swoje uzasadnienie zarówno w woli Zbawiciela, jak i w katolickiej antropologii opartej na Objawieniu. Sprawa ta nie była zresztą nigdy przedmiotem jakiegos większego zainteresowania; uważano, że rzecz jest po prostu oczywista – i to bynajmniej nie z powodu jakiejś mizoginii, ale właśnie wskutek poszanowania odwiecznej Tradycji. To zaczęło się powoli zmieniać



Paweł Chmielewski

W ramach budowy Kościoła synodalnego wiernym na całym świecie proponuje się coraz to nowe koncepcje. Słyszeliśmy już o rozmywaniu władzy biskupów czy o błogosławieniu związków LGBT. Teraz dochodzi do tego... kapłaństwo kobiet. Czy jest jakaś granica w reformistycznym szaleństwie, któremu oddają się watykańscy hierarchowie?

wraz z narodzinami ruchu feministycznego. Quasi-kapłańską postugę kobiet wprowadziły na fali ideału „równouprawnienia” różne Kościoły wyrastające z pnia protestantyzmu. W latach 70. żeńską ordynację wdrożyli również anglikanie, wyświęcając kobiety najpierw na „księży”, a później również na „biskupki”. Dzisiaj w świecie heretyckim jest to już norma, fetowana przez świeckie społeczeństwo jako przejaw równouprawnienia.

POCZĄTEK FERMENTU

W Kościele katolickim głosy wzywające do pójścia w tym samym kierunku zaczęły pojawiać się na większą skalę dopiero w latach 60., w związku z fermentem wywołanym przez zadekretowane na Soborze Watykańskim II „otwarcie”

na dialog z kulturą świecką. Zintensyfikowały się dekadę później, by dziś rozlegać się już powszechnie w środowiskach rewolucyjnych. Nie ma dziś chyba grupy progresywnych katolików, która do tygła z napisem „zmiana” nie wrzucałaby obok postulatów zniesienia celibatu, wprowadzenia do Kościoła LGBT czy obalenia apostolskiej struktury władzy również „kapłaństwa kobiet” (lub w nowej wersji: „kapłaństwa dla każdego”).

Być może pomimo wszystko nie miałyby to żadnego wpływu na życie większości katolików; papież Franciszek postanowił jednak w 2021 r. skierować Kościół na drogę synodalności. W ramach zorganizowanych na całym świecie spotkań synodalnych „lud” powiedział, co myśli: chce rewolucji. W Europie i obu

Amerykach w bardzo wielu diecezjach wierni wypowiadali się na rzecz całego pakietu reformistycznego, tak mniej więcej, jak prezentuje to niemiecka „droga synodalna”. Władze Synodu o Synodalności, „wsłuchując się” w te głosy, mogą teraz mówić, że wyciągają jedynie wniośki z oczekiwań zwykłych wiernych... Wprawdzie wierni, którzy brali udział w konsultacjach synodalnych, nie są tak bardzo „zwykli”; w większości zachodniej diecezji zainteresowanie pomysłem Franciszka przejawiało ok. 1 proc. katolików. W dużej części były to osoby od lat zaangażowane w rozmaite dysydenckie ruchy, można powiedzieć: grupy oddelegowane do rewolucji. Jakkolwiek by było, postulat, który jeszcze kilka lat temu uchodził za całkowicie marginalny i podejmowany tylko przez wąskie grupy radykałów, trafił teraz do samego centrum kościelnej debaty.

KOŚCIELNA NAUKA NA BOK

Kościół katolicki dysponuje wieloma relatywnie nowymi dokumentami poświęconymi „problemowi” kapłaństwa kobiet. Do najważniejszych należy zaliczyć deklarację Kongregacji Nauki Wiary z 1976 r. oraz dwa listy apostolskie św. Jana Pawła II, „Mulieris dignitatem” z 1988 r. oraz „Ordinatio sacerdotalis” z roku 1994. Jan Paweł II stwierdził w tym ostatnim, że „Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom”, a to jego orzeczenie „powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne”. Papież odwołał się również do „mocy swojego urzędu utwierdzania braci”; to sprawiło, że orzeczenie z „Ordinatio sacerdotalis” jest przez niektórych teologów uznawane za nieomyślne i stąd niepodlegające nawet dalszej dyskusji. Jeszcze do niedawna wydawało się, że nauczanie papieża Polaka pozostaje oficjalnym stanowiskiem Watykanu. W 2018 r. prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Luis Ladaria Ferrer opublikował na łamach „L'Osservatore Romano” artykuł, w którym uznał dyskusję o kapłaństwie kobiet za zamkniętą. Publikacja hiszpańskiego purpurata ogłoszona została jednak przed erą synodalności. Teraz kościelna nauka niemal nikogo już nie interesuje. Wyznacznikiem tego, co w Kościele dozwolone, stała się wola rewolucyjnej grupy sprawującej władzę w Watykanie, podpierana instrumentalnym odwołaniem do „woli ludu Bożego” wyrażanej przez promil katolików zaangażowanych w synody.

Czy to oznacza, że papież Franciszek pójdzie niedługo za wizją wyrażoną na grafice spopularyzowanej przez Synod o Synodalności i wyda dokument wprost zaprzeczający stanowisku św. Jana Pawła II, wskutek czego w kościołach na całym świecie przy ołtarzu staną kobiety (lub „osoby transpłciowe”)? Bynajmniej. Prawdopodobnie wyłom w „kwestii kobiet” zostanie dokonany inną, bardziej określną drogą. Nic prostszego niż w ten czy inny sposób kontynuować rozpoczęte prawie 60 lat temu dzieło demontowania kapłaństwa poprzez wprowadzanie kolejnych „posług” liturgicznych otwartych dla przedstawicieli każdej płci (bo już nie obojga). W efekcie rola wyświęconego mężczyzny zostanie radykalnie ograniczona tak, że w wielu miejscach wspólnoty będą „doskonałe” obywać się bez księży.

Jak konkretnie może to zostać osiągnięte? W ocenie modernistów najprostszą z możliwych dróg jest dopuszczenie kobiet do diakonatu. Już papież Paweł VI wprowadził do Kościoła żonatych diakonów. Dlaczego nie miałyby teraz pojawić się diakonisy, zamężne albo i żonate? Jak przyznawał kilka lat temu Benedykt XVI, o ile zagadnienie żeńskiego prezbiteratu zostało przez Kościół rozstrzygnięte (patrz: Jan Paweł II), o tyle w sprawie diakonatu tak jasnej decyzji nie ma. Jeżeli Franciszek spróbuje pójść tą drogą, to być może wkrótce kobiety w nowej roli diakonis będą głosić kazania, chrzcić, asystować przy zawieraniu małżeństw, prowadzić liturgie pogrzebową, kierować duszpasterstwem i administrować finansami parafii. W wielu krajach to wszystko jest już zresztą faktem albo na zasadzie nadużycia, albo przy wykorzystaniu rozmaitych „wyjątków” od zwykłych reguł. Inną proponowaną przez środowiska progresywne możliwością jest próba budowy nowej teologii kapłaństwa na gruncie protestanckiego rozumienia kapłaństwa wszystkich ochrzczonych. Chodzi o praktyczne usunięcie kapłaństwa urzędowego i uznanie, że różnica między wyświęconym kapłanem a zwykłym wiernym polega wyłącznie na posiadaniu przez tego pierwszego specjalnej „delegacji” od wspólnoty. W związku z oczywistą niekatolickością tej koncepcji to jednak droga trudna.

Trzecim sposobem na osiągnięcie przez progresistów celu może być zaczerpnięcie przez Kościół katolicki z modelu duchowości propagowanego przez

wspólnoty charyzmatyczne. Wspólnoty te w centrum swojej działalności stawiają tzw. fenomen chrztu w Duchu Świętym, który udzielany miałby być albo wprost przez Boga bez żadnego pośrednictwa ludzkiego, albo za sprawą obrzędu „nałożenia rąk” na wiernego przez lidera wspólnoty. Takim liderem jest zwykle osoba świecka; w świecie katolicyzmu to jeszcze głównie mężczyźni, ale u protestantów jest bardzo różnie. Formalnie nic nie stoi na przeszkodzie, by funkcje liderów w grupach pentekostalnych pełniły także panie (czy nawet osoby trans); ich jedynym mandatem do prowadzenia wspólnoty i „nakładania rąk” jest bowiem wola charyzmatycznego kolektywu, a nie jakiegokolwiek urzędowe ani tym więcej sakramentalne uprawnienie. Duchowość pentekostalna jest zbudowana na przeżyciach emocjonalnych i quasi-mistycznych; rola kapłana nierzadko staje się w nich drugorzędna. Jako że ruch charyzmatyczny jest dziś najprężniej rozwijającym się prądem w ramach całego chrześcijaństwa, do przewidzenia jest przenikanie do Kościoła również pentekostalnego modelu przywództwa duchowego.

REWOLUCJA

Ktoś powie, że to jednak bajdurzenie, bo tego rodzaju przemiany są po prostu niemożliwe. Cóż, jeszcze kilka lat temu to samo mówiono o przenikaniu do Kościoła ideologii LGBT. Gdy poszczególne urzędy Kurii Rzymskiej czy sam Ojciec Święty wykonywali różne gesty na rzecz społeczności homoseksualnej, traktowano to jako niemądre, ale w gruncie rzeczy niegroźne incydenty. Dziś nikogo już nie zaskakuje, że w wielu diecezjach na świecie błogosławi się pary jedнопłciowe. Belgowie, Niemcy czy Włosi, którzy wprowadzili taką praktykę, oficjalnie deklarują, że nie ma mowy o kościelnych „małżeństwach” gejów i lesbijek. Pobłogosławione pary i parafie, w których żyją, traktują to jednak po swojemu. To samo może stać się wkrótce z kapłaństwem kobiet. Od strony formalnej nikt nie będzie udzielał święceń, co jednak nie przeszkodzi im zakładać szat liturgicznych i działać jak księża.

Tak właśnie działa współczesna kościelna rewolucja. A komu się wydaje, że Polski to nie dotyczy, niech porówna sytuację współczesnej krajowej kultury z tą choćby sprzed 20 lat. I my idziemy „naprzód” – nieprawdaż?

O powieść ta zaczyna się w momencie, w którym jej bohaterowie przygotowują się już na czarny scenariusz, ale żywią jeszcze nadzieję, że się nie zmaterializuje. A nawet jeśli, to zapewne w najbardziej pesymistycznych wizjach nie zakładają, że przyjmie aż taki wymiar, iż za kilka dni Niemcy zgotują Polskę tak straszliwe i trwające tak długo piekło.

Jest ostatni tydzień sierpnia 1939 r. Mieszkańcy Warszawy spieszą do pracy jak zazwyczaj, załatwiają swoje sprawy, robią codzienne zakupy, snują plany na przyszłość. Ale jednocześnie kopią rowy przeciwlotnicze, usypują wały. Stolica się okopuje, szykuje się do obrony. W siedzibie Polskiego Radia przy ul. Zielnej 25, a ściślej – w studiu spikerskim, montowany jest specjalny telefon umożliwiający bezpośrednie połączenie z dowództwem przeciwlotniczym. Pracownicy radia otrzymują szkolenie z nadawania komunikatów obrony przeciwlotniczej.

W kolejnych dniach fale Polskiego Radia niosą komunikaty prezydenta miasta, Stefana Starzyńskiego. Takie jak ten: „Obywatele stolicy! Ofiarność wasza na rzecz dobra powszechnego jest znana. Świadczycie zawsze dla państwa i dla swego miasta, gdy tego zachodzi potrzeba. Spokój, jaki cała ludność stolicy zachowuje w rozgrywających się wypadkach międzynarodowych, jest dowodem wielkiej dojrzałości obywatelskiej. Wraz z tym spokojem ducha – obowiązkiem naszym jest przygotować się na wypadek, gdyby państwo i stolica zostały zagrożone. Dlatego nakazem chwili jest przygotowanie odpowiedniej ilości schronów”.

Tak rozpoczyna się najnowszy komiks wydany przez Instytut Pamięci Narodowej. Tym razem jest to wydawnictwo przygotowane wspólnie z Polskim Radiem. Opowiada historię pierwszych dni września 1939 r. z perspektywy radiowców. Pokazuje rolę, jaką Polskie Radio odgrywało w tych dramatycznych dniach dla zdeorientowanej i przerażonej ludności cywilnej.

POKRZEPIENIE Z ETERU

Specjalny telefon w studiu niestety nie pozostał głuchy. Zadzwoń 1 września 1939 r. o godz. 6.30, kiedy Zbigniew



Historia w dymkach



Radosław Wojtas

Gdybym w dzieciństwie mógł dostać w swoje wiecznie wyciągane w kierunku ciekawych lektur ręce takie komiksy, jakie od kilku lat wydaje IPN, to po pierwsze – szybciej bym zrozumiał, że nauka historii może być przyjemna, a po drugie – wcześniej odkryłbym i polubił komiks, a moja ich kolekcja najpewniej byłaby dziś sporo większa. Ech...

Świętochowski przygotowywał się do realizacji zaplanowanej ramówki. Chwilę później Świętochowski mówił na antenie, że oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc pakt o nieagresji. Następnie wyemitował nagrany wcześniej komunikat, który znany spiker Józef Małgorzewski rozpoczynał od słów: „A więc wojna...”.

W pierwszych dniach września radio nadawało normalnie. Wieści z frontu, komunikaty władz i wojska, informacje o działaniach na arenie międzynarodowej. Oraz – mimo okrojonej załogi, duża jej część została bowiem zmobilizowana – pogadanki i audycje muzyczne. Po to, by dać ludziom poczucie względnej normalności, dodać otuchy. Jednak sytuacja szybko stawała się coraz bardziej dramatyczna.

7 września Polskie Radio zamilkło. W nocy uszkodzono aparaturę nadawczą, by w przypadku kapitulacji stolicy i przejęcia budynków przez Niemców uniemożliwić im nadawanie. Z osobistego rozkazu premiera Składkowskiego 8 września wojsko wysadziło maszt Warszawa I w Raszynie.

Pracownikom Polskiego Radia proponowano ewakuację. Nie skorzystali z niej wszyscy, a ci, którzy zdecydowali się zostać, poruszeni licznymi telefonami od ludzi zaniepokojonych trwającą od rana ciszą w eterze, postanowili wznowić nadawanie. Udało się uruchomić uszkodzoną aparaturę na Forcie Mokotowskim i jeszcze 7 września po południu Polskie Radio pod kierownictwem Edmunda Rudnickiego nadawało audycje. Radiowcy trwali na swoich pozycjach aż do kapitulacji stolicy.



Tu historia opowiedziana w zeszycie „Polskie Radio. Wrzesień 1939” się nie kończy, ponieważ autorzy scenariusza – Jan Madejski i Sławomir Czuba – akcentują także wątek ratowania przed zniszczeniem bezcennych nagrań, dopowiadają ich późniejsze losy i nawiązują do głośnej ostatnio akcji „Gdzie jest czarny neser?”, której celem jest odnalezienie tej części płyt, która do dziś się nie odnalazła.

ZOSTAĆ POWSTAŃCEM

Za ilustracje komiksu „Polskie Radio. Wrzesień 1939” odpowiadają Roman Kucharski i Maciej Czaplicki, dla których ten jest to pierwsza współpraca z Instytutem Pamięci Narodowej. Ten duet pracował przy innej pozycji wydanej niedawno przez IPN, tym razem we współpracy z Muzeum Powstania Warszawskiego – komiksu „Powstanie Warszawskie”.

– Jest to komiks paragrafowy, czyli w istocie połączenie komiksu z grą, jak w grze paragrafowej – każda decyzja odsyła do innego paragrafu, a tam następuje ciąg dalszy historii. To czytelnik sam decyduje, jak rozwinie się akcja. Dzięki temu ten sam komiks możemy czytać kilkakrotnie, dokonując różnych wyborów i poznając nowe szczegóły opowieści – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Karolina Imianowska, dyrektor wydawnictwa IPN. – Wydaliśmy pierwszy tom, planowanych jest łącznie pięć tomów – dodaje.

Innym nowym cyklem (wyszedł dopiero zeszyt nr 1, będzie ich najpewniej ponad 10) są przygody Agi, Adama i Hamleta. Aga i Adam to rodzeństwo wychowujące się we współczesnej rodzinie, w której zapędzeni rodzice nie zawsze znajdują czas dla swoich dzieci. Te żyją więc nieco własnym życiem. Na strychu ich niedawno zmarłego dziadka, wśród przeczesywanych szpargałów, rodzeństwo odnajduje tropy, za sprawą których poznaje różne historie i tajemnice (pierwszy tom poświęcony jest rakiecie V-2).

Starszym cyklem jest licząca 10 zeszytów seria pt. „Wojenna odyseja Antka Srebrnego 1939–1946”. Czternastoletniego chłopca, jego rodzinę (choć nie całą, co ma swoje wyjaśnienie w kolejnych zeszytach) i przyjaciół poznajemy w 1939 r.



Komiksy IPN opowiadają o trudnej historii, ale nie ma w nich brutalności. FOT. IPN

w Grodnie. Antek to harcerz, który aż się pali do walki z Niemcami (już zaatakowali Polskę), przygotowuje się na tę okoliczność, ale – jak wiemy – będzie się musiał zmierzyć z innym wrogiem. Antek bierze więc udział w obronie miasta przed

Sowietami i staje się bohaterem akcji, które znamy z historii. Nie odkryję nazbyt wiele z fabuły, jeśli zdradzę, że po ustaniu walk o miasto Antek nie został w Grodnie, a kolejne zeszyty przedstawiają jego nowe przygody w kolejnych miejscach.

Obie serie przystępne będą dla młodszych czytelników (grupa docelowa to uczniowie podstawówek; uczniom szkoły średniej dedykowana jest m.in. seria „Wilcze tropy” o Żołnierzach Wyklętych), ale strawią je bez skrzywienia także starsi czytelnicy. A już najlepiej sprawdzą się jako wspólna lektura, gdy uzupełnieniem dla dzieci będą dopowiedzenia rodziców. Zresztą na końcu każdego zeszytu jest wkładka dopowiadająca tło historyczne przedstawianej historii, więc wiedzę można tu czerpać nie tylko z komiksowych dymków. Za kreskę w serii o Antku Srebrnym odpowiada Hubert Ronek; w serii o Adzie, Adamie i Hubercie dołącza do niego Agata Romek. Scenariusz do „Agi, Adama i Hamleta na tropie tajemnic” napisał Arek Darkiewicz, a do „Wojennej odysei Antka Srebrnego” Tomasz Robaczewski oraz Grzegorz Drojewski i Michał Konarski. Obie serie powstały według koncepcji dr. Tomasza Łabuszewskiego (w wypadku historii Antka był to duet z Anną Obrębską).

Pochwalić wypada całe to towarzystwo. Scenariusze większości zeszytów są naprawdę ciekawe i nawet jeśli trzymałem w ręku komiks skierowany raczej do młodszego odbiorcy, to i tak potrafił zainteresować mnie na tyle, abym nie tylko z poczucia dziennikarskiego obowiązku sięgnął po jego kontynuację. Rysunki trzymają wysoki poziom. Kreska dostosowana jest do charakteru opowieści – inna w pozycjach, po które sięgnąć mogą młodszy, inna dla starszych odbiorców. W żadnym z zeszytów, które przeczytałem – a przeczytałem większość wydanych przez IPN – nie znalazłem brutalności i treści mogących przestraszyć. Opowiadane historie nie należą do najłatwiejszych i najdelikatniejszych, ale wyłożone są w sposób subtelny.

– Nie zdradzę sekretu, jeśli powiem, że komiksy pozostają w czołówce naszych comiesięcznych zestawień publikacji, po które czytelnicy sięgają najczęściej. Czasem komiks bywa niedoceniany, bagatelizowany. Ale za tymi publikacjami stoją recenzje naukowe, każdy tom ma wkładkę historyczną. Mimo komiksowej formy to solidna porcja wiedzy – mówi Karolina Imianowska. I trudno się z tym nie zgodzić.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Listy
Mackiewicza

Józef Mackiewicz i Michał K. Pawlikowski byli serdecznymi przyjaciółmi. Łączyło ich jednak coś więcej. Byli rodakami. Obywatelami niegdyś potężnego i sławnego państwa, które zostało bezpowrotnie wymazane z mapy Europy. Mowa oczywiście o Wielkim Księstwie Litewskim.

Mackiewicz pochodził z Wileńszczyzny, a Pawlikowski z Mińszczyzny. A więc z ziemi, która po zawarciu fatalnego traktatu ryskiego pozostała za bolszewickim kordonem. Obaj kochali swój kraj. Jego krajobrazy, ludzi (niezależnie od wyznania i narodowości) oraz wspinała historię. Litwa odgrywała kluczową rolę w ich twórczości.

Dwaj wybitni pisarze w dwudziestoleciu pracowali razem w wileńskim „Słowie”, a po wojnie – jako ideowi antykomuniści – zostali na emigracji. Pawlikowski w Kalifornii. Mackiewicz w Monachium. Listy, które wymieniali przez ocean, wydała właśnie w londyńskim wydawnictwie Kontra niestrudzona Nina Karsov.

Korzystając z okazji, chciałbym przekazać pani Karsov moje najwyższe uznanie za wspinała pracę, którą wykonuje, wypusz-

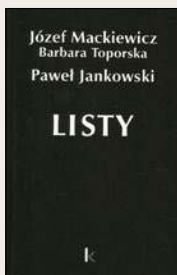
czając na rynek kolejne tomy „Dzieł” Mackiewicza. Trudno w to uwierzyć, ale listy Mackiewicz-Pawlikowski to tom 34.!

Z wielką niecierpliwością czekałem na wydanie korespondencji dwóch moich ukochanych pisarzy i nie zawiodłem się. Miłośnicy twórczości Pawlikowskiego i Mackiewicza znajdą w książce wiele pasjonujących anegdot, smaczków i informacji dotyczących ich życia.

Niestety, momentami jest to lektura smutna i gorzka. Szczególnie trudno czyta się o dramatycznych warunkach materialnych, w których znajdował się Mackiewicz. A także o haniebnej nagonce na pisarza, którą organizowali Jan Nowak i inni „standaryzowani” patrioci.

Ideowy antykomunizm Mackiewicza w połączeniu z jego niechęcią do wierchuszki Armii Krajowej i pustego, patriotycznego frazesu powodowały, że pisarz miał morze wrogów. Zarówno pod sowiecką okupacją, jak i na emigracji.

Całe szczęście o większości jego oszczerców niemal nikt już nie pamięta. A Mackiewicz umacnia się na pozycji najwybitniejszego polskiego prozaika XX w. Myślę, że ten trend będzie się utrzymywał. ©©



★★★★★

JÓZEF
MACKIEWICZ,
BARBARA
TOPORSKA,
MICHAŁ K.
PAWLIKOWSKI
„LISTY”
KONTRA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Akt 5 listopada
1916 r.

Stosunek Niemców i Austriaków do Polaków w czasie pierwszej wojny światowej można określić jako dość skomplikowany. Berlin oficjalnie nie wyrażał zainteresowania Królestwem Polskim, a w parlamencie padły nawet słowa, że dość mają problemów ze „swoimi” Polakami, by byli im jeszcze potrzebni następni. Z kolei Austriacy deklarowali chęć zjednoczenia ziem polskich pod berłem Habsburgów, ale politycy z Wiednia, a szczególnie z Budapesztu, obawiali się, że Polacy mogą stać się najliczniejszym narodem naddunajskiej monarchii.

Gdy jednak okazało się, że nasi rodacy byli najwartościowszymi żołnierzami na froncie wschodnim, zaczęto intensywnie rozważać powołanie armii polskiej. Szczególnie że straty poniesione pod Verdun na froncie zachodnim i podczas ofensywy Brusilowa na wschodzie wymagały uzupełnienia. Oceniano, że Królestwo Polskie mogło dać ponad milion rekrutów, którzy zastąpiliby na froncie wschodnim Niemców, a ci zostaliby skierowani na zachód, by osiągnąć przewagę nad Francuzami.

Dlatego w Wiedniu i w Berlinie przygotowano rozwiązanie polityczne mające zapewnić poparcie Polaków. Z perspektywy niemieckiej ustępstwa były tak duże, że pomysł był bliski porzucenia, ale ostatecznie jednak 5 listopada 1916 r.

ogłoszono manifest dwóch cesarzy. Wilhelm II i Franciszek Józef zapowiedzieli powstanie samodzielnego Królestwa Polskiego, składali różnego rodzaju obietnice, w treści manifestu zabrakło jednak słowa „suwerenność”. Była natomiast zapowiedź związania nowo powstałego państwa sojuszami z państwami centralnymi, a także stwierdzenie, że wytyczenie granic nastąpi po wojnie.

Akt 5 listopada 1916 r. spotkał się w Królestwie Polskim z chłodnym przyjęciem, chociaż powszechnie rozumiano jego doniosłość. Wprawdzie nie dawał Polakom niczego konkretnego, ale zamieniał kwestię polską z wewnętrznej sprawy państw zaborczych na problem międzynarodowy. Na deklarację dwóch cesarzy musieli zareagować Rosjanie i faktycznie, już 15 listopada obiecali, że „rząd rosyjski ma na widoku utworzenie Królestwa Polskiego, które obejmować ma wszystkie ziemie polskie”. Co więcej, rosyjską deklarację podchwyciły rządy i parlamenty innych państw ententy, a także neutralnych wówczas Stanów Zjednoczonych. Był to niewątpliwie sukces Polaków.

Natomiast Niemcy i Austriacy ponieśli polityczną klęskę, gdyż za deklaracjami nie poszły żadne działania, a w zamian ogłoszono pobór do armii. Został on powszechnie zbojkotowany, ponieważ Polakom było potrzebne już coś więcej niż tylko obietnice bez pokrycia. ©©

PRZECIWNIK KASKÓW ROZBIŁ SOBIE GŁOWĘ

Prawnik z USA – Ron Smith – w latach 90. lobbował na rzecz zniesienia obowiązku jazdy na motocyklu w kasku. Dzięki m.in. sprawom jego klientów w 2000 r. stan pozwolił na taką jazdę motocyklistom powyżej 21. roku życia (pod warunkiem, że mają ubezpieczenie od obrażeń w wypadkach motocyklowych na minimum 10 tys. dol.). Ron Smith w ubiegłym tygodniu miał wypadek. Zginął. Jechał bez kasku. Raport z autopsji wskazał, że przyczyną zgonu był „tępy uraz głowy”.

POZEW ZA SŁABE ODURZENIE

Dwie firmy z Kalifornii w USA, gdzie wolno legalnie sprzedawać wyroby zawierające THC – DramFields Brands Inc. oraz Med for America – reklamowały swoje papierosy z marihuaną hasłem „Jedynie, które zabiorą cię na Marsa szybciej niż Elon Musk”. Ich klienci uznali, że towar nie jest tak mocny. Złożyli więc

zbiorowy pozew do sądu – udowadniając, że skрэty zawierają mniej THC niż opisano na opakowaniu.

AKTYWIŚCI NISZCZĄ SZTUKĘ

Ekologiczni aktywiści próbują niszczyć dzieła sztuki – twierdzą, że w ten sposób zwracają uwagę na to, iż ludzie głodują i marzną. W ubiegłym tygodniu członkowie niemieckiej grupy ekologicznej w Muzeum Barberini w Poczdamie obrzucili obraz Claude’a Moneta ziemniaczanym purée. Wcześniej aktywiści w Anglii obalili zupą „Słoneczniki” Vincenta van Gogha.

UMYŁ SIĘ I UMARŁ

Pewien Irańczyk nie mył się przez ponad 60 lat i media okrzyknęły go „najbrudniejszym człowiekiem świata”. Starzec zwany Hajimem mieszkał sobie we wsi Dejgah w południowej prowincji Fars. Dziennik „Guardian” doniósł, że kilka miesięcy temu mieszkańcy wsi namówili Hajima na kąpiel. Pierwszą od ponad pół wieku. Teraz pan Hajim zmarł. Miał 94 lata. ©©

Łukasz Zboralski

CENZURA W IMIĘ WOLNOŚCI?

Kanye West, wielka gwiazda amerykańskiej muzyki, podpadł. Najpierw zarzucono mu rasizm we wpisach o Żydach w mediach społecznościowych, a potem pojawił się w telewizji w koszulce z Janem Pawłem II i napisem „White lives matters”. No i jeszcze przeciwstawia się aborcji. Współpracę zerwały z nim Adidas (dyrektor marketingu Adidas Sarah Camhi napisała w sieci, że „jako członek społeczności żydowskiej nie może dłużej milczeć w imieniu marki, która ją zatrudnia”) i Balenciaga. A w portalu Variety.com pojawiły się rozważania, czy można by posunąć się do cenzury i usunąć jego twórczość z muzycznych serwisów streamingowych.

FOT. JACOSPPY/BUZZPAPER/BACKGRID/USA/FORUM



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Zmiana czasu jak u Barei

Ostatni weekend października za nami. Zwyczajowo cofnęliśmy więc zegarki o godzinę. Jaki jest tego cel? Najprostsza odpowiedź brzmi: nie ma żadnego. O tym, że zmiana czasu w XXI w. jest już kompletnie bez sensu, wiadomo od lat. Manipulowanie przy zegarku nie ma żadnego uzasadnienia ekonomicznego. Co więcej, według Włoskiego Towarzystwa Medycyny Środowiskowej pozostawienie czasu letniego na stałe przyniosłoby 500 mln euro oszczędności. Z kolei Japończycy wyliczyli, że stosowanie wyłącznie czasu letniego może zmniejszyć emisję

dwutlenku węgla i prowadzić do dużych oszczędności. Do tego zmiany czasu powoduje wiele mniej lub bardziej groźnych dolegliwości dla zdrowia (zarówno psychicznych, jak i fizycznych).

Czy wiedza o tym, że zmiana czasu nie tylko pomaga, lecz także szkodzi i gospodarce, i zdrowiu, dotarła do rządzących? Oczywiście, że tak. Od lat doskonale wiedzą o tym zarówno władze w Warszawie, jak i w Brukseli. Czy pracujące w teorii na rzecz podatników urzędaszy zrobiły coś, aby błyskawicznie tę bezsensowną zmianę czasu znieść? Oczywiście, że nie. Dużo jednak w tej sprawie

debatowano. Już w 2018 r. Komisja Europejska przedstawiła projekt odpowiedniej dyrektywy, a Polska ją poparła.

Najwyraźniej urzędnicy doszli do wniosku, że gdyby pokazali ludziom, że chociaż sprawy oczywiste potrafią szybko załatwić, to byłby to niebezpieczny precedens. Ministerstwo Rozwoju i Technologii opracowało więc rozporządzenie w sprawie wprowadzenia i odwołania czasu letniego środkowoeuropejskiego w latach 2022–2026. Dzięki temu wiemy, że będziemy bez sensu przestawiać zegarki aż do... 2026 r. Szkoda, bo to naprawdę nie jest dobra zmiana. ©©

Liz Truss podała się do dymisji, a konkurenci do stanowiska nowego lidera partii – ekspremier Boris Johnson i minister ds. współpracy z parlamentem Penny Mordaunt – sami się wycofali z wyścigu. Teraz Rishi Sunak, rozpromieniony, triumfuje. Dziękuje swej poprzedniczce, zapowiada służbę dla kraju, podkreśla, jak wiele zawdzięcza Wielkiej Brytanii. Jego nominacja jest w pewnym sensie historyczna, choć trudno powiedzieć, czy sygnalizuje głębsze zmiany. Rishi Sunak przecież, choć urodzony i wychowany na Wyspach Brytyjskich, jest z pochodzenia Hindusem, a przy tym pierwszym brytyjskim premierem, który nie jest chrześcijaninem. Wyznaje hinduizm. Ma 42 lata i pięć miesięcy, jest więc najmłodszym brytyjskim premierem od 1812 r., gdy Robert Jenkinson, Earl of Liverpool, został szefem rządu dzień po swych 42. urodzinach. Tony Blair i David Cameron, którzy mocno obniżyli średnią wieku premierów ostatnich lat, obejmując rządy, mieli po 43 lata.

Sunak to także pierwszy premier, który misję tworzenia rządu otrzymał z rąk króla Karola III. Burobiały kocur Larry, stały mieszkaniec Downing Street 10, który na bieżąco komentuje wydarzenia polityczne, musiał doznać wielkiego rozczarowania. Chwilę po ustąpieniu Liz Truss Larry zdradził na Twitterze, że to jemu król Karol chciałby powierzyć urząd premiera. Jak się wkrótce okazało, będzie musiał poczekać. Jak długo? Pod rządami Rishiego Sunaka być może zapanuje oczekiwana stabilizacja, zwłaszcza na polu gospodarczym, pewności jednak nie ma. Nowy premier pod wieloma względami jest niewiadomą.

DWA LATA NA SUKCES

Tony Blair i David Cameron mieli jednak nad Sunakiem istotną przewagę: zwycięstwo wyborcze, które im obu uutorowało drogę na Downing Street. To element bardzo ważny dla pozycji premiera. Szef rządu, który uzyskał mandat w wyborach powszechnych, rządzi w imieniu narodu – jak Boris Johnson, pod którego przywództwem w grudniu 2019 r. konserwatyści odnieśli największe zwycięstwo od czasów Margaret Thatcher. Tymczasem premierzy tacy jak Liz Truss czy Rishi Sunak reprezentują jedynie swą partię, bo tylko jej głosami zostali wybrani.

Nie inaczej było z Borisem Johnsonem – on również zastąpił Theresę May w wyniku wyborów w partii. Pięć miesięcy później rozpiął jednak wybory powszech-

Trzeci premier na Downing Street



Teresa Stylińska

To, co się działo ostatnio wśród brytyjskich konserwatystów, dowodzi, że nigdy nie należy tracić nadziei. Oto Rishi Sunak, który we wrześniu przegrał z Liz Truss wyścig o stanowisko lidera partii i tym samym premiera, niespodziewanie osiągnął cel. W dodatku po zaledwie siedmiu tygodniach i bez specjalnego wysiłku, bo wydarzenia pracowały nań same

10



Rishi Sunak wreszcie wygrał partyjny wyścig. FOT. LEON NEAL/GETTY IMAGES

ne, które konserwatyści wygrali w wielkim stylu. Taka decyzja wymaga jednak czasu, a w obecnej sytuacji także niemałej odwagi. Skoro Partia Pracy ma nad torysami 36-punktową przewagę, Rishi Sunak musiałby być szaleńcem, gdyby zaryzykował głosowanie (w Wielkiej Brytanii, przypomnijmy, o przeprowadzeniu wyborów decyduje premier), które mogłoby zmieścić torysów w wielu okręgach. Bardzo zatem możliwe, że będzie musiał dotrwać do ustawowego terminu, ten zaś przypada w styczniu 2025 r.

Te dwa, w założeniu, lata Rishi Sunak musi zatem maksymalnie wykorzystać, jeżeli chce pokazać, że stać go na więcej niż stanowisko kanclerza skarbu – czyli ministra finansów – które zajmował w rządzie Johnsona. W sferze gospodarki niewątpliwie ma duże doświadczenie; po studiach w Oksfordzie i na uniwersytecie Stanforda w USA, gdzie zdobył MBA, pracował m.in. w banku Goldman Sachs i w kilku funduszach hedgingowych. Sama już informacja, że to on stanie na czele rządu, lekko poprawiła notowania funta, który przez kilka tygodni rządów Liz Truss spadł do najniższego poziomu w historii. To pokazuje zarazem rozmiary oczekiwań pod adresem nowego premiera.

On sam nie widzi zresztą potrzeby rozpisywania wyborów. Obywatele, zauważa, nie muszą oceniać jego programu, bo go przecież doskonale znają: to manifest wyborczy konserwatystów z 2019 r., przygotowany na początku rządów Borisa Johnsona. Ten właśnie program zamierza realizować jego rząd. „Boris Johnson – dodał Sunak – z pewnością zgodziłby się ze stwierdzeniem, że mandat zdobyty przez moją partię w roku 2019 nie należy do jednego człowieka. To mandat, który łączy nas wszystkich”.

Nowy premier pozornie ma rację – ale tylko połowicznie. Manifest z 2019 r. powstał przecież przed pandemią, przed wojną ukraińską, przed dramatycznym wzrostem cen energii, a w ślad za tym również kosztów utrzymania. Został stworzony w świecie, którego już nie ma.

WYNISZCZAJĄCY HORROR

Zresztą latem, podczas wyborów lidera partii w drugim etapie, gdy dwoje kandydatów wybranych przez frakcję parlamentarną konserwatystów, czyli Liz Truss i Rishi Sunak, prezentowało swe zamierzenia na spotkaniach w całym kraju, każdy Brytyjczyk miał okazję poznać program obecnego premiera. W przeciwieństwie do Liz Truss, dla której celem nadrzędnym

było ożywienie gospodarki m.in. przez obniżenie podatków, Rishi Sunak podkreślał wagę dyscypliny budżetowej i zapowiadał redukcję wydatków.

Jednakże nawet jeśli różni szefowie rządu odmiennie widzą swe priorytety, to pewien zestaw problemów, z którymi muszą się zmierzyć, jest stale obecny. To m.in. kwestie związane z dostępem do opieki zdrowotnej, czyli funkcjonowaniem National Health Service; z określeniem wysokości i wzrostu zasiłków socjalnych i emerytur, powstrzymaniem nielegalnej imigracji, a także – to pokłosie wojny na Ukrainie – z określeniem budżetu na cele wojskowe. Wydatki na ten cel miały, według planów Liz Truss, znacząco wzrosnąć – do 2,5 proc. PKB do 2026 r. i do 3 proc. w 2030 r. Rishi Sunak był temu przeciwny, ostatecznie jednak ustąpił, bo od tego pozostanie na stanowisku uzależnił Ben Wallace, minister obrony i za Borisa Johnsona, i za Liz Truss.

Bardzo trudną, a przy tym dla torysów fundamentalną kwestią jest utrzymanie jedności partii. Wyniszczająca walka o przywództwo po rezygnacji Johnsona podzieliła ją jak chyba nigdy dotąd. I nic dziwnego: kampania trwała długo, zespoły kandydatów stosowały wszelkie chwyt, by wyeliminować najgroźniejszych rywali, na porządku dziennym były naciski, namowy i kuszenie stanowiskami. A to, że media relacjonowały te zabiegi z wszelkimi detalami, to mało budujące widowisko – horror, jak to ktoś określił – stało się udziałem szerokiej publiczności.

Jeśli Partia Konserwatywna ma nie tylko przetrwać, lecz także wygrywać, to tak głębokie rany należy wyleczyć. Jak? Po zwycięstwie oferując przeciwnikom stanowiska w rządzie. Liz Truss to zlekceważyła i na ministrów wybrała tylko swych zwolenników. Rishi Sunak postąpił inaczej. Większość resortów powierzył wprawdzie swoim stronnikom, takim jak Michael Gove i Dominic Raab, niegdyś ministrom w rządzie Johnsona, stanowiska zachowało jednak czworo czołowych ministrów z rządu Liz Truss: kanclerz skarbu Jeremy Hunt, minister spraw zagranicznych James Cleverly, spraw wewnętrznych Suella Braverman oraz minister obrony Ben Wallace. Czy to wystarczy?

WYJĄTKOWO BOGATY POLITYK

Rishi Sunak karierę polityczną zrobił błyskawicznie. Rzadko się zdarza, by ktoś zostawał liderem partii i szefem rządu po siedmiu zaledwie latach od chwili,

gdy w polityce postawił pierwsze kroki. Mandat zdobył w 2015 r., gdy do Izby Gmin – z inicjatywy Davida Camerona, który chciał, by reprezentacja PK w większym stopniu odzwierciedlała nowe realia społeczne – dostało się wielu przedstawicieli mniejszości etnicznych. Trzy lata później wszedł do rządu Theresy May, choć jeszcze nie do ścisłego gabinetu, bo jako podsekretarz stanu ds. samorządów lokalnych.

W gronie kolegów z parlamentu Rishi Sunak był i jest faworytem. Czy zostałby liderem, gdyby, jak latem, wyboru dokonywali szeregowi członkowie partii? Niewykluczone, że nie. Przegrał z Liz Truss, bo większość ówczesnych wyborców uważała, że człowiekowi o jego statusie – również, a może przede wszystkim, materialnym – obce są problemy zwykłych ludzi. Że nigdy ich nie zrozumie. Rishi Sunak to bowiem pierwszy polityk, który, z majątkiem ponad 700 mln funtów, znalazł się na liście najbogatszych Brytyjczyków (ocenia się nawet, że to najbogatszy premier na świecie). Zawdzięcza to własnej pracy, lecz także małżeństwu. Akshata, jego żona, jest córką indyjskiego miliardera Narayany Murthy'ego, właściciela firmy Infosys, w której ona sama jest dyrektorem. Państwo Sunakowie mają dwie córki.

On sam natomiast pochodzi z inteligenckiej rodziny, która osiedliła się w Wielkiej Brytanii w latach 60. Rodzice – ojciec lekarz, matka farmaceutka, właścicielka apteki w Southampton – zadbał o wykształcenie dzieci. Rishi, najstarszy z trojga rodzeństwa, uczęszczał do Winchester College, ekskluzywnej szkoły publicznej, a przy tym najstarszej, bo istniejącej nieprzerwanie od XIV w. Tam zaś nawiązał kontakty pomocne w życiu i w karierze.

Liz Truss, choć podała się do dymisji po zaledwie 45 dniach (jako najkrócej urzędujący premier w historii Wielkiej Brytanii), nie uważa, by cały jej program był błędny. Zgrzeszyła jedynie, jak sama oceniła, nadmiernym pośpiechem i niecierpliwością. „Nie należy zapominać, jak ważny jest wzrost gospodarczy i rozwój” – apelowała w pożegnalnym wystąpieniu na Downing Street do swego następcy.

Czy Rishi Sunak zechce jej posłuchać? Kilka godzin później, w tym samym miejscu, w swym pierwszym przemówieniu zauważył: „Wzrost gospodarczy to cel szlachetny, trzeba jednak naprawić błędy, które popełniono. Nie ze złej woli, wprost przeciwnie. Ale naprawić je trzeba. Również po to zostałem liderem partii i premierem”.



Olivier Bault

**Izrael opowiedział się za Ukrainą,
ale broni jej nie dostarczy.
Przynajmniej jeszcze nie teraz**

Dzisiaj poinformowano, że Iran przekazuje pociski balistyczne Rosji. Nie ma wątpliwości, jakie stanowisko powinien zająć Izrael w tym krwawym konflikcie. Nadszedł czas, aby Ukraina otrzymała również od nas pomoc militarną, taką jak ta, której udzielają jej USA i państwa NATO – napisał na Twitterze w połowie października izraelski minister ds. diaspory Nachman Szaj. Na reakcję strony rosyjskiej nie trzeba było długo czekać. Były prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew, aktualnie zastępca szefa Rady Bezpieczeństwa Rosji, ostrzegł od razu, że jeśli Izrael dostarczy broń Ukrainie, to „zniszczy stosunki polityczne między obydwojoma krajami”. Rząd Ja’ira Lapida szybko odciął się od wypowiedzi ministra Szaja, informując, że choć potępia działania Rosji, to nie zamierza dostarczyć broni Ukrainie, i że będzie się, jak do tej pory, ograniczać do niesienia pomocy humanitarnej i przyjmowania uchodźców z Ukrainy. Uchodźcy ci to tak naprawdę kilkanaście tysięcy ukraińskich Żydów, którzy mogą osiedlić się w Izraelu, oraz kilka tysięcy nieżydowskich Ukraińców, którzy otrzymali azyl na czas ograniczony.

W rozmowie z brytyjskim dziennikiem „Telegraph” w maju minister ds. absorpcji imigrantów Penina Tamanu-Szata twierdziła, że zamierza sprowadzić do Izraela 100 tys. ukraińskich Żydów. „Uważam, że 100 tys. to ambitny cel, ale jeśli zamknę się w 60 tys., to będzie to duże osiągnięcie” – powiedziała izraelska minister etiopskiego pochodzenia.

Do Izraela wyemigrowało w tym roku także ok. 26 tys. rosyjskich Żydów, a kolejnych 35 tys. złożyło wnioski, aby móc pójść ich śladem. Jednym z powodów słabego angażowania się Izraela po stronie Ukrainy jest właśnie to, że ok. 1,1 mln obywateli tego kraju pochodzi z byłego Związku Sowieckiego.

Izrael obawia się także o los rosyjskich Żydów – po tym, jak rosyjski minister sprawiedliwości wystąpił w tym roku do sądu o likwidację rosyjskiego oddziału Agencji Żydowskiej na rzecz Izraela, czyli



Izraelski trik

organizacji syjonistycznej ułatwiającej emigrację Żydów do Izraela.

To niejedyny problem. Od kilku lat sytuacja polityczna w Izraelu jest bardzo niestabilna – co chwilę upadają koalicje rządowe i odbywają się kolejne wybory. Ostatnie zaplanowano na 1 listopada, niecałe półtora roku od poprzednich.

SYRIA JEST KLUCZEM

Postawa odchodzącej koalicji centrolewicowej, na której czele do końca czerwca stał premier Naftali Bennet i której przewodzi teraz – na mocy wcześniejszych ustaleń koalicyjnych – znany w Polsce z antypolskich wypowiedzi Ja’ir Lapid, wynika jednak przede wszystkim z sytuacji w sąsiedniej Syrii. Reżim Bashara Al-Asada wspierają tam siły rosyjskie (wraz z systemami obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej). Po stronie Al-Asada stoją także obecne tam siły irańskie i proirańskie bojówki. Izraelskie lotnictwo regularnie bombarduje ich pozycje oraz transporty i magazyny

broni z Iranu, które są dla nich przeznaczone. Aby nie doszło do poważniejszych incydentów między siłami Rosji i Izraela, do przeprowadzenia izraelskich nalotów potrzebne są więc przyzwolenie Rosjan i wymiana informacji o atakach mających się odbyć w danym momencie.

Były premier Benjamin Netanjahu, lider opozycyjnej partii prawicowej Likud przodkującej w przedwyborczych sondażach – ale bez szans na samodzielną większość po 1 listopada – odnosząc się do tweeta ministra ds. diaspory, wskazał też na inne niebezpieczeństwo w razie przekazania izraelskiej broni Ukrainie: mogłaby się ona dostać w ręce Irańczyków. A chodzi o nie byle jaki system – Ukraińcy proszą o Żelazną Kopułę, która pozwoliłaby im bronić się przed dronami i raketami produkcji irańskiej i rosyjskiej. Gdyby został przejęty na wojnie w Ukrainie, to mogłaby być to szansa dla Irańczyków, by lepiej go rozpoznać i rozwijać broń, której nie będzie zagrażał. Należy przy tym pamiętać, że Teheran dostarcza broń,

Ya'ir Lapid, premier Izraela
FOT. RONALDO SCHEMIDT/POOL/AP/EAST NEWS

proces decyzyjny w obliczu tej wojny był bardzo egoistyczny – tłumaczył. – Izrael patrzył tylko na swój własny interes. Na początku były to względy dotyczące Syrii. Potem były to względy dotyczące społeczności żydowskiej w Rosji, a następnie względy dotyczące porozumienia nuklearnego z Iranem. Kiedy Ya'ir Lapid objął stanowisko premiera po Naftalim Bennecie, przyjął bardziej moralne podejście i dokonał pewnych zmian, głównie poprzez dostarczanie hełmów i drobnego sprzętu obronnego, co rozgniewało Rosjan. Zobaczmy, co zrobi Lapid, jeśli wygra wybory. Sprawa jest kontrowersyjna w Izraelu. Większość społeczeństwa popiera Ukrainę, ale politycy są naciskani przez establishment bezpieczeństwa, który uczynił z przewagi powietrznej w Syrii kwestię najważniejszą”.

Podobnie jak ukraińskie władze naciskające na Izrael w sprawie dostarczenia broni Aron Liel uważa, że zmiana postawy Izraela mogłaby istotnie wpłynąć na dalszy przebieg tej wojny, gdyż izraelska broń „jest o wiele bardziej zaawansowana niż broń irańska, której używają Rosjanie”. To, że użycie izraelskiej broni może mieć wpływ na wojnę, widać było jesienią 2020 r. podczas ofensywy azerskiej przeciw Ormianom w Górskim Karabachu. W latach poprzedzających najnowszą odsłonę konfliktu między chrześcijańską Armenią a muzułmańskim Azerbejdżanem ten ostatni kraj był drugim największym zagranicznym klientem państwa żydowskiego pod względem wartości zakupionego uzbrojenia.

Dlatego też w obliczu wojny defensywnej prowadzonej przez Ukraińców Waszyngton naciska na swojego bliskowschodniego sojusznika. Czyni to nie tyle administracja Joe Bidena, ile Kongres. „Czołowi amerykańscy ustawodawcy z obu partii wyrażają swoje niezadowolenie z powodu odrzucenia przez Izrael prośby Ukrainy o dostarczenie obronnego sprzętu wojskowego do walki z rosyjską inwazją – pisał 23 października izraelski dziennik „Haaretz”. – Demokratyczny senator Chris Murphy przoduje w krytyce Jerozolimy za to, że nie robi więcej, aby pomóc Kijowowi, zwłaszcza że Rosja jest oskarżana o używanie irańskich dronów do atakowania ukraińskiej infrastruktury cywilnej”. „Haaretz” przytacza, że Murphy, przewodniczący senackiej podkomisji ds. Bliskiego Wschodu, powiedział w CNN: „Izrael musi zejść z linii bocznej. Izrael jest częścią wspólnoty demokratycznej

i musi stanąć w obronie ukraińskiej demokracji”.

Zdaniem Alona Liela „jeśli wojna zakończy się przewagą Zachodu, to wszyscy będą pamiętać, że Izrael odmówił udziału w tych działaniach”. „W rzeczywistości, prowadząc taką politykę, zdradzamy Zachód, ale nie tak widzi problem nasz establishment bezpieczeństwa. Na poziomie mikro – jeśli twoją miarą jest to, ilu Żydów opuszcza Rosję i ile ataków możesz przeprowadzić w Syrii – jest to polityka udana w perspektywie krótkookresowej. Ale jeśli spojrzeć w przyszłość, to jest to błąd moralny, a także, jeśli nie zostanie skorygowany, będzie to błąd w kategorii Realpolitik” – powiedział.

W telefonicznej rozmowie ze swoim ukraińskim odpowiednikiem Ołeksijem Reznikowem 24 października izraelski minister obrony Beni Ganc powtórzył jednak, że ze względu na „ograniczenia operacyjne” w związku z działaniami w Syrii Izrael nie dostarczy Ukrainie żadnej broni, a jedynie może przekazać jej systemy wczesnego ostrzegania przed atakami, służące do ratowania życia cywilów. Sytuację tę mogłoby zatem zmienić wycofanie rosyjskich sił z Syrii celem wzmocnienia sił na Ukrainie. Taką nadzieję wyraził 19 października „New York Times”. Powołując się na „dwóch zachodnich dyplomatów oraz wysoko postawionego urzędnika izraelskiego z ministerstwa obrony”, amerykański dziennik pisał o wycofaniu przez Rosję z Syrii systemu obrony przeciwpowietrznej S-300 oraz co najmniej dwóch batalionów, czyli nie mniej niż 1,2 tys.–1,6 tys. żołnierzy.

Jeśli dojdzie do zmiany polityki w Izraelu, to będzie to wyraźny sygnał, że niepowodzenia Rosji na froncie ukraińskim i wynikający z tej sytuacji drenaż rosyjskich zasobów porozrzucanych po świecie pociągają za sobą znaczne osłabienie wpływów rosyjskich i mogą zniweczyć dwie dekady wysiłków reżimu Putina, aby odbudować te wpływy po upadku Związku Radzieckiego. Na razie aktualne pozostaje marcowe pytanie brytyjskiego „Telegraph”: „Nieśmiałe potępienie przez Naftalego Bennetta inwazji Putina na Ukrainę i jego opieszałość w sprawie sankcji wobec Kremla są kulminacją kryzysu wpływów Ameryki na Bliskim Wschodzie. Powinniśmy teraz zadać sobie pytanie, jak to się stało, że najważniejszy od dziesięcioleci sojusznik Ameryki w regionie może nagle działać w interesie Moskwy?”.

m.in. rakiety oraz technologię do budowy własnych rakiet, wrogim ugrupowaniom działającym tuż przy granicy żydowskiego państwa, jak np. libańskiemu Hezbollahowi czy palestyńskiemu Hamasowi.

W samym Izraelu toczy się jednak debata na temat tego, czy należy dostarczyć broń popieraną przez USA i Zachód Ukraińcom. Sam Netanjahu powiedział w wywiadzie dla amerykańskiego dziennika „USA Today”, opublikowanym pięć dni po tweecie ministra Szaja, że jeśli powróci do władzy po wyborach, to kwestia dostarczenia broni Ukrainie zostanie ponownie przez niego zbadana. Poza tym, jak informował 12 października dziennik „New York Times”, powołując się na „wysokiego urzędnika ukraińskiego” pragnącego zachować anonimowość, Izrael przekazał już dane wywiadowcze, które pomagają Ukraińcom w zestrzeliwaniu irańskich dronów, a prywatna firma izraelska dostarcza Ukrainie zdjęcia satelitarne, na których widoczne są pozycje rosyjskich wojsk.

NACISKI WASZYNGTONU

Dla niektórych to jednak za mało. W rozmowie z amerykańskim „Foreign Policy Magazine” był dyktorem generalny w izraelskim MSZ Alon Liel – obecnie wykładowca na Uniwersytecie Reichmana w Hercliji – powiedział, że Izrael „zdradził” swoich zachodnich sojuszników. „Prawie od pierwszego dnia izraelski



„Zabić” śmiechem



Maciej Pieczyński

Humor to potężna broń. Pomaga zwalczyć strach, ale też wroga, który przestaje być straszny, a staje się śmieszny. Ukraińcy są mistrzami wojennej satyry. Na tym polu Rosjanie już dawno przegrali

Już 24 lutego zrozumiałem, że naszego narodu nie da się pokonać. A to dlatego, że pierwsze rakiety zostały wystrzelone o godz. 4 nad ranem, a pierwsze memy – już o 4.15 – tym żartem Jewhen Koszowij rozpoczął specjalne wydanie „Wieczornego kwartału”, wyemitowane z okazji Dnia Niepodległości Ukrainy. Rzeczywiście, humor dość szybko stał się potężną bronią propagandową w walce z Rosją. Wielomocarstwowy patos, nadmierna pewność siebie, śmiertelna (nomen omen) powaga kremłowskiej narracji, kontrastująca z niepomysłnym przebiegiem „specoperacji”, okazały się bardzo wdzięcznym materiałem dla ukraińskiej satyry. Ta zaś tradycyjnie ma charakter karnawałowy – jest ostra, celna, politycznie niepoprawna, czasem wulgarna, pełna czarnego humoru i absurdu.

Ukraińcy „zabijają” Rosjan również śmiechem. Na tym froncie walczą zarówno

profesjonalni satyrycy, jak i pomysłowi internauci. Regularna armia i ochotnicza teroborona. Wiele z tych żartów może budzić niesmak i moralne oburzenie. Jednak w warunkach wojny dehumanizacja agresora wydaje się czymś zrozumiałym.

Oba „rodzaje wojsk” posługują się tą samą, spontanicznie ukształtowaną terminologią. Rosjanie nazywani są orkami (jak potwory z Tolkiena) albo raszystami, Rosja – Rusnią (nawiązanie do słowa „chujnia”), Putin – Putlerem, kadyrowcy (zajęci bardziej lansowaniem się w Internecie niż walką) – tik-tokową armią. Wyśmiewany jest nadmierny optymizm kremłowskiej propagandy – w jednym ze skeczów rzecznik MON gen. Konaszenkow informuje, że Ukraińcy „uciekają w popłochu w stronę Rosji”. „Zatrzymajcie się! Nie mam dokąd uciekać z Rostowa!” – apeluje rozpaczliwie Wiktor Janukowycz. „Podoba się czy nie, NATO zbliża się” – głosi transparent, który

ukraiński żołnierz trzyma z uśmiechem na polu zwycięskiej bitwy. To odpowiedź na słowa Putina, który przed inwazją namawiał Ukraińców do ustępstw sarkastyczną frazą: „Podoba się czy nie, bądź cierpliwa, moja piękna”.

Po śmierci Elżbiety II w Internecie żartowano: „Biuro prasowe Putina powiadomiło, że nie pojedzie na pogrzeb królowej, ale niebawem spotka się z nią osobiście”. Petersburg to z kolei „tymczasowo okupowane fińskie miasto”. Na innym memie ukraiński żołnierz melduje Zełenskiemu zdobycie Kremla. „Miał być Krym, Mykoła, Krym” – odpowiada lekko zakłopotany prezydent. Gdy latem Krymem wstrząsnęły wybuchy, w Internecie można było znaleźć oferty „gorących wakacji” na półwyspie. A zniszczony most Kerczeński, łączący półwysep z Rosją, nazwano „półmostem”.

„Dziennikarze” prowadzący „serwis informacyjny” Bayraktar News (czyli cykliczny skecz Kwartału 95) zastanawiali się, czy został on rzeczywiście zaatakowany czy może „postanowił przeprowadzić referendum i wyjść ze składu Federacji Rosyjskiej”. Pytany o to „rzecznik FSB” zapewnia, że wokół mostu ustawiono niezliczone systemy obrony przeciwlotniczej, bo... nie wiadomo, który z nich działa. Prawdopodobnie uderzenie w ukochaną inwestycję Putina miało być „prezentem”

Бункер - 1 серия - СВО. Премьера сатирически-патриотической комедии



na jego urodziny. Prowadzący Bayraktar News złożyli jubilatowi życzenia: „Żeby tobie nie tylko nie stał, ale nawet nie wisiał. A przede wszystkim zdrowia – niech go wystarczy na tyle, żebyś zobaczył na własne oczy, jak Siły Zbrojne Ukrainy wyzwalają Donbas i Krym”.

KWARTAŁ 95 I INNI

Awangardą regularnej „armii komików” jest niewątpliwie studio Kwartal 95, którego założycielem i wieloletnim frontmanem był Wołodymyr Zelenski. Byli współpracownicy obecnego prezydenta kiedyś wyśmiewali zarówno tępotę i wiernopoddanie Rosjan wobec dyktatorskiej władzy Putina (organizując „wybory Putina Federacji Rosyjskiej”) czy okupację Krymu (pokazując prymitywnych Rosjan, spędzających wakacje na opustoszałym półwyspie), jak i ukraińską scenę polityczną oraz ukraiński charakter narodowy. Po 24 lutego skupiają się niemal wyłącznie na tym pierwszym kręgu tematycznym. Kiedyś był to humor adresowany do widza rosyjskojęzycznego. Dziś komici używają wyłącznie ukraińskiego, chyba że wcielają się w rolę Rosjan.

Wojnę przedstawiają m.in. w serialu patriotyczno-komediowym „Bunker”. W tytułowym bunkrze na Uralu ukrywa się oczywiście Putin, tak przerażony,

że zamiast iść do toalety, wypróżnia się do walizki, przy biurku. Z najbliższymi współpracownikami łączy się w formie wideo. Ich wypowiedzi tłumaczone są przez lektora nie tylko z rosyjskiego na ukraiński, lecz także z języka propagandy na język realiów. Gdy Szojgu melduje gotowość do specoperacji, znaczy to, że „rosyjscy bezdomni już są ubrani w czyste ciuchy i czekają, aż im oczy naciągną na dupę”. Gdy Putin zapowiada w przemówieniu: „Zdenazyfikujemy i zdemilitaryzujemy Ukrainę”, lektor wyjaśnia: „Rosyjska biomasa użyźni ukraiński czarnoziem”.

Łukaszenka, „kartoflana dziwka Putina”, sprytnie wyłudza od niego pieniądze i kombinuje, jak by tu nie wziąć udziału w wojnie, bo woli, żeby Ukraińcy zabijali Buriatów niż Białorusinów – z tymi ostatnimi Bačka sam sobie chętnie pora-

Po śmierci Elżbiety II w Internecie żartowano, że Władimir Putin nie pojedzie na pogrzeb królowej, ale niebawem spotka się z nią osobiście

dzi. Siergiej Szojgu dzwoni do Ramzana Kadyrowa zapytać o postępy na froncie. Kadyrow zapewnia, że właśnie zdobywają Kijów. Szojgu nie daje się oszukać – za plecami czeczeńskiego przywódcy jak byk widoczne są góry Kaukazu (to nawiązanie do słynnego zdjęcia, na którym Kadyrow rzekomo jest już na Ukrainie, ale w tle widać logo rosyjskiej stacji benzynowej). „Góry zobaczył, a jak w armii kradną, to nic nie widzi” – myśli Kadyrow.

To bodaj najchętniej parodiowana przez ukraińskich satyryków postać. W jednym ze skeczów dostaje się do niewoli. Umiera ze strachu i gęsto się tłumaczy: „Nagrywałem tik-toka za tik-tokiem i nagle przypadkiem znalazłem się na Ukrainie”. W końcu przyznaje, że chciał podbić, ale nie całą Ukrainę, tylko „obwód czerniowiecki” (Czerniowce nie są stolicą obwodu, ale Kadyrow oczami satyry to skończony głupek), bo liczył na łup w postaci czarnych owiec. To jeden z wielu przypadków, gdy Kwartal 95, wyśmiewając Kadyrowa, nawiązuje do prymitywnych stereotypów o rzekomo zoofilskich preferencjach muzułmanów.

W innym skeczu prosty szeregowiec Wania z głębokiej, zapadłej prowincji (a tak, według Ukraińców, można nazwać całą Rosję poza rogatkami Moskwy) wraca do ukochanej żony w kawałkach. W miejsce amputowanej ręki przyszyto mu rękę

■ Buriata (która cały czas kradnie – kolejny stereotyp), a od pasa w dół zamienił się ciałem z rannym kadyrowcem. Dlatego, gdy żona próbuje go zaciągnąć do łóżka, on, nie mogąc się podnieść, prosi ją, by ubrała przebranie owieczki, w którym ich córka występowała podczas szkolnego przedstawienia.

DRUGA ARMIA ŚWIATA, JEDNA SKARPETA

Wątek Wani i jego żony Nastii to ostra satyra na „zwykłych Rosjan”. Bo „dla każdej ukraińskiej kobiety mąż to radość, duma i wsparcie. A dla rosyjskiej – łada kalina”, otrzymana w ramach odszkodowania za poległego żołnierza. Nastia już miała ułożyć sobie nowe życie – umówiła się do dentysty, przespała z kolegą męża, nie mogła się doczekać, aż usiadzie za kierownicą nowego auta. Ale, ku jej rozpaczy, Wania przeżył. Tyle dobrego, że prezent przywiózł – muszlę kłozetową. Postawili ją przy oknie, żeby sąsiedzi zazdrościli. Wcześniej obiecywał, że załatwi mieszkanie z toaletą w Kijowie, przy samym Chreszczatyku. Ale nawet gdyby Kijów zdobyli, to wszystkie te „apartamenty” zarezerwowała sobie generalicja. Pocciwy Wania brał też udział w okupacji strefy czarnobylskiej. Znalazł tam supernowoczesne radio, którego w Rosji by nie kupił. Problem w tym, że cały czas trzeszczało. W rzeczywistości był to bowiem licznik Geigera, ostrzegający przed rosnącym promieniowaniem.

Głupota Wani i generalnie raszystów jako żywo przypomina bohatera „Zapiszków oficera Armii Czerwonej”. Satyrycy Kwartału, komentując przypadek rosyjskich żołnierzy pijących z kieliszków płyn do czyszczenia podłóg, zastanawiali się, co posłużyło jako zakąska – kapsułki do zmywarki czy może proszek do prania.

Częstym tematem żartów są fatalne wyposażenie armii agresora i jej nieudolność. Ukraińscy rolnicy i Cyganie kradną rosyjskie czołgi przy użyciu ciągników. Twórcy memów sławią zwycięstwa „wojsk traktorowych”. Podczas gdy Rosjanie wylatują w powietrze od własnych pocisków, Ukrainę rozminowuje pies Patron, lepiej ubrany niż większość żołnierzy Putina. Jeden z takich żołnierzy w skeczu Kwartału, podczas przesłuchania w niewoli, opowiada Ukraincom, że na 400 osób w oddziale było tylko 50 kompletów odzieży. „Dowódca powiedział, że do zimy i tak więcej z nas nie przeżyje” – tłumaczy Jeniec. Brakowało nawet skarpet: „Jesteśmy drugą armią

świata, więc każdy dostał drugą skarpetę. Gdybyśmy byli pierwszą, dostalibyśmy i pierwszą”. Jeniec wyznaje, że aby nie zamarznąć, żołnierze uprawiali seks.

W skeczach z homoseksualizmem w tle pojawia się też słynący z niechęci do gejów Łukaszenka. W skeczu, pokazującym wersję rozwoju wydarzeń po ostatecznym zwycięstwie Ukrainy, Baćka musi wybrać pięć pozycji spośród 25 kart przedstawiających gejowską pornografię. Przedmiotem żartów jest uległość białoruskiego przywódcy wobec rosyjskiego prezydenta. „Putin bardzo się boi łaskotania w tyłek Łukaszenka doskonale o tym wie. Ale wąsów nie goli”. Obaj występują w teleturnieju „Kto chce zostać dyktatorem” na antenie stacji Haga TV (nawiązanie do Międzynarodowego Trybunału Karnego). A w rzeczywistości – w skeczu Kwartału. Na ekranie pojawiają się nazwiska dyktatorów i przyczyny ich śmierci. Tylko przy Putinie jest znak zapytania. Łukaszenka, głowiąc się nad rozwiązaniem quizu, zastanawia się: „A może zapomną panu do limuzyny wsadzić butów na obcasach, będzie się pan wstydził wysiąść i ugotuje się pan na śmierć w czarnym rozgrzanym aucie jak pies. Albo czymś się pan udławi” – tu prowadzący dodaje „Ukrainą”, co wywołuje aplauz publiczności.

ŚMIECH Z SAMYCH SIEBIE

„Ukraińcy i Rosjanie bardzo się od siebie oddalili. Na szczęście mamy broń dalekiego zasięgu” – żartował Koszowyj w jednym z występów. Ukraińcy śmieją się też z tego, jak są postrzegani przez Rosjan. W skeczu Kwartału zwyczajna ukraińska rodzina zjada na śniadanie swoje ulubione danie – rosyjskie niemowlę. Potem wspólnie wszyscy czytają „Mein Kampf”, a dzieci jadą do szkoły banderomobilem z bronią maszynową w plecakach. Rodzice po pracy idą na paradę gejowską, wieczorem uprawiają seks w pozie swastyki, przed snem modlą się do ikony Bandery, a nazajutrz, na rozkaz prezydenta, sami bombardują swoje domy pod wpływem narkotyków. W międzyczasie odbierają telefony z Waszyngtonu – przecież każdy na Ukrainie ma swojego amerykańskiego kuratora.

Ukraińcy parodiują nie tylko swój propagandowy obraz, lecz także samych siebie. Na przykład tych, którzy uchylają się od służby wojskowej. Do mieszkania Ukrainki włamuje się Ukrainiec w mundurze i oznajmia, że będzie tu stacjonować i bronić jej przed raszystami. Problem w tym, że akcja rozgrywa się we Wrocławiu. Niedoszły żołnierz próbuje się tłumaczyć, że przecież Putin może kiedyś napaść Polskę. Mówi, że jest wolontariuszem. Przewozi auta. Tyle że nie na Ukrainę, gdzie są potrzebne, a z Ukrainy do Polski. „Inaczej nie da się zarobić” – przyznaje, a publika wybucha śmiechem. Wdzięcznym tematem do żartów jest również popularny doradca szefa biura prezydenta Ołeksij Arestowycz. Kwartałowcy śmieją się z jego sposobu mówienia. Zapowiadają kolejne wystąpienie Arestowycza, ale na ekranie widać tylko kota, który cichutko mruczy pod nosem. Zupełnie jak oryginał. W przyszłości, w wolnej, demokratycznej Rosji odbędą się wybory prezydenckie, w których do drugiej tury wejdzie Arestowycz, ale przegra, bo nikt nie zrozumie, co ma do powiedzenia.

22 stycznia 2022 r. „Wiadomości z przyszłości” prowadzą satyrycy Iryna Soponaru i Ołeksandr Tkacz. Ukraina wygrała wojnę. W kijowskim zoo urodziło się dziecko Siergieja Ławrowa i kobyły (Ławrow nazywany jest „koniem” z powodu wyglądu). Kremlowska propagandystka Olga Skabiejewa zmieniła płeć i „teraz jest kobietą”. Olaf Scholz obiecuje Zełenskiemu, że jutro to już na pewno przyśle broń. Ale to już nieaktualne, bo nie ma z kim walczyć. Rosję na mapie zastąpił wchodzący w skład Ukrainy obwód moskiewski. Żeby poniżyć pokonanych, na gubernatora wyznaczono Ołeksandra Poworozniuka – prostego rolnika spod Kirowohradu, który zasłynął tym, że na początku wojny nagrał apel do Zełenskigo o treści: „Wowa, napierdalaj ich, a my ci pomożemy!”. Putin nie żyje i miał być pochowany na placu Czerwono-czarnym (tak, w nawiązaniu do UPA, nazywa się teraz plac Czerwony). Macron zaproponował, by zwłoki zabalsamować. Chciał, jak zwykle, pomóc Putinowi zachować twarz. Trumnę miał nieść Miedwiediew, bo – jak przyznał – „ja i ran'sze (wcześniej) chierniu nios, to i siejczas (teraz) poniesu” (gra słów – „nieści chierniu” znaczy dosłownie „nieść gównem”, czyli opowiadać bzdury). Ostatecznie pogrzeb odwołano. A ciało Putina wyrzucono pod cmentarzem dla zwierząt.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**Satyrycy Kwartału
komentują przypadek
rosyjskich żołnierzy
pijących z kieliszków płyn
do czyszczenia podłóg**

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA
STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNERZY GŁÓWNI:



WSPÓŁORGANIZATORZY:



PARTNERZY:



Fundacja



PATRONAT
MEDIALNY



TELEWIZJA
POLSKA

eprasa.pl/d472366061



Jan Bogatko z Berlina

Niemcy straciły swego „sąsiada” w relacjach gospodarczych – Rosję, więc lewicowy rząd w Berlinie stawia na towarzyszy w Pekinie. Jednak nie bez zgrzytów nawet we własnym obozie

Dzięki gigantycznym inwestycjom w krajach całego świata, a także w przestrzeni kosmicznej Chiny konsekwentnie realizują swój cel, którym jest osiągnięcie pozycji supermocarstwa i globalnego lidera. Coraz częściej pozostawiają w tyle nie tylko Europę, lecz także Stany Zjednoczone, które Pekin ma jakoby wyprzedzić w 2049 r.

Zdaniem wielu ekspertów największą gospodarką świata, którą są komunistyczne Chiny, to już nie tylko ważny gracz gospodarczy, lecz także polityczny. Z pewnym zdziwieniem Niemcy zauważyli, że czas nie stanął w miejscu. O Kiauczou, epoce niemieckiej kolonialnej potęgi w Chinach przed pierwszą wojną światową, przypomina jedynie knajpa w Berlinie. Teraz imperium kontratakuje, lecz Niemcy tego nie dostrzegają. „Gospodarka to nie polityka” – uważają. Do niedawna także Nord Stream 1 i 2 to były projekty gospodarcze. Zgoda, nie dla wszystkich. Wyjątki się zdarzały.

Komunistyczne Chiny to także potęga w handlu i transporcie morskim. Stratedzy w Pekinie z państwowego koncernu China Ocean Shipping Company (COSCO) zainteresowali się (po Pireusie) teraz portem w Hamburgu. Ponad rok temu podpisano umowę chińsko-niemiecką w sprawie przejęcia w nim znacznych udziałów. Rząd w Państwie Środka, zniecierpliwiony opieszałością niemieckiego partnera, zaczął wywierać dyplomatyczną presję na Berlin na rzecz wyrażenia zgody na przejęcie przez chińską firmę 35 proc. terminala kontenerowego. Co z tą współpracą? – uskarża się Pekin w wydanym oświadczeniu przez MSZ. Realna, pragmatyczna współpraca czy tylko czczy gadanina?

GRECKI PRZYKŁAD

Może na niektórych decydentów w Berlinie odstraszało wpłynąć przykłady Pireusu? To historia sięgająca roku 2016, kiedy



Port w Hamburgu

to Chiny, wykorzystując kryzys grecki, za 368,5 mln euro kupiły (przez koncern COSCO) 67 proc. portu w Pireusie.

Port zmieniał właściciela dwuetapowo: najpierw, za nieco ponad 280 mln euro, COSCO kupił 51 proc. portu w Pireusie, a kolejne 16 proc. po pięciu latach za 88 mln, co było gwarancją realizacji inwestycji w porcie dotkniętym kryzysem. Dzięki chińskim inwestycjom Pireus stał się największym portem na Morzu Śródziemnym. Sukces ma swoją cenę: zależność od komunistycznych Chin widać gołym okiem. Ateny alergicznie reagowały na doniesienia o rosnącym wpływie Chin na Grecję. „Czy Grecja, ponosząc wielkie ofiary w związku z odbudową swej gospodarki, musi za to przeproszać, że przyciąga chińskie inwestycje, nawet jeśli te są wielokrotnie niższe od tych, jakich dokonują Chiny w Niemczech i w innych państwach?” – pisała ambasada Grecji do redakcji „FAZ” pięć lat temu.

Chiny mają udziały w wielu portach europejskich, np. w Hawrze i Dunkierce, Antwerpii i Brugii, a także w Hiszpanii czy we Włoszech. „To rodzi ryzyko, np. w przypadku eskalacji między Pekinem a UE” – uważa korespondent dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung” w Wiedniu, Michael Martens.

Czy przykład Pireusu skutecznie wystraszy Niemców? To raczej mało prawdopodobne, mając na uwadze rosyjską lekcję. Aczkolwiek znawcy przedmiotu przestrzegają, jak np. Philipp Mattheis, niemiecki dziennikarz rezydujący w Szanghaju. Na łamach berlińskiej gazety „Die Welt” Mattheis stwierdził, że jeśli chiński koncern państwowy rzeczywiście przejmie 35 proc. terminala kontenerowego w porcie hamburskim, to będzie to „stopa w drzwiach”.

TARCIE W KOALICJI I RZĄDZIE

W związku z „aferą portową” wzrasta tarcie nie tylko we wzajemnych relacjach obozu rządzącego z opozycją, lecz także między koalicjantami w ławach rządowych (Robert Habeck, wicekanclerz, i szefowa dyplomacji Annalena Baerbock kontra kanclerz Scholz). Opozycja jest przeciwna geszefotom z komunistycznymi Chinami i zarzuca kanclerzowi, że gra na zwłokę. Ale i w obozie CDU Scholz ma zwolenników. Należy do nich Daniel Günther, premier rządu krajowego w Szlezwiku-Holsztynie. „Dla nas w Szlezwiku-Holsztynie jest sprawą ważną, by port w Hamburgu odniósł sukces gospodarczy, że będzie się tam też inwestować” – mówi Günther w audycji TV ARD „Bericht

Xi Jinping und Bundeskanzler Olaf Scholz

Wideokonferencja prezydenta Chin Xi Jinpinga z kanclerzem Niemiec Olafem Scholzem, 9 maja 2022 r.

FOT. YUE YUEWEI/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM



będzie chiński?

aus Berlin" („Raport z Berlina"). Na tym tle nie dziwią owacje dla „China Connection" ze strony towarzyszy z SPD: szef partii kanclerskiej Lars Klingbeil przestrzega przed wyciąganiem zbyt pochopnych wniosków ze sprawy COSCO. Jego zdaniem debatę prowadzi się w wielkim skrócie, kiedy mówi się np. o „wyprzedaży portu hamburskiego". Socjalista Klingbeil w Radiu Deutschlandfunk mówił: „Chodzi tu jedynie o udział mniejszościowy w jednym z terminali, a nie o oddanie Chińczykom krytycznej infrastruktury". Kanclerz Olaf Scholz z początkiem listopada na czele wielkiej delegacji gospodarczej udaje się do Chińskiej Republiki Ludowej.

Zdaniem Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii chińska oferta przejęcia udziałów w terminalu kontenerowym wmanewrowuje port w Hamburgu w trudną sytuację. „Jeśli COSCO twierdzi: będziecie uprzywilejowanym portem, jeśli zgodzicie się na nasz udział, to naturalnie rodzi się pytanie, jakie skutki przeniosłaby odmowa zgody na to przejęcie udziałów" – powiedział Rolf J. Langhammer, ekspert z kilonńskiego Instytutu Gospodarki Światowej, w wywiadzie dla stacji NDR (Norddeutscher Rundfunk). Jego zdaniem zależność od Chin (ChRL) jest dla Niemiec groźna.

Badacz zagadnień handlowych w IfW w Kilonii zwraca uwagę, że zależność wielkich niemieckich gałęzi gospodarki od biznesu w komunistycznych Chinach może w niedalekiej przyszłości urosnąć do rangi problemu. Langhammer podkreśla, że niemieckie firmy weszły na drogę groźnej zależności od dobrej woli chińskiego kierownictwa. Obsługujące one w istocie geopolityczne roszczenia Chin, transferując know-how do Państwa Środka – do tego w każdym czasie mogą zostać wypchnięte z rynku przez miejscowe przedsiębiorstwa.

Langhammer na dowód przytacza dane statystyczne – od lat 90. ubiegłego wieku liczba niemieckich firm córek i zakładów produkcyjnych w ChRL permanentnie wzrasta. 7 proc. wszystkich zagranicznych inwestycji niemieckich ma miejsce właśnie w Chinach. Langhammer określa ich wartość na 89 mld euro (rok 2019), a jeszcze w roku 2000 na Chiny przypadał zaledwie 1 proc. niemieckich inwestycji zagranicznych. „Czy Niemcy nie powinni pójść śladem USA i omijać czerwone Chiny szerokim łukiem?" – pyta Langhammer. I zauważa: „USA, mimo że są największym zagranicznym inwestorem na świecie, nie okazują zainteresowania chińskim regionem

wzrostu, stawiając natomiast na inwestycje w Europie. W 2020 r. zaledwie 2 proc. wszystkich amerykańskich inwestycji zagranicznych popłynęło do ChRL (110 mld euro)".

Langhammer dodaje, że wstrzymanie Amerykanów tym bardziej zadziwia, biorąc pod uwagę fakt, że czerwone Chiny są jednym z najbardziej dynamicznych regionów wzrostu na świecie i stanowią lukratywny rynek zbytu. Najwidoczniej zbyt wielkie są obawy przed wykorzystaniem USA przez Chiny dla jednostronnego transferu wiedzy czy przed kradzieżą przez Pekin wrażliwych i istotnych dla bezpieczeństwa państwa informacji.

Langhammer wskazuje, że USA prowadzą kontrole inwestycyjne pod kątem bezpieczeństwa narodowego nie tylko wobec firm zagranicznych, które chcą się osiedlić w USA. Temu samemu postępowaniu podlegają firmy amerykańskie, udające się za granicę. Chodzi tutaj o zapewnienie, że wskutek tej działalności nie trafią w obce ręce wrażliwe dane. Tymczasem Niemcy regulują w ustawie o handlu zagranicznym jedynie działalność zagranicznych firm w kraju, a nie inwestycje niemieckich firm za granicą. Z kolei Chiny namawiają zagraniczne przedsiębiorstwa, by te dostarczały na chiński rynek produkty nie tyle przez handel, ile przez firmy córki działające na miejscu.

A co z Hamburgiem? Szef Grupy Krajowej CSU Alexander Dobrindt wezwał kanclerza Scholza, by ten zakazał geszeftu z Chinami: „Sprzedaż magazynów gazu Rosjanom powinna posłużyć tu za przestrożę. Jednostronna zależność od jednego regionu świata daje możliwość szantażu i rodzi wrażenie potęgi u drugiej strony" (Dobrindt w „Welt am Sonntag"). Szef CDU, Friedrich Merz, wysłał okólnik e-mailowy, w którym zwraca uwagę na zaskakujący moment biznesu portowego: „Chiński koncern państwowy otrzymuje dostęp do wrażliwych danych komunikacji morskiej w porcie hamburskim. I do tego w chwili, kiedy komunistyczna partia w Chinach ponownie zaostrzyła agresywny ton w polityce zagranicznej i grozi wojną Tajwanowi".

Na razie wszystko wskazuje w kwestii kontrowersyjnej inwestycji ChRL w porcie hamburskim na kompromis. COSCO przejmie jedynie niespełna 25 proc. udziałów w terminalu kontenerowym. Ale stopa w drzwiach jest faktem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

PIOTR WŁOCZYK: Czy 7 października 2022 r. przejdzie do historii światowych stosunków gospodarczych?

DR JAKUB JAKÓBOWSKI: Jeszcze parę lat temu uderzenie tego rozmiaru zdominowałoby globalną debatę i media pełne byłyby analiz na ten temat. Dziś już tak nie jest, ponieważ ostatnie sankcje wobec chińskiego sektora produkcji procesorów, bodaj najmocniejsze uderzenie do tej pory, są już kolejnym ciosem gospodarczym w całej serii restrykcji, które spadły w ostatnich latach na Chin. Najnowsze sankcje to cios w samo serce chińskiego ekosystemu tworzenia półprzewodników.

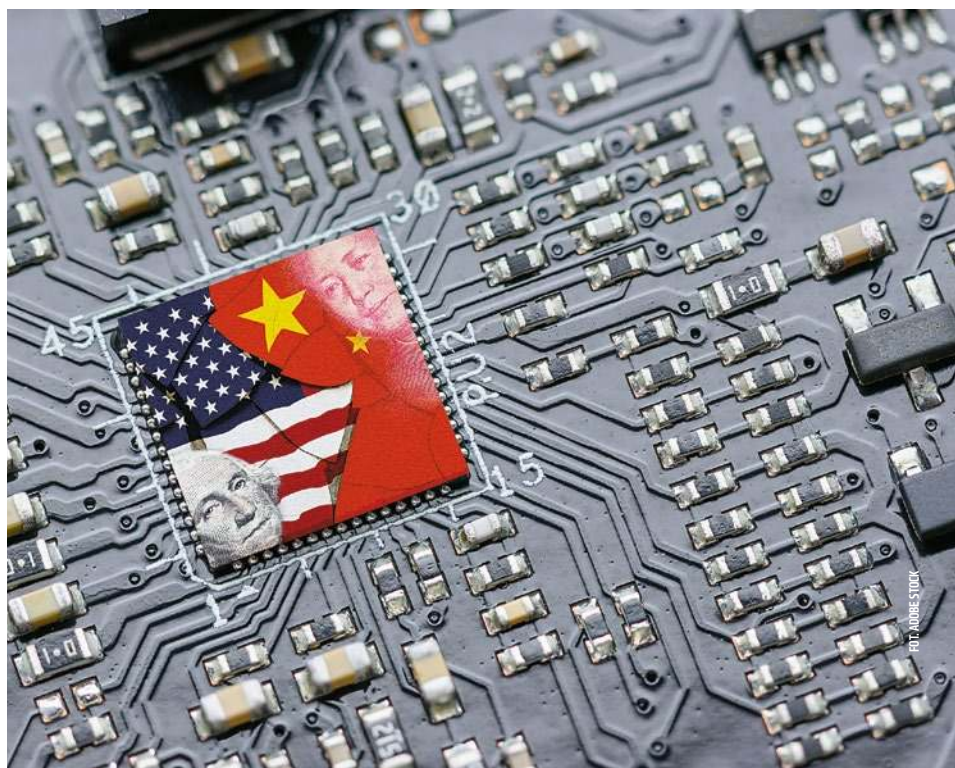
Sektor ten był poddawany ostrym restrykcjom już przez administrację Trumpa. Co się zmieniło w tej kwestii?

Amerykanie do tej pory uderzali w konkretne firmy, jak Huawei czy SMIC, lub też w konkretne rodzaje produktów, np. procesory konieczne do budowy sztucznej inteligencji. Najnowszy pakiet restrykcji jest bardzo szeroki i nakierowany jest na użycie wszystkich atutów technologicznych Ameryki, by zdusić chińskie próby stworzenia własnego sektora produkcji półprzewodników. W tym wymiarze jest to niezwykle istotny krok w wojnie technologicznej między USA a Chinami.

Niektórzy eksperci porównują to wręcz do wprowadzenia przez USA w lipcu 1941 r. embarga na sprzedaż ropy do Japonii, co z kolei sprawiło, że Japończycy – rozumiejąc, że ich gospodarka może niedługo runąć – zdecydowali się na rozpoczęcie wojny z Ameryką...

Według mnie to jeszcze nie jest porównywalny moment. Chiny są ogromnym importerem procesorów. Ponad 80 proc. ich zużycia przez rodzimy przemysł pochodzi z importu. Głównie z USA, Tajwanu, Korei i Japonii. Restrykcje, które obecnie obserwujemy, nie uderzają jednak bezpośrednio w dostęp Chińczyków do procesorów ze świata. To zresztą zostało zrobione przez Amerykanów celowo. Gdyby bowiem administracja Bidena całkowicie odcięła Chińczyków od procesorów, to mielibyśmy do czynienia z sytuacją podobną do amerykańskiego embarga sprzed Pearl Harbor. Taki krok zniszczyłby cały chiński przemysł elektroniczny.

To, co zrobiła administracja Bidena, to próba zduszenia produkcji procesorów, która znajduje się w samych Chinach. Rozwój własnego sektora procesorowego miał być dla Pekinu swego rodzaju



Z dr. Jakubem Jakóbowskim, analitykiem z Ośrodka Studiów Wschodnich, znawcą gospodarki Chin rozmawia Piotr Włoczyk

Cios w serce chińskiej gospodarki

polisą na przyszłość. Chińczycy mają bowiem świadomość, że procesory dostarczane z zewnątrz są w mniejszym lub większym stopniu zależne od Amerykanów. USA kontrolują technologię i wła-

śność intelektualną w tym niezwykle wyspecjalizowanym sektorze gospodarki. Amerykanie mają więc narzędzia do tego, by skutecznie zakazać dostarczania procesorów do Chin.

Ale taki gospodarczy odpowiednik bomby atomowej oznaczałby oczywiście ogromne koszty właściwie dla całego świata, nie tylko dla Chin. Czy to jakkolwiek realny scenariusz?

Odcięcie Chin od mikroprocesorów z zagranicy oznaczałoby zatrzymanie dużej części globalnej gospodarki i Amerykanie na pewno rozumieją, co by to oznaczało również dla nich samych. Wprowadzając najnowsze restrykcje, Amerykanie powiedzieli wprost, że chodzi o takie działania, które minimalizuje negatywne efekty dla gospodarki światowej, w tym dla sojuszników USA. Te restrykcje dotyczą bowiem jedynie chińskich firm. Tajwańczycy i Koreańczycy, którzy mają fabryki w Chinach, dostali od Waszyngtonu licencje – najczęściej na rok – by utrzymać produkcję. W 2020 r. w Chinach produkowano ok. 16 proc. procesorów, które zużywają Chiny. Z tego dwie trzecie wytwarzają w Państwie Środka zagraniczni inwestorzy – głównie Tajwańczycy i Koreańczycy.

Na pewno wprowadzenie tych restrykcji schłodzi apetyty zagranicznych inwestorów, by produkować półprzewodniki w Chinach.

Czy Biden może być zadowolony z pierwszych efektów sankcji?

Wprawdzie nie opadł jeszcze „kurz” po tym uderzeniu, ale już widać, że przedstawiciele chińskiej branży procesorowej malują katastroficzny scenariusz. W Chinach funkcjonują setki firm, które próbują wytwarzać procesory lokalnie. Zdecydowana większość tych firm opiera swoją produkcję na maszynach do drukowania procesorów na krzemie oraz oprogramowaniu pochodzących z USA. Amerykanie mają tu absolutnie dominującą rolę. Pierwsze reakcje wskazują, że amerykańskie sankcje będą dla Chińczyków druzgocące. Amerykanie nie tylko bowiem wprowadzili sankcje na technologię i na produkty, lecz także restrykcje dotyczą kapitału ludzkiego. Specjaliści z tej branży posiadający amerykańskie obywatelstwo lub rezydenturę potrzebują od teraz licencji na pracę w chińskich firmach. W ten sposób wstrzymane zostało serwisowanie fabryk w Chinach, a także wielu czołowych specjalistów pracujących w chińskich firmach musieli z dnia na dzień odejść, by uniknąć poważnych problemów prawnych w USA.

Wygłada na to, że wiele firm produkujących procesory, w które Chiny zainwestowały w ostatnich latach prawie 100 mld dol., przerwie produkcję. Co

To, co zrobiła administracja Bidena, to próba zduszenia produkcji procesorów, która znajduje się w samych Chinach

ważne – w czasie, gdy Chiny będą miały ogromne problemy na tym polu, Zachód, przede wszystkim USA, cały czas będzie się rozwijał i powiększał dystans technologiczny.

Jak Chińczycy mogą próbować przeciwdziałać sankcjom? Czy nielegalne kopiowanie technologii, które tak świetnie im wychodzi w innych branżach, jest tu wyjściem?

Chińczycy znani są ze szpiegostwa technologicznego i odnieśli na tym polu duże sukcesy. Technologia produkcji zaawansowanych procesorów jest jednak tak niezwykle skomplikowana – dochodzi w niej do manipulowania przy pojedynczych atomach – że kopiowanie nie przyniesie dobrych rezultatów. Możemy sobie raczej wyobrazić, że Chińczycy będą się starali oddziaływać „prośbą i groźbą” na sojuszników USA, którzy działają prężnie w tej branży, a także będą tworzyć łańcuszki pośredników, by sprowadzać technologie objęte sankcjami. Czarny rynek technologii procesorowej na pewno urośnie, choć trzeba też wiedzieć, że najbardziej skomplikowane procesory zazwyczaj wytwarzane są „na wymiar”.

Czy to wszystko nie oznacza, że Tajwan jest tym bardziej zagrożony atakiem?

To nie jest takie proste. Przejęcie najbardziej zaawansowanych fabryk procesorów, które mieszczą się na Tajwanie, byłoby skrajnie trudne. Amerykanie otwarcie mówią już zresztą o planach ewakuacji specjalistów i najważniejszych maszyn. Z kolei to, czego nie można wywieźć, zawsze można zniszczyć.

Jeżeli w normalnych warunkach Chiny nie były w stanie osiągnąć autonomii w kwestii produkcji procesorów, to czy to oznacza faktyczny koniec wielkich planów Xi Jinpinga w tym zakresie?

Kilka la temu Pekin ogłosił, że do 2025 r. 70 proc. zużywanych przez Chiny procesorów będzie produkowane na miejscu. Obecnie lokalnie produkowane jest nie więcej niż 20 proc. Mimo wyda-

nia ogromnych środków niewiele udało się osiągnąć. Widać, że chińskie próby uzyskania autonomii w produkcji procesorów nie są skuteczne. W ostatnich latach pojawiały się wielokrotnie zarzuty dotyczące korupcji i marnotrawienia ogromnych pieniędzy z Pekinu. Chińskie władze są bardzo niezadowolone z tego, jak wyglądała sytuacja jeszcze przed amerykańskimi sankcjami. Mimo że wcześniej było już wystarczająco trudno, teraz będzie to jeszcze bardziej karkołomne zadanie. Stworzenie autonomii procesorowej jest niezwykle skomplikowane. USA i ich sojusznicy łączą zasoby i współpracują ze sobą, a Pekin jest tu skazany na samodzielny wysiłek.

Jakiej odpowiedzi możemy się spodziewać ze strony Chin?

W związku ze zjazdem KPCh Chinom było trudno szybko zareagować w tym przejściowym okresie. Właściwie poza werbalną krytyką tego kroku przez chiński rząd nie widzieliśmy prawdziwej reakcji. Ta jest jeszcze przed nami, bo trudno mi sobie wyobrazić, że Pekin nie odpowie na tak silny cios.

Czy Chińczycy dysponują odpowiednimi narzędziami, by symetrycznie uderzyć Amerykanów?

Nie, ale Chińczycy mają po swojej stronie wiele atutów. Może dojść do retorsji wobec amerykańskich firm działających w Chinach. Tamtejsze władze mogą im ograniczyć dostęp do własnego rynku. Mówi się też o odcięciu amerykańskich podmiotów od specjalistycznych surowców, np. metali ziem rzadkich. Chińczycy posiadają rozwinięty przemysł oczyszczający te rudy. Możemy tu wręcz mówić o chińskiej dominacji. Musimy pamiętać, że to bardzo brudny przemysł i dlatego „wyemigrował” on w znacznym stopniu z USA do Chin. Metale ziem rzadkich nie są wbrew pozorom aż tak rzadkie, natomiast większym problemem jest przetworzenie ich, co jest bardzo obciążające dla środowiska i wymaga wielkich nakładów. Wiemy już, że w realiach wojen gospodarczych Chińczycy są bardzo innowacyjni i mogą nas tu jeszcze bardzo zaskoczyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Jakub Jakóbski

jest głównym specjalistą w programie chińskim Ośrodka Studiów Wschodnich.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kiedy Polska zbankrutuje?

Od pewnego czasu pojawiające się w dyskursie pytanie: „Czy Polska zbankrutuje?” zastępowane bywa przez inne pytanie; przez pytanie nieporównanie groźniejsze w skutkach dla polskich podatników, którzy za każde bankructwo swego państwa muszą potem przez długie lata, a czasami całe dekady słono płacić, spłacając jego długi. Otóż pytanie: „Czy Polska zbankrutuje?” zastępowane bywa ostatnio przez pytanie: „Kiedy Polska zbankrutuje?”.

No i w sumie trudno się dziwić, że doszło do tej zmiany, zważywszy na nieroztropną – delikatnie mówiąc – politykę fiskalną, prowadzoną od kilku lat przez polski rząd; politykę niesłychanego rozluźnienia finansów państwa, rozdawnictwa pieniędzy publicznych na skalę, której Polska wcześniej nie znała; i dzięki temu, że jej nie znała, od ponad dwóch dekad – po uzdrowieniu państwa po bankructwie PRL w latach 80. – mogła się cieszyć nie tylko silnym i stabilnym złotym, lecz także nieprzerwanym pasmem rozwoju, którego nie zakłóciły nie tylko niewypłacalność państwa, lecz także zwykła recesja. A bankructw państw na świecie od tamtej pory były dziesiątki.

Ale te złote czasy to już w przypadku Polski przeszłość, historia. Teraz nasze państwo musi się mierzyć z groźbą niewypłacalności, a znaków nadciągającego kataklizmu przybywa. Na czele z dramatycznie rosnącą ceną polskiego długu, który – według Bloomberg’a – radzi sobie „najgorzej na

świecie”. Analitycy tej agencji wskazują, że „Polska w bolesny sposób przekonuje się, co się dzieje, gdy inwestorzy zaczną się bać, że polityczni decydenci na dobre odwrócili się plecami do walki z inflacją, by dorzucić paliwa do ekonomicznego pieca przed zbliżającymi się wyborami”.

Na rynku polskich obligacji doszło niedawno do nie lada załamania – rentowności obligacji 10-letnich przebiły granicę 9 proc.; a im są one wyższe, tym spłata długu więcej kosztuje podatników. O ile jeszcze w latach 2018–2021 na obsługę długu państwa (czyli jedynie na spłatę odsetek od niego) polscy podatnicy wydawali co roku od 22 do 26 mld zł, o tyle przy 9 proc. rentowności musieliby na to wydawać co roku... aż ponad 110 mld zł. A jeśli zważyć, że całe przychody państwa planowane są w 2023 r. na nieco ponad 600 mld zł, to nietrudno zauważyć, w jak wielkich znaleźliśmy się tarapatach.

I, jak się wydaje, ta przynębiająca wiedza nareszcie jakimś cudem dotarła do premiera Morawieckiego. Tak przynajmniej wynikałoby z jego niedawnych słów o tym, że Polska będzie teraz „dążyć do zacieśnienia polityki fiskalnej”. Wszelako dlaczego, u licha, tak późno? Dlaczego kosztem wybuchu tak wielkiej inflacji i tak gigantycznego osłabienia złotego? I czy aby na pewno oznacza to wreszcie kres rozdawnictwa? Rozdawnictwa – dodajmy – głównie na kredyt, z morderczymi odsetkami od niego w wysokości 9 proc.? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Znamienny przypadek Liz Truss

Historia 44 dni Liz Truss na fotelu brytyjskiego premiera (najkrócej od 300 lat) niespecjalnie przebiegała się w Polsce. Dziś może się już z medialnego punktu widzenia wydawać nieświeża, skoro zastępuje ją Rishi Sunak. Nawiasem mówiąc, kilka miesięcy wcześniej to Sunak udzielił konserwatywnemu magazynowi „The Spectator” wywiadu, w którym bardzo krytycznie mówił o bezzasadnej oraz nieopartej na jakichkolwiek

gospodarcze, w tym fiskalne. To bardzo znaczące: Truss tak naprawdę wysadziły z siodła lewicowe media i jak zwykle nieokreślone oraz tajemnicze środowiska, sterujące rynkiem oraz giełdami.

Na początku urzędowania Truss prezentowała – zapewne mocno na wyrost – jako nową lady Thatcher. Tak czy owak, była już premier wydawała się mocno zainspirowana Żelazną Damą. Nie na tyle jednak, żeby przeciwstawić się rosnącej histerii wokół jej planów i ją przetrzymać. A trzeba przypomnieć, że w brytyjskim systemie pomiędzy wyborami parlamentarnymi liderów i zarzem premierów wybierają członkowie rządzącej partii. Truss nie groziła zatem na razie porażka wyborcza, a jedynie bunt na własnym pokładzie.

Pod względem światopoglądowym Wielka Brytania dawno już stoi po stronie sklerotycznie wręcz pojmovanej poprawności politycznej, czego wymownym symbolem są radiowozy w niektórych powiatach, pomalowane w „inkluzywne” tęcze kolorki. Wydawało się natomiast, że ciągle stać ją przynajmniej na pójście pod prąd obowiązującego etatystyczno-socjalistycznego kursu w gospodarce. Jak się okazuje – to także nieaktualne. Liz Truss przypomniano o tym w szczególnie bolesny sposób. ©©

Truss tak naprawdę wysadziły z siodła lewicowe media i jak zwykle nieokreślone środowiska sterujące rynkiem

analizach polityce lockdownów, prowadzonej przez Borisa Johnsona. To było jednak w innej rzeczywistości politycznej, bo teraz w wyścigu do fotela lidera torysów Johnson wycofał się właśnie na rzecz Sunaka.

Wracając do Truss – to prawda, że popełniła wiele błędów wizerunkowych, a niektóre jej ruchy sprawiły wrażenie mocno chaotycznych. To nie powinno jednak przyćmiewać naczelnej przyczyny jej rezygnacji: była to reakcja rynków na jej mocno liberalne propozycje

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl d472366061



Joanna Bojańczyk

Szacunek i powaga sytuacji niewiele mają wspólnego z modą. Mimo rozluźnienia reguł ubraniowych żałobna czerń pozostaje niekwestionowana

Dzisiaj eleganckie są tylko pogrzeby, śluby już nie – powiedział z ponurym westchnieniem przyjaciel moich rodziców, dżentelmen starej daty. Zapewne miał przed oczami kondukt pogrzebowe z lat międzywojennych, czasów jego młodości, na których czele kroczyły damy od stóp do głów w czerni, w kapeluszach i welonach, panowie w czarnych garniturach. Żałoba była oczywista i niekwestionowana, wyskoki nie przychodziły nikomu do głowy. Dzisiaj, w czasach załamania się reguł, amerykanizacji ubrania (dżinsy i bluza dresowa), uroczystości żałobne ostały się jako jedna z nielicznych okazji, kiedy można mieć pewność, że nie spotka się osobnika/osobniczki w wystrzępionych szortach, w podkoszulku z ramiączkami na wierzchu i w białych kozaczkach.

Ubraniowa etykieta żałobna nie jest nigdzie zadekretowana. Większość ludzi wyczuwa jednak, co na tę okazję wypada. Nawet słowo „wypada” znienawidzone przez kontestatorów mieszczańskiego porządku zamiera im na ustach, gdy chodzi o śmierć bliskiej osoby. Jednak i tutaj etykieta się rozluźniła: tylko mężczyźni z najbliższej rodziny starają się być w garniturach, pozostałym wystarczy ciemna marynarka, w chłodnych porach roku – ciemny płaszcz. Sztywna czerń też nie jest już obowiązkowa dla wszystkich uczestników pogrzebu. Dla osób niezwiązanych najbliższymi ze zmarłą osobą szary i granatowy są akceptowalne. Woalki, wszechobecne jeszcze w latach 50. i 60., zostały zastąpione przez ciemne okulary – akcesorium prostsze i równie skuteczne w ukrywaniu oczu zaczerwienionych od łez. Zanika obyczaj czarnej wstążki noszonej na ramieniu przez okres żałoby. Mężczyźni zastępują ją bardziej dyskretną wstążeczką przypiętą do klapy. Coraz więcej osób uważa, że po pogrzebie nie będą nosić się w czarno, bo – jak twier-

Ubranie na smutny czas



Camilla, królowa małżonka, Meghan, księżna Sussex, Jerzy, książę Walii, Katarzyna, księżna Walii, księżniczka Walii Charlotte i Sophie, hrabina Wessex, podczas pogrzebu Elżbiety II

FOT. KARWAI TANG/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

dzą – bliska im osoba wołałaby je widzieć w kolorowym ubraniu.

Jednak niepisana umowa żałobnej czerni obowiązuje od VI w. w krajach chrześcijańskiej Europy. Uważa się, że ma źródło w starożytnym Rzymie; w rytuale kościelnym trwała niezmiennie do średniowiecza, w „cywilu” utrwaliła i spopularyzowała ją w XIX w. królowa Wiktoria, która przez 40 lat nosiła żałobę po mężu, księciu Albercie. Wiktoriańskie wdowy nosiły żałobę przez wiele lat. Poza naszym kontynentem panują inne obyczaje: w Chinach strój żałoby jest biały, w Tajlandii – fioletowy.

W Polsce jeszcze kilkadziesiąt lat temu śmierć była częścią życia. Ludzie, zwłaszcza na wsiach, a także w miastach żyli i umierali w domu. Fakt śmierci był jawny, także wobec dzieci, które uczestniczyły w obrzędzie ostatniego pożegnania. Dziś żyje się dłużej i umiera ciszej, często w szpitalu i równie często samotnie. Czasem najmłodsze pokolenie nie wie, co się stało z babcią albo dziadkiem i co kryje się za enigmatycznym określeniem, że oni „odeszli”. Nastolatkom, wychowanym na grach komputerowych, w których ma się „kilka żyć”, trudno zrozumieć, że realne życie ma się tylko jedno. Dorośli też coraz częściej nie chcą dopuścić do świadomości prawdy o śmierci. Nasza cywilizacja wyparła śmierć.

RYTUAŁ ZAKTUALIZOWANY

To, że wciąż istnieje, przypomnieliśmy we wrześniu: uroczystości żałobne królowej Elżbiety. Rozmach i pompa tego widowiska przypominały dawne czasy; być może już nigdy nie będziemy mogli być świadkami czegoś podobnego, gdyż powszechna jest opinia, że ze śmiercią Elżbiety skończyła się epoka. Zarówno politycznie, jak i obyczajowo.

W Anglii minęło 70 lat od ostatniego równie wspaniałego pogrzebu Jerzego VI, 400 lat od uroczystości żałobnych Elżbiety I, której trumnie towarzyszyli mężowie stanu w czarnych szatach i czarnych wielkich kapeluszach. Nawet konie były pokryte czarnym aksamitem.

W 1952 r. pochowano króla Jerzego VI, ojca Elżbiety. BBC przypominała zdjęcia z tamtego czasu, zauważając, że pogrzeb królowej Elżbiety był w wielu aspektach podobny do pogrzebu jej ojca, choć do rytuału wprowadzono też uproszczenia. Dla Brytyjczyków był to również pierwszy oficjalny pogrzeb od

czasów śmierci Winstona Churchilla w 1965 r.

Pomijając dostojność ceremonii w opactwie westminsterskim, w której uczestniczyły tysiące gości – członków rodziny królewskiej, polityków, osobistości państwowych, pomijając karawany jaguarów, trzy skomponowane na tę okazję utwory muzyczne oraz corgi, ukochane psy królowej, tym, co uderzyło wielomilionową widownię, były stroje. Mieliśmy przed oczami pokaz wielkiej elegancji i wielkiej skromności zarazem. Protokół ubraniowy był ścisły. „Ścisły, najściślejszy z możliwych” – podkreśliła historyczka Marlene Koenig w wypowiedzi dla „The Daily Telegraph”.

Niektóre jego punkty wzbudziły dyskusje. Co z woalką? Czy jest obowiązkowa? Czy mężczyźni mogą nosić kolorowy mundur wojskowy? Za ogólną aprobatą złagodzone punkt protokołu zakazujący kobietom spodni. Kapelusze pozostały obowiązkiem, musiała mu się poddać nawet siedmioletnia księżniczka Charlotte. Jednak tzw. fascynatory, rodzaj przyczepianych do włosów fantazyjnych dekoracji popularnych na ślubach, uznano za zbyt frywolne. Zastąpiono je zwykłymi kapeluszami. Londyńskie modystki przed pogrzebem królowej pracowały dzień i noc. „Najbardziej odpowiednie na tę okazję są rzeczy proste, z dobrego materiału, z krótką woalką. Szacunek i powaga sytuacji mają niewiele wspólnego z modą” – powiedział dziennikowi „New York Times” kapelusznik Stephen Jones. Biżuteria z królewskiej kolekcji u Kate i Meghan może świadczyć o szacunku i ciągłości monarchii. Brylantowe kolczyki u księżnej Sussex, u księżnej Walii potrójny sznur pereł. Mała Charlotte miała przypiętą broszkę w kształcie konika. Perły cieszyły się wzięciem u wielu pań. Potrójny sznur kojarzony z królową, która często go nosiła.

Bliskie osoby z otoczenia królowej – księżna Walii Kate, królowa Camilla – miały ubrania od dawna przygotowane na tę okazję. Jeszcze przed pogrzebem tabloidy zastanawiały się, czy Kate i Meghan włożą coś, w czym już były wcześniej widziane. W rezultacie Kate nosiła suknię-płaszcz z pracowni Alexandra McQueen, a tę samą, którą miała na sobie na uroczystości platynowego jubileuszu Elżbiety II, Meghan ubrana była w suknię o fasonie peleryny od domu mody Stella McCartney. Obie panie wiedziały, że ich strój będzie szczegółowo komentowany. Fakt, że ubierają się w coś, w czym już

kiedyś wystąpiły, w tych sferach może świadczyć o tym, że nie chce się epatować nowymi kreacjami.

„CZARNA BIŻUTERIA”

Do tradycji żałobnej czerni Polska ma swój odrębny wkład. Nie o strój tu chodzi, lecz o „czarną biżuterię”. Pojawia się nie na balach i premierach, ale w trudnych momentach historycznych. W chwilach zagrożenia, walki o zmianę ustroju, o utrzymanie tożsamości narodowej. Nie licytuje się czystością diamentów ani liczbą karatów. Jej materiały są pospolite – żelazo, drewno, róg, szkło lawa wulkaniczna, końskie włosie.

Jej wartość tkwi w symbolu. Jak opornika w stanie wojennym. Kawałek drucika wpięty do kurtki wyrażał wtedy sprzeciw wobec junty gen. Jaruzelskiego, stwarzał symboliczną więź ponad podziałami, pozwalał na rozpoznanie „swoich”.

Obozowa, więzienna zesłańcza biżuteria pozostaje pamiętką wiary i patriotyzmu, dowodem trwania i wierności narodu. To nie tylko polska specjalność, lecz także okres w historii, w którym nasza rodzima twórczość zapisała się szczególnie. W latach 1861–1863, przed powstaniem styczniowym, symbole religijne, żałobne i patriotyczne jednoczą się we wspólnym przesłaniu. Na demonstracyjnie czarnych ozdobach pojawiają się polskie orły, łańcuchy, korony cierniowe, palmy męczeńskie, symbole cnót kardynalnych; krzyż, kotwica, serce, wezwanie „Boże, zbaw Polskę”. Te ekspresyjne ozdoby, w połączeniu z czernią strojów, budują nastrój żałoby narodowej. Czerpiąc z romantycznej „religii patriotyzmu”, ojczyzna uznana zostaje za najwyższą wartość, której należy się religijny kult.

– Należy pamiętać, że tzw. czarna biżuteria pochodzi z lat 1861–1863, czyli z okresu przed powstaniem styczniowym – zwraca uwagę Małgorzata Szuman-Gorczyca z Muzeum Okręgowego w Koninie, autorka pracy „Biżuteria patriotyczna a sprawa polska”. – Po pogrzebie pięciu Polaków zabitych podczas manifestacji patriotycznej w marcu 1861 r. wydano okólnik nakazujący żałobę. Kiedy wybucha powstanie, rodzi się nadzieja na niepodległość. Po powstaniu żałobna czerń jest już żałobą nie symboliczną, narodową, ale prywatną. Kobiety noszą ją po poległych synach, mężach i braciach. Żałoba popowstaniowa nie ma nic wspólnego z żałobą narodową – podkreśla pani Szuman-Gorczyca. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: MOTOROLA EDGE 30 NEO

Ladne wzornictwo, szybkie ładowanie, niewielka waga, kompaktowy rozmiar, łączność 5G oraz dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety smartfona ze średniej półki ze stajni Motoroli.

Motorola Edge 30 Neo to pierwszy model tej marki, który powstał we współpracy z amerykańskim Instytutem Koloru Pantone, specjalizującym się w kolorach dla projektantów mody oraz dla marek na całym świecie. Osoby kochające modne rzeczy mogą więc radować wzrok znacznikiem Pantone na pleckach obudowy wraz z próbnikiem koloru, co ułatwia dobór do smartfona pozostałych elementów garderoby (do wyboru są cztery barwy, w tym kolor roku 2022: Very Peri). Producent tradycyjnie dołącza w zestawie przezroczyste etui. Przód smartfona pokryty został szkłem Gorilla Glass 3. Ramki są bardzo wąskie, dzięki czemu przy całkiem już dużym wyświetlaczu urządzenie zachowuje kompaktowe rozmiary (152,9 x 71,2 x 7,8 mm). Zastosowanie obudowy z tworzywa sztucznego pozwoliło zmniejszyć wagę do 155 g.

Plusem jest także wyświetlacz. Ekran POLED o przekątnej 6,28 cala, rozdzielczości 1080 x 2400 z częstotliwością odświeżania na poziomie 120 Hz oferuje obraz bardzo dobrej jakości. Kolory są śliczne, dobry jest też kontrast.

Zaletą testowanego modelu jest też możliwość szybkiego uzupełniania energii w smartfonie za pomocą ładowarki TurboPower 68 W (jest w zestawie). Pełne ładowanie trwa ok. 40 minut. Smartfon



umożliwia też ładowanie bezprzewodowe (tę ładowarkę trzeba dokupić osobno) i choć ładowanie 5 W to opcja dla cierpliwych, to fajnie, że jest taka opcja w modelu za mniej niż 2 tys. zł. Niezłe spisuje się sama bateria. Mimo pojemności 4020 mAh pozwala na 1,5–2 dni pracy na jednym ładowaniu.

Dobrze, że Motorola zdecydowała się zamontować w tym średniaku dwa stereofoniczne głośniczki działające z wykorzystaniem technologii Dolby Atmos. Jakość dźwięku jak na średniaka jest niezła.

A co z wydajnością? Ten model z pewnością nie został stworzony po to, aby bić rekordy. Ma więc gorsze podzespoły nie tylko od flagowców, lecz także od średniaków z tej półki cenowej. Mimo to jest to smartfon, który po prostu sprawnie i bardzo płynnie działa, nie zawiesza się i nie nagrzewa. Sercem urządzenia jest procesor Qualcomm Snapdragon 695 5G z Adreno 619, wspierany przez 8 GB pamięci RAM oraz 128 GB pamięci wewnętrznej.

Wady? Testowany model nie jest raczej przeznaczony dla fanów smartfonowej fotografii, a już na pewno nie dla miłośników kręcenia filmików wideo. Motorola zastosowała dwa aparaty. Główny o rozdzielczości 64 Mpix (f/1.8) z optyczną stabilizacją obrazu oraz drugi ultraszerokokątny o rozdzielczości 13 Mpix (f/2.2). Liczba detali na fotografiach wykonanych głównym obiektywem wypadła niezłe, ale efekty robienia zdjęć drugim obiektywem, zwłaszcza przy gorszym oświetleniu, są już średnie. Dużo słabiej wypadła jakość filmików wideo. O jakości 4K można zapomnieć, ale i w 1080p filmiki nie wychodzą szczególnie dobrze. Kolejny minus to brak wodoszczelności (IP52). Hydrofobowa powłoka może zaś nie wystarczyć w razie bliskiego kontaktu z większą wodą.

Mimo powyższych wad Edge 30 Neo to niezły smartfon dla osób, które szukają modelu za mniej niż 2 tys. zł. Obecnie za testowane urządzenie trzeba zapłacić 1899 zł. ©© **Jacek Przybylski**

GŁOŚNIKI DWA

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3) Niceboy Raze 2 Twins. Tak nazywa się najnowszy model głośnika Bluetooth firmy Niceboy. Nowy model został tak skonstruowany, że może działać jako jeden głośnik 24 W lub – po rozerwaniu na dwie części – jako dwa głośniki po 12 W każdy. Oczywiście oba elementy można znów łatwo połączyć za pomocą elastycznego etui. Głośnik może działać w trybie mono lub stereo. Gadżet obsługuje Bluetooth 4.2 i według producenta może bez zakłóceń transmitować dźwięk na odległość do

10 m. Nowy model nie boi się nawet krótkiej kąpeli. Klasa wodoszczelności na poziomie IPX7 sprawia, że powinien wytrzymać do 30 minut zanurzenie w wodzie o głębokości 1 m. Można go więc spokojnie wykorzystać do zrobienia jesiennej imprezy w deszczu albo do słuchania muzyki podczas gotowania lub kąpeli.

Cena: 319 zł.



NAWILŻACZ DLA FANÓW DESIGNU

Stadler Form, szwajcarska marka obecna na polskim rynku od 10 lat, zaprezentowała nowy nawilżacz ewaporacyjny. Model Karl ma zapewnić lepsze samopoczucie zwłaszcza zimą, kiedy w ogrzewanych domach i mieszkaniach powietrze robi się zbyt suche, co powoduje podrażnienie oczu, spadek jakości snu etc. Nowe urządzenie występuje w dwóch wariantach: pierwszy jest przeznaczony do pomieszczeń o wielkości do 100 mkw., a drugi – Karl Big o mocy 40 W – może skutecznie nawilżać nawet do 150 mkw. powierzchni. Oba charakteryzują piękne wzornictwo i wysoka efektywność działania. Oboma można też sterować za pomocą aplikacji. Stadler Form Karl kosztuje 1399 zł, a za jego większego brata trzeba zapłacić 1999 zł. ©© **Jacek Przybylski**



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

O dzwonach i dzwonnicach

Dziś, w epoce samochodów i Internetu, głos dzwonu niknie wśród odgłosów cywilizacji. Rzadko kiedy jego brzękliwy głos przebija się przez hałas postępu, w mieście nie sposób go usłyszeć, na wsi odzywa się czasem z okazji świąt kościelnych. Tymczasem jeszcze sto lat temu jego głos niósł się daleko i wysoko, ustalał życie wsi i miasteczek, zwoływał wiernych, ostrzegał przed niebezpieczeństwem, a nawet odmierzał pory dnia. Już w średniowieczu wprowadzono ścisłe zasady dzwonienia. Encyklopedia Glogera streszcza je pokrótce. Dzwony nie powinny zawieszać się na belkach, przytykających do ścian kościoła, lecz w wieży dzwonnicy.

Synod warmiński z roku 1610 postanowił, aby były przed użyciem poświęcone. Bractwa i cechy nie mogą mieć własnych, lecz korzystać powinny z kościelnych. „Świątynie zakonne mogą mieć po jednym dzwonie i to średniej wielkości, do zwoływania ludu na modlitwę, a nie do współzawodnictwa z kościołami parafialnymi lub katedralnymi. Przed nabożeństwem dzwoni się tylko trzy razy. Na »Anioł

Pański« – o wschodzie i zachodzie słońca – daje się znak jednym i tymże samym dzwonem. Trzy razy

dziennie dzwoniono na modlitwę o pokój. Synod chełmiński w roku 1583 nakazuje na nabożeństwie żałobnym za biskupa dzwonić we wszystkie dzwony. Synody żmudzkie (lata 1636 i 1752) nakazują dzwonić przez trzy dni po śmierci prałata lub kanonika. Za umarłych dozwolano dzwonić dwa, a najwięcej trzy razy przez pół kwa-

dransa”. Dodatkowo biskupi polscy zalecali, aby codziennie, w godzinę po zachodzie słońca, uderzano w wielki dzwon na odmówienie parę razy „Ojcze nasz” i „Zdrowaś...” z psalmem „De profundis”.

Wiele z dawnych dzwonów zachowało się w Polsce do dziś, począwszy od najśłynniejszego Zygmunta na Wawelu, ufundowanego przez Zygmunta Starego w 1520 r., być może jako wotum za szczęśliwe narodziny następcy tronu – Zygmunta Augusta. 13 lipca 1521 r. zadzwonił po raz pierwszy, jego wykonanie, a przede wszystkim transport i umieszczenie w wieży Zyguntowskiej było ogromnym wyczynem technicznym. Zygmunt wszakże opisany jest aż do znudzenia w każdym przewodniku po Wawelu, tymczasem po dawnych czasach pozostały nam inne, mniej znane, a równie ciekawe i znacznie bardziej wiekowe. Przede wszystkim jeden z najstarszych, działający obecnie dzwon, który znajduje się w bazylice świętych apostołów Piotra i Pawła w Strzegomiu. Fundatorem jego był w 1318 r., jak podaje Marian Twardowski, brat Przedbor, syn rycerza Sdislava z Chroustoklat z rodu Sternberg, proboszcz i prepozyt klasztoru Benedyktynów w Policach, stąd obiekt ten nazywany jest dzwonem Przedbora, a głos ma zaiste gotycki. Prawdopodobnie też dopiero na początku XIX w. przeniesiony został do strzegomskiej bazyliki, a wcześniej znajdował się we wspomnianym klasztorze Benedyktynów. Na wieży towarzyszą mu dwaj młodszy bracia – Dzwon Pogrzebowy (1424 r.) oraz starszy Dzwon Duży (1405 r.)

Nie są to jednak wcale najstarsze polskie dzwony! W 1999 r., w trakcie badań archeologicznych w Gieczu – uznawanym za jeden z najstarszych grodów w Polsce i być może siedzibę rodową Piastów – odnaleziono fragmenty dzwonu

z XI w., z czasów Bolesława Chrobrego. Szczątki te – fragmenty kielicha i jego krawędzi, a także uchwytu – są pozostałościami instrumentu, który prawdopodobnie został zniszczony w 1038 r., w czasie najazdu czeskiego księcia Brzetysława. Jest to bezsprzecznie najstarszy polski dzwon, ponieważ jednak nie dostrwał do naszych czasów w całości, ustąpić musi młodszemu obiektowi.

Dzwonem być może jeszcze starszym od Przedbora jest przechowywany w Muzeum Archidiecezji Wrocławskiej pochodzący z kościoła św. Jadwigi Śląskiej w Kłobuczynie odlany ok. 1300 r. Zaraz po nim wymienić należy dzwony z Sandomierza – tutaj w kościele św. Jakuba Apostoła w kompleksie poddominikańskiego klasztoru wiszą dwa piękne okazy – Piotr z 1314 r. i Jan z 1389. Ciekawym zabytkiem jest zresztą sama dzwonnica zbudowana z cegły pod koniec XIII w., wsparta przyporami. Nieco późniejsze są dzwony z Biecza, wiszące w dzwonnicy kolegiaty Bożego Ciała. Zawieszony w niej dzwon Urban z 1382 r., odlany w warsztacie braci Gallów w Nowej Spiskiej Wsi, zakończył życie w 1969 r. Pękł i pomimo prób naprawy nie udało się przywrócić go do stanu świetności. Wążyący ponad tonę egzemplarz obecnie znajduje się w Muzeum Ziemi Bieckiej, w Domu Kromera.

W katedrach, bazylikach i wiejskich kościołach znajduje się ogromna liczba dzwonów, których szczupłość miejsca nie pozwala mi wymienić. Sama bazylika Mariacka w Krakowie ma w niższej wieży dzwon Campa Antiqua z 1320 r., Wojciecha z 1387, Królewski Władysława Jagiełły z 1388 i Dzwon Rycerski zwany też Półzygmuntem z 1438 r. Odwiedzenie tych wszystkich miejsc to ogromna wyprawa, warto jednak poświęcić trochę czasu na wędrowkę po dawnych dzwonnicach. ©



FOT. DOMENIA PUBLICZNA

I RZECZYPOSPOLITA

• Giecz • Sandomierz
• Strzegom

RYS. DBA



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Kulinarne zaduszki

1 listopada – wbrew temu, jak się powszechnie kojarzy – w naszej rodzinie był dniem bardzo przyjemnym. Tego dnia bowiem nestor rodu, czyli dziadek Józef, ojciec naszej mamy, miał urodziny. Urodzony na Kresach Wschodnich przywiązywał dużą wagę do celebrowania tej uroczystości. Tradycją było, że najpierw ok. godz. 11 szliśmy na cmentarz w Bytomiu, gdzie leżeli jego rodzice, a później całą rodziną, która licznie spotykała się przy ich grobie, szliśmy do nas na przyjęcie urodzinowe.

Lubiliśmy ten zwyczaj. Spotykanie się przy grobie zawsze wywoływało w nas radość, że jesteśmy, że pamiętamy, że chcemy się spotkać. Rozmowy „nad grobem” nie dotyczyły zatem śmierci, przemijania, smutku, przeciwnie – mówiliśmy o tym, jak żyjemy. Oczywiście najpierw była modlitwa za zmarłych.

Nieopodal cmentarza leży bytomski park, więc droga powrotna do domu była piękna, wybarwiona kolorami jesieni, zwiędłe liście szeleściły pod nogami i bez względu na aurę było bardzo ładnie.

Stosunek do śmierci w naszej rodzinie był lekko żartobliwy. Dziadkowie, którzy na Kresach swoje przeszli, o śmierci mawiali żartobliwie: „Kostucha jeszcze nas nie zabrała, to żyjemy dalej”.

Bardzo przyjemne były te urodzinowe spotkania we Wszystkich Świętych – dziadek śpiewał lwowskie piosenki, babcia mu wtórowała, dzieci rozrabiały, więc w naszym niewielkim mieszkaniu panował harmider. Trzeba było tylko uważać, żeby nie wylać komuś na głowę gorącego barszczu – króla tego przyjęcia. Gdy nasza mama wychodziła z kuchni z wagą, wszyscy wołali: „Uwaga, barszcz idzie!”.

Barszcz mamy był arcydziełem. Gotowany na mięsie wołowym,

z warzywami, nigdy nie tracił swego rubinowego koloru. Do tego paszteciki z kruchego ciasta. Dziadek samodzielnie na swoje urodziny przygotowywał najlepszy na świecie tort orzechowy, robiony z orzechów włoskich z masą kawową na masło.

My bardzo lubiliśmy robić i jeść jajka „po japońsku”. Co roku nad półmiskiem jaj trwała dyskusja, skąd się wzięła ta egzotyczna nazwa jajek, bo przecież robiło się je z prostych składników. Zawsze wtedy nasz tato mówił, że jego pradziadek brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej, uciekł z niewoli i piechotą przyszedł do domu. I tak oto opowieści krążyły od stołu do wydarzeń dziejowych i z powrotem lądowały na stole wraz ze zmianą menu.

Jajka po japońsku

lub – jak kto woli – śledzie po japońsku, czyli szybka przekąska i świetny pomysł na podanie jajek ze śledziem

- 4 jajka ugotowane na twardo
- 4 płaty śledziowe, wcześniej namoczone
- 1 cebula najlepiej cukrowa
- 2 duże ogórki kiszzone
- mały słoiczek majonezu
- natka pietruszki do ozdoby
- sól i pieprz
- 2 duże łyżki kwaśnej śmietany

Ugotowane jajka kroimy na półówki, namoczonego wcześniej w mleku śledzia kroimy na trzycentymetrowe kawałki, cebulkę kroimy w piórka, ogórek w cienkie plasterki. Na dużym talerzu układamy plaster śledzia, następnie ogórek, cebulkę, na wierzch półówkę jajka. Pokrywamy wszystko sosem (majonez mieszamy ze śmietaną, dodajemy odrobinę soli do smaku i pieprzu). Na wierzchu posypujemy natką. Tak przygotowane jajka powinny stać minimum godzinę, aby smaki przeszły każdą warstwę. Smacznego! ☺☺



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Raper (od)święcony

Jak przypuszczam, czytelnicy „Do Rzeczy” średnio pasjonują się rapem (choć kto wie?), ale może słyszeli, kim jest niejaki Kanye West. Przez ostatnich parę lat trudno było przeczytać jakiegokolwiek donosu medialnego, nie potykając się o jego nazwisko. Osobnik ten, obecnie 45-letni, sprzedał 160 mln płyt, zgarnął 24 nagrody Grammy, nominowany był 75 razy i uważany jest za czołowego muzyka pierwszych dekad naszego millennium.

Do swojej i tak sporej sławy dołożył jeszcze inną celebrytkę – pannę Kardashian (seksaśma, wielka pupa, reality show). Ślub w Wersalu, powozy, złote serwisy, tysięcy gości itp. Duet West-Kardashian, ich stroje, podróże, skandale przez jakiś czas były na czołówkach plotkarskich całej półkuli. Urodziły się dzieci. Jednak wybuchowy temperament czarnoskórego rapera długo nie utrzymał go w bogobojnym związku. Zaczął partnerkę bić, po czym się rozwiedli. Z wielkim hukiem medialnym, jakżeby inaczej. Ślub czy rozwód, niech tylko o nas mówią.

Oprócz muzyki inną istotną domeną działania pana Westa jest moda. Czego może bardziej pragnąć młody fan rapu niż posiadania na własność T-shirtu/bluzy/butów opatrzonego jego podpisem? Fashion biznes bezbłędnie wyczuł potencjał marketingowy nazwiska. I tak zaczęły się współprace pana Westa ze znanymi markami. Adidas, Gap. Przepraszam, to już nie był Kanye West, to Yeezy, nowy człowiek.

W Warszawie w roku 2016 fani przez cztery dni koczowali przed sklepem, żeby kupić buty Yeezy Boost. „Rzucili” tylko 33 pary, ale cóż za szczęście posiadać relikwie! Współpraca rapera z Adidasem (bluzy i buty) warta była 3 mld dol. Niezły biznes, przynajmniej państwo.

Nic dziwnego, że inni tytani mody rzucili się na jego osobę jak na kurę znoszącą złote jajka. Balenciaga, szacowny dom wysokiej mody, niegdyś hiszpański, dziś korporacyjny, zaproponował Amerykaninowi szefostwo artystyczne. Bluza dresowa z drogocennym nazwiskiem za trzy i pół tysiąca? Ludzie to lubią, ludzie to kupią.

Jednak do czasu. Znów odezwała się gwałtowna natura pana rapera. Na paryskim Fashion Weeku pokazał się w T-shircie z napisem „White Lives Matter”. Obraz, bluźnierstwo – zadekretował głos medialny. O dziwo, Black Lives Matter było jak najlepiej widziane... Potem było gorzej, bo na wpisach w mediach społecznościowych West zaczął sadzić hasła antysemityczne.

Marki powoli wycofują się ze współpracy z raperem, Balenciaga dyskretnie usunął jego osobę ze swoich publikacji prasowych, podobnie zrobił internetowy portal Vogue. Również Adidas zerwał współpracę z przygłą gwiazdą. Wszystko to już trochę znamy. John Galliano, uwielbiany projektant Diora, nagle zniknął, kiedy w knajpie zaczął głośno chwalić Hitlera. Świętości popkultury trwają krótko. ☺☺



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Ten sam wirus?

Władze stanowe Massachusetts i Nowego Jorku nie tylko uznały, że zwolnienie z pracy urzędników z powodu ich decyzji o niezaszczepieniu się było nielegalne, lecz także zabierają się do wypłacania dla nich odszkodowań. Nie mówiąc już o podjęciu decyzji, że szczepienia nie mogą być narzucane, nie może od ich faktu zależeć jakiegokolwiek dostęp do czegokolwiek, a także że uczęszczanie dzieci do szkoły nie może być uzależnione od faktu zaszczepienia.

Szczególnie to ostatnie to wynik wielkiego poruszenia w USA, które nastąpiło niedawno, gdy CDC, odpowiedzialna za zarządzanie pandemią, przegłosowała decyzję o włączeniu szczepionki covidowej do corocznego kalendarza szczepień obowiązkowych dla uczniów. W tej sprawie szykuje się przesilenie i przeciąganie liny pomiędzy władzami federalnymi a stanowymi. Jak wiemy, różne stany miały różne strategie i dziś – po prawie trzech latach – widać efekty tych zróżnicowanych działań. Wyniki są zdecydowanie epidemiologicznie gorsze wśród stanów o wysokim poziomie sanitaryzmu i zaszczepienia.

Ale – co ciekawe – mówimy o tym samym wirusie. A więc kiedy u nas? Kiedy władze, tak jak w niektórych stanach, na podstawie wyników badań skuteczności swych decyzji stwierdzą, że się pomyliły, przywrócą do pracy wyrzu-

conych za brak szczepień i wypłacą odszkodowania? Chyba że mówimy o innym wirusie i o innych szczepionkach.

Bo może być tak, że oni tam, na Zachodzie, to mają swoją specyfikę, a my tu swoją. Wirusowo-szczepienną. Skoro tam wyszło, że szczepienia są bez sensu, nie hamują transmisji, w związku z czym całe to dzielenie świata na zaszczepiony i niezaszczepiony nie ma znaczenia dla powstrzymania zakażeń, lecz co najwyżej oddziałuje (i tu też są wielkie wątpliwości) na łżejszy przebieg choroby – to cała ta zabawa nie miała sensu, a więc była szkodliwa i odszkodowania się nie należą.

Au nas cicho. Wirus – ten sam co w USA, chyba – tam jakoś inaczej chodził. Szczepionki zdaje się też, bo u nas nikt z takich, potwierdzonych przez producenta, rewelacji podobnych wniosków nie wyciąga. Nie widziałem, aby nakaz szczepienia mundurowych i medyków został wycofany, a co dopiero by wypłacano odszkodowania. Zbyt wiele karier zaprzepaszczonego ostracyzmu spanikowanego środowiska.

My to jednak jesteśmy inni. Mamy swoją specyfikę, nawet koronawirusową. Wiadomo, „Polak to lepszy gość” i u niego ta sama szczepionka blokuje transmisję wirusa, a ta sama w USA – nie. Pewnie tam leją do strzykawek jakąś berbeluchę, bo u nas samo gęste z dna kotła Pfizera. Minister załatwił. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

ONZ nie da się ochrzcić

Jakiś czas temu zwróciłem uwagę, że na oficjalnej stronie Światowych Dni Młodzieży Lisbona 2023 pojawiła się informacja, że Agenda ONZ Zrównoważonego Rozwoju 2030 będzie istotnym elementem programu spotkania katolickiej młodzieży z całego świata.

Organizatorzy nawiązują w tym kontekście do encyklik „Laudato si” i „Fratelli tutti” papieża Franciszka. Patrząc pobieżnie, widać podobieństwo programów choćby w obszarze ekologii czy troski o warunki życia w krajach rozwijających się, ale to tylko wrażenie.

Wczytując się w agendę zrównoważonego rozwoju – szerzej – w programy ONZ, które ogłaszane i wdrażane są jako dorobek kolejnych szczytów, widać, że zawierają one potężny ideologiczny ładunek. Kwestie równości płci, zdrowia reprodukcyjnego, gender mainstreaming pojawiały się w programach ONZ już od dziesięcioleci. Dopiero teraz, z perspektywy lat, widać, jak konsekwentnie pod płaszczykiem ONZ realizowany jest program społecznej przebudowy.

Rzecz w tym, że obok słusznych haseł, pięknie brzmiących postulatów ulepszania świata, czynienia go bardziej sprawiedliwym, realizowana jest skrajna ideologiczna agenda. Ogłoszony w 2015 r. program oparty miał być na Powszechnej deklaracji praw człowieka. Jednak widać wymowną zmianę języka. Zamiast płęć (sex) pojawia się pojęcie gender (płeć kulturowa); za-

miast dyskryminacja, mówi się o „różnicach”; w miejsce „międzynarodowy” pojawia się słowo „globalny”, kiedyś partnerstwo, teraz – obywatelstwo globalne, zamiast określić „postęp ekonomiczny” i „postęp społeczny” – zrównoważony rozwój. Słowa „narody”, „suweren”, „religia”, obecne w karcie, praktycznie zniknęły z obecnego języka. Za to pełno jest nowomowy w stylu: empowerment kobiet, demokracja uczestnicząca, edukacja jakościowa, pakt uniwersalny, kultury globalne. Ta nowa antropologia nie ma nic wspólnego z chrześcijańskim personalizmem. To ideologia i system o własnych języku, etyce i mechanizmach działania.

Jak zauważa Marguerite A. Peeters, tego systemu nie da się ochrzcić! Dlaczego? Bo usytuowano go w miejsce religii. Nowy program ONZ dąży do zabsolutyzowania zrównoważonego rozwoju. Wszystko i wszyscy powinni mu służyć: technologia, ekonomia, finanse, polityka, demografia, edukacja, natura, religie etc. Sama ludzkość powinna się stać „zrównoważona”. Zrównoważony rozwój staje się celem ostatecznym i wyłącznym ludzkiej aktywności, nie toleruje innych punktów widzenia, bo zarządzanie globalne ma mieć charakter totalny.

Wszystkim, którzy bagatelizują obecność Agendy ONZ w programie ŚDM, polecam książkę Marguerite Peeters „Globalizacja zachodniej rewolucji kulturowej”. Przewielebni – lektura obowiązkowa. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

CWIERTOK

Nie za mądry

Księgi są nieśmiertelne, a emocje wznecają nawet po setkach lat. Stop. No i wywołał niepokój Kant Immanuel dziełem „Projekt wiecznego pokoju”. Stop. W zasadzie to Macron wywołał, robiąc z niej prezent dla papieża. Stop. Książka okazała się zabytkowa i opieczetowana stemplem „Czytelnia Akademicka we Łwowie”. Stop. Stempel jest nieprzekreślony, co wskazuje, że nie została oficjalnie wypisana z księgozbioru. Stop. Jeśli nie została oficjalnie wypisana, to domniemywać można, że po prostu ją ukradziono. Stop. Dawanie kradzionej książki przez prezydenta Francji papieżowi Franciszkowi byłoby jednak nowym standardem. Stop. Rozpoczęto zatem śledztwo „idź śladem książki”. Stop. Francuski antykwariusz, który Kanta sprzedał, zaręczył, że ogólnie jest spoko, bo książka nie została ukradzioną przez hitlerowców, gdyż była we Francji już pod koniec XIX w. Stop. Co jednak nie oznacza, że jej nie ukradziono wcześniej. Stop. Głos w sprawie zabrał minister kultury Piotr Gliński. Stop. Stwierdził, że książka „nie jest polską stratą wojenną”, ale... Stop. „Ale inne dzieło sztuki, »Holenderski brzeg rzeki« J. van Goyena, które zostało zrabowane w czasie drugiej wojny światowej, nadal znajduje się we Francji – w Musée Louvre”. Stop. Dodał, że ukradzionego obrazu Luwr oddać nie chce. Stop.

Katarzyna, córka Donalda, Tusk otworzyła lumpeks. Stop. Teraz uwaga: jest to ekskluzywny lumpeks. Stop. Sweterek już noszony, lecz przeprany może kosztować koło pół tysiąca, a płaszczki drugiej świeżości nawet coś koło trzech tysiąków. Stop. Jakiś złośliwy typ pod informacją sklepu zadał pytanie: Czy zakupy są pakowane w torby z Biedronki? Stop. No luudzie! Stop.

Niemcy usuwają turbiny wiatrowe, żeby można było wydobywać węgiel brunatny. Stop. Państwo przeczytają sobie poprzednie zdanie jeszcze raz, bo warto. Stop. Oczywiście ktoś mógłby tu przytoczyć znane brukselskie przysłowie: „Co wolno Niemcom, to nie tobie smrodzie”, ale to jest po prostu mądrość etapu. Stop. Poza tym wkrótce naukowcy ustalą, że węgiel to szkodzi, ale w Polsce. Stop.

Radosław Sikorski wziął i znowu błysnął. Stop. Po wyemitowaniu w TVP filmu pt. „Pan z Chobielina” ruszył do Internetu. Stop. W filmie wypowiada się redaktor Samuel Pereira i nie za bardzo chwali Sikorskiego. Stop. W ramach retorsji Sikorski napisał, że Pereirę trzeba by zesałać do Mozambiku, bo była to portugalska kolonia. Stop. Internauci przypomnieli, że żona Sikorskiego pochodzi ze znanej rodziny żydowskich prawników. Stop. Nie za mądry ten Sikorski, nie za mądry. Stop. ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Zbierajmy skorupki...

Małgośka, mówią mi, ludzkość wciąż na nowo wymyśla sobie ucywilizowane nieszczęścia. Dlatego ja coraz bardziej boję się ludzkości, której wydaje się, że progres zawsze przebiega liniowo. A tymczasem pikujemy coraz niżej i wkrótce nawet szympansy poczuć się nieswojo przy nas. „Im mądrzej tym głupiej” – mawiał klasyk i dlatego zamiast dwóch płci mamy 30, zamiast miłości romantycznej – poliamorię i LGBTX, a uniwersytety po raz pierwszy w dziejach produkują nie elity, lecz funkcjonalnych analfabetów. Polacy zaczynają reagować lękiem na słowo „moralność” i biegają do proboszcza wypisać się z Kościoła, bo apostazja brzmi im cool tak samo jak eutanazja i mikrodermabrazja. Już nie wspomnę, że wraz z lawiną programów informacyjnych rośnie ignorancja wśród ludzi i zamiast głosować na mężów stanu, znów chcą głosować na mężów Małgorzaty Tusk i Małgorzaty Trzaskowskiej.

Oczywiście są pewne zalety tej globalnej infantyilizacji i dekadencji, bo dawniej analizą takich danych zajmowały się głównie babcie na ławce. Teraz zaś obradujemy na międzynarodowych kongresach z udziałem szanowanych panelistów, z których każdy pochyla się nad nędzną kondycją współczesnej Europy. Trzeba przyznać, że byłam na to przygotowywana od dziecka, bo drepcząc za dziadkiem

profetą zawsze słyszałam: „Zobaczysz, Gosiu, bolszewicy wrócą”, w czym tkwiła podwójna przepowiednia, bo dziadek obdarzał tym epitetem zarówno Ruskich, jak i ludzi lewicy. Zmiana polega na tym, że o nowej armii czerwonej nie rozmawiamy już zamknięci za żelazną kurtyną, ale w doborowym gronie i w obcych językach.

Bardzo to poniekąd krzepiące, choć przecież rozmawiamy głównie o tym, że elity Europy nadal mają kaca po systemie marksistowskim. Wspólnie przeżywany dramat zbliża Europejczyków, lecz funduje dwa plemiona: my bronimy się przed naporem lewactwa i globalizmu, a tamci zbierają się pod sztandarem antyfasyzmu.

Gdy byłam mała, byłam przekonana, że do śmierci nie spotka mnie w życiu już nic lepszego niż to, że od chrestnej matki dostałam parę dzinsów i T-shirtów jej kuzyna – Bryana Adamsa (temat na oddzielny felieton). Co tam jednak łachy od rockmena z Kanady, gdy życie pozwoliło mi ścisnąć rękę prawdziwych buntowników o wolność i arystokratów ducha z Madrytu czy Paryża? Wypadałoby podziękować nowym „bolszewikom” za to, że każą nam się organizować w przyczółki wolności i zgadzać ponad podziałami. Ale jeszcze lepiej byłoby, gdyby demos europejski sięgnął dla nich po ateńskie rozwiązanie – sąd skorupkowy – i powiedział wreszcie: „Won!”. ©



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Od Smoleńska do rozbioru

Mijamy niepostrzeżenie kilka okrągłych rocznic, nad których znaczeniem warto dzisiaj podumać.

Równo 500 lat temu, we wrześniu roku 1522, posłowie króla Zygmunta przyjęli w Moskwie warunki rozejmu, na mocy którego państwo polsko-litewskie traciło Smoleńsk: klucz do Europy Wschodniej. Taki był wynik 10-letniej agresji Moskwy na zachodnich sąsiadów, a właściwie serii wojen, zapoczątkowanych 40 lat wcześniej przez panów Kremla z myślą o likwidacji Litwy. Faktycznie Smoleńsk wojska moskiewskie zdobyły już w roku 1514. Ponieważ jednak w tym samym roku zostały pobite na głowę w bitwie pod Orszą, władca moskiewski, Wasyl III, postanowił zaszachować silnego, polsko-litewskiego przeciwnika sojuszem z cesarzem w Wiedniu i Hohenzollernem w Królewcu. Tak jest: to była pierwsza przymiarka do układu rozbiorowego. Najpierw Wasyl zawarł skierowany przeciw Polsce i Litwie sojusz z Habsburgiem. Król Zygmunt rozmontował ów sojusz za dużą cenę: układem w Wiedniu w roku 1515 utworzył Habsburgom na przyszłość (jak się okazało, bliską, bo już w roku 1526) drogę do zajmowanych na razie przez Jagiellonów tronów w Pradze i Budzie. Kiedy Moskwa straciła partnera w Wiedniu, znalazła go natychmiast w wielkim mistrzu krzyżackim, Albrechcie Hohenzollernie. Układem zawartym na Kremlu w marcu 1517 r. Wasyl wziął pod swoją protekcję zakon krzyżacki i zobowiązał się dostarczyć pieniędzy na wielką armię, która pomoże od zachodu zdusić państwo polsko-litewskie. Polska i Litwa przed zrealizowaniem tego scenariusza się obroniły, ale Smoleńsk straciły. Odzyskał go dopiero 90 lat później Zygmunt III Waza. Nie

na długo, bo już w roku 1654 Smoleńsk znów zagarnęła kolejna agresja moskiewska. Tym razem już na zawsze. To był początek potopu moskiewsko-szwedzkiego, który zalał całą Rzeczpospolitą, ale jeszcze jej nie zatopił ostatecznie. Zabrał jej „tylko” połowę ziem ukraińskich i pozycję suwerennego mocarstwa...

Mineliśmy także drugą okrągłą rocznicę: 250 lat temu, w sierpniu roku 1772, w Petersburgu podpisana została konwencja rozbiorowa. Imperatorowa Wszechrosji, Katarzyna, porozumiewała się w niej znów z Hohenzollernem (Fryderykiem II) i Habsburgiem (formalnie była to Maria Teresa, ale faktycznie do rozbioru Polski parł jej syn – miłośnik oświeconego państwa policyjnego, Józef II). Jako przyczyny rozbioru podano: „całkowity rozkład państwa” i panowanie „ducha fakcyjnego utrzymującego w Polsce anarchię”, co „mogło zagrozić interesom sąsiadów tej Rzeczypospolitej [...] i wszcząć ogólną wojnę”. A więc I rozbiór Polski dokonany został, to warto przypomnieć, pod hasłem pokoju. Trzeba okroić to zanarchizowane, upadłe państwo, żeby znów zapanował w Europie pokój... Hasła jakby znajome. Powtarzają je – dziś pod adresem Ukrainy – „mędrcy” w rodzaju amerykańskich „realistów” spod znaku Mearsheimera, Kissingera; prezydent Macron i kanclerz Scholz jeszcze się wzbraniają. Ale co będzie na wiosnę? Może dlatego warto przypomnieć owe daty sprzed 500 i 250 lat: po pierwszym rozbiorze nieuchronnie przychodzą kolejne. Zwłaszcza wtedy, kiedy imperialna Rosja znajduje partnerów w imperialnej mentalności zachodnich, „oświeconych” reformatorów, takich jak Józef II czy podziwiany przez Woltera Fryderyk II.

Jeszcze tylko dwie, też okrągłe, rocznice, ku przestrodze. 25 października 1822 r., równo więc dwa wieki temu, na rozkaz wielkiego księcia Konstantego aresztowany został mjr Walerian Łukasiński. Rzeczypospolitej już na mapie nie było, ale było utworzone w IV rozbiorze (na kongresie wiedeńskim w roku 1815) kadłubowe Królestwo Polskie pod rosyjskim berłem. Łukasiński organizował konspiracyjny związek tych, którzy z taką podległością, z rozbiorami, nie chcieli się pogodzić. Gospodarujący w Warszawie rosyjski satrapa uwięził „niebezpiecznego przestępcę”. Łukasiński spędził 46 lat w najcięższych więzieniach imperium. Nie wyjdzie z nich żywy. To miała być lekcja dla tych, którzy marzą o niepodległości, o Rzeczypospolitej.

Ale byli tacy, którzy marzyli nie przestali. Pomógł im bardzo Adam Mickiewicz, który w tym samym 1822 r. wydał swoje „Poezje”, tom 1. I Polska w roku 1918 znów pojawiła się na mapie, a na przekór nowemu imperializmowi ze Wschodu w roku 1920 obroniła swoją niepodległość, choć Rzeczypospolitej w szerszym jej dziedzictwie nie zdołała odbudować.

Równo sto lat temu, 30 października 1922 r., działająca w ramach postanowień kończącego tamtą wojnę pokoju ryskiego Mieszana Komisja Specjalna przyjęła uchwałę w sprawie oddania przez Moskwę wywiezionych przez carat zbiorów grafiki, rękopisów i książek z bibliotek i archiwów państwowych. Niestety, po nowej umowie Moskwy z zachodnim partnerem w Berlinie, tej z 23 sierpnia 1939 r., jeszcze jedna agresja ze wschodu (i zachodu) zabrała Polsce miliony istnień ludzkich, a także miliony książek, rękopisów, obrazów, dokumentów. Wielka część tych zagrabionych dóbr jest nadal w Moskwie. ©

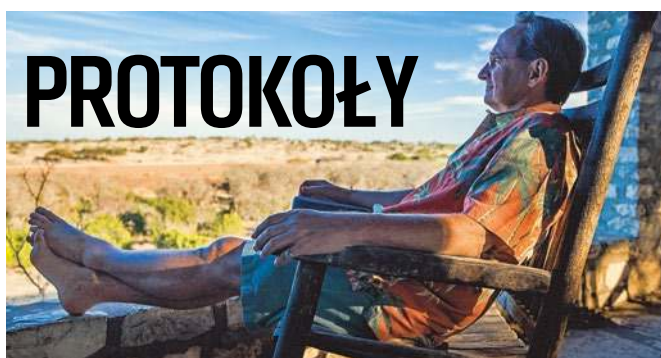
Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Medycyna w USA była kiedyś przodująca. Obecnie wolę iść do doktora w Polsce.

W USA lekarz stosuje sztywne protokoły i boi się wyjść poza zatwierdzony przez urzędowe organy schemat. Nawet jeżeli twoje schorzenie nie pasuje do schematu i należałoby schemat ignorować, lekarz amerykański boi się odstąpić od zatwierdzonego protokołu. Czemu? Bo gdyby zabił pacjenta zgodnie z protokołem, to zasłoni się ubezpieczeniem lekarskim – zrobił wszystko zgodnie z procedurą, więc trudno postawić zarzuty. W sytuacji odwrotnej – gdyby pacjent został wyleczony, ale ktoś dowiedziałby się, że lekarz odszedł od zatwierdzonego schematu – lekarz może stracić licencję, ubezpieczenie i mieć kłopoty na poziomie PRZERAŻAJĄCYM. Czasami więc strach się u nich leczyć.

Dobrym przykładem jest ospa wietrzna u dzieci w wieku szkolnym. Mądry stary lekarz powie rodzicom, by nie robić nic, przechorować i cieszyć odpornością nabytą na całe życie. Współczesny lekarz amerykański każe się przewencyjnie zaszczepić, a gdyby ci zalecił, żebyś zamiast szczepienia posłał dziecko na modne kiedyś „przyjęcia ospowe”, byś posłał swoje zdrowe dziecko do dzieci chorych po to, by się zaraziło, przechorowało i uodporniło... No to go wsadzą za taką poradę. Roztropną, ale niezgodną z protokołem.

Protokoły medyczne zatwierdza władza, czyli w praktyce jakieś urzędasy na państwowych pensjach. Zastanów się, czy ufasz urzędasom? Ja nie ufam. I nie podoba mi się taki układ, że urząd (dowolny) ma prawo ingerencji w relacje



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJAKOSW. SUNDISKI

pacjent – lekarz. Uważam, że nikt nie powinien wsadzać nosa w moje osobiste stosunki z lekarzem, nie powinien decydować o tym, u kogo się leczyć i jak się leczyć. Ja i tylko ja powinienem być arbitrem ostatecznym. Gadam z lekarzem, on mi objaśnia, co chce zrobić, i potem to ja zatwierdzam procedurę – lub nie. Gdyby mi się coś nie podobało, zmieniam lekarza lub proszę o drugą opinię.

Rozumiem argumenty strony przeciwnej o potrzebie nadzoru. Rozumiem, ale się z nimi nie zgadzam. Ja nie chcę, by ktoś mówił mojemu doktorowi, co mu wolno robić. To ja jestem sędzią i nadzorcą w tej sprawie i nikomu nic do tego. Moje ciało.

Przez wiele lat leczyłem zęby u doktora Romusia. Niestety, już nie żyje, a był świetny przez to, że się nie oglądał na urzędasów i ich protokoły.

Kiedyś zdecydował, że jeden z moich zębów trzeba wyrwać i tyle, bo tam pod spodem jątrzy się stale jakieś zapalenie, które ciągle nawraca. Wziął obcęgi i rwie. Ale ząb gruby i głęboko siedzi – jeden z tych tylnych. Romuś się zaparł i nic. Ciągnie, szarpie, szyję mi zaraz zwiznie.

W końcu spojrzał na swoją kumpelę pielęgniarzkę i mówi do niej:

– Wanda, wyjdź na papierosa albo na siku.

Wanda (imię zmieniłem, bo ona ciągle pracuje, gdzieś...); no więc Wanda widziała już takie rzeczy u Romusia wiele razy, więc uśmiechnęła się i mówi:

– Doktorze, czy kiedy będę sikać, paląc papierosa, to mam jednocześnie trzymać za

klamkę i pilnować, by nikt tu nie wszedł?

– Tak, Wanda. Tak właśnie zrób.

Potem Romuś spojrzał mi w oczy. Pomiędzy nami nie było żadnego urzędu, nadzoru ani protokołu. Byliśmy ja z moim zapalonym po raz 10. zębem oraz mój lekarz i dobry kumpel, któremu ufałem i wiedziałem, że mnie nie skrzywdzi.

Patrząc mi w oczy, powiedział:

– Jeżeli ktoś się o tym dowie, zabiorą mi licencję. Rozumiemy się?

– Rwij, Romuś. Nie gadaj rzeczy niepotrzebnych, tylko rwij już.

Romuś złapał obcęgi za ten duży ząb, drugą ręką trzymał mnie za czoło i dociskał do zagłówek, ale to było mało, tego już próbowaliśmy wcześniej i nie dało rady. Dlatego gdy Wanda wyszła sikać przy kłamce, Romuś postawił mi dodatkowo na klatce piersiowej swoje prawe kolano, którym się zaparł porządnie. Potem szarpnął raz i mając dwa punkty podparcia – ręką na czole plus kolano na piersi pacjenta – wyrwał ząb z korzeniami długimi jak kable.

– Romuś, a czemu wysłałeś Wandę za drzwi?

– Nic nie widziała, to jej nie wsadzą.

– A ciebie mogą wsadzić?

– Mogłem ci kolaniem złamać mostek, zatrzymać akcję serca i zrobić kilka innych krzywd.

– Czy zastosowana procedura jest niedobra?

– Jest „przestarzała”. Ale skuteczna, jak widać – pokazał mój wyrwany ząb w kuwecie.

Romuś leczył mi zęby nawet przez telefon. Dzwoniłem z USA, mówiłem, co i jak

mnie boli i pod którym zębem. Romuś pytał, co mi proponują amerykańscy dentyści, potem prychnął i pytał, kiedy będę w Polsce. Tymczasem kazał iść do apteki, kupić sobie to i to, i pogryzać jak landrynki.

Procedury medyczne, których się uczy studentów, są dobre, ale wyłącznie jako WSKAZÓWKA. Zaczynają być szkodliwe, gdy władza wymusza na lekarzach ich ścisłe stosowanie i zaczyna karać za niestosowanie. Medycyna jest tylko w części nauką ścisłą. Poza tym jest działaniem uznaniowym, działaniem na wyczuć, czasami jest sztuką. To tak jak z naprawianiem samochodów – nowoczesny mechanik niczego nie naprawia, lecz podpiną komputer, a potem zgodnie ze wskazaniem komputera wymienia zepsute podzespoły. Nie naprawia, lecz wymienia. Dobry stary mechanik słucha, stuka, zagląda, a potem mówi:

– Możemy to panu wymienić już teraz albo... na razie dokręć trochę mocniej i jeszcze jakiś czas pan pojeździ, a wymienimy dopiero, gdy się całkiem urwie. Pan decyduje.

W medycynie też powinno być „pan decyduje”.

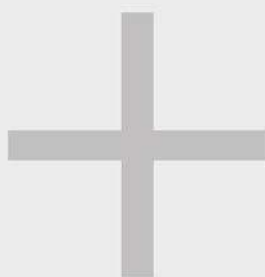
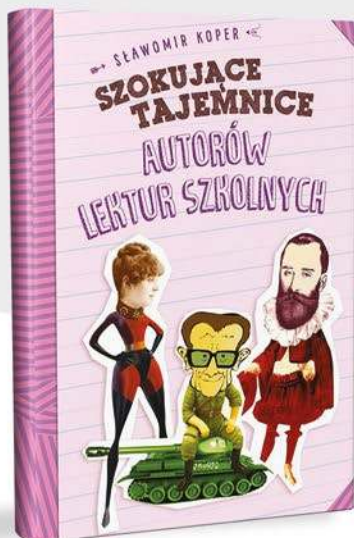
Są protokoły medyczne naprawdę niebezpieczne, szaleńcze. Koleżanka poszła w USA do ginekologa. Ponieważ to była jej pierwsza wizyta w tym gabinecie, kazali jej wypełnić kartę pacjenta. Ostatnim pytaniem było, jaką płć WYBIERA pacjent. Gdyby wpisała, że jest mężczyzną, wówczas ginekolog byłby zmuszony zapisać jej leki dla mężczyzny, a w przypadku leków hormonalnych coś takiego może zabić. Jeżeli nie matkę, to dziecko w jej łonie. No ale... leczenie kobiety hormonami męskimi w sytuacji, gdy kobieta zadeklarowała, że jest mężczyzną, byłoby zgodne z protokołem. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~599~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

**SŁAWOMIR KOPER
„SZOKUJĄCE Tajemnice
AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA**

230,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 369 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl d472366061



ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY

